

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/227

1966



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

P. HOSTOWIEC :

DEMONSTRACJA MIHAJLOVA

B. BRODZIŃSKI :

JUGOSŁOWIAŃSKIE LATO 1966

Z. HAUPT : **LILI MARLENE**

G. J. FLEMMING :

NIECENZURALNIE O CENZURZE

SPIS RZECZY

Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia ..</i>	3
Bohdan Brodziński:	<i>Jugosłowiańskie lato 1966</i>	13
Zygmunt Haupt:	<i>Lili Marlene</i>	26

ARCHIWUM POLITYCZNE

Feliks Gross:	<i>Granice</i>	36
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	41

KRAJ

George J. Flemming:	<i>Nieczuralnie o cenzurze</i>	49
Stanisław Swianiewicz:	<i>Stopa życiowa w Polsce</i>	60
B. Mieczkowski:	<i>Zmiany w stopie życiowej w Polsce ..</i>	65
Korespondencja z Kraju:	<i>12 procesów młodzieżowych</i>	69

SPRAWY I TROSKI

m.l.d.:	<i>W oczach Londynu</i>	71
J. B. de Weydenthal:	<i>Emigracja z przyzwyczajenia?</i>	77

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Bogusław Miedziński:	<i>Wojna i pokój (III)</i>	85
----------------------	----------------------------------	----

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

A. Pospieszalski:	<i>Polityka, Kościół, Ewangelia</i>	98
-------------------	---	----

KRONIKA KULTURALNA

Wiktor Weintraub:	<i>„Życie żyjące w wszechżywej przyjaźni”</i>	109
(jot):	<i>Viva poesia y poesia</i>	120
—	<i>Komunikaty</i>	124

KSIĄŻKI

Wit Tarnawski:	<i>„Lewa wolna”</i>	129
Stanisław Bóbr-Tylingo:	<i>Duże znaczenie „Małej Historii”</i>	137
Piotr Wandycz:	<i>Drugi tom „Diariusza”</i>	146
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	151

E. Witt, F. Demel, Z. S. Siemaszko, M. Czarnecki, ks. Z. Bernacki, W. Grochowski, A. Walczak, Z. Nadniewieński, J. Hauptmann, L. Mitkiewicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	152
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień — Septembre 1966

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Dr T. Kmiecik, Snyder, N.Y. (USA)	F. 29,50
F. K., Toronto, Ont. (Kanada)	
Zamiast kwiatów na trumnę śp. Karoliny Wcisłowej przesyłam drobny dar na Fundusz „Kultury”	F.100,00
Janusz Zembrzuski, Paryż, po raz piąty	F.100,00
Marian Jaworski, Chicago, Ill. (USA), po raz czwarty	F. 29,50
Dr Jan Bogusław Kon, Montevideo (Uruguay), zamiast kwiatów na grób śp. Jadwigi z Rysiewiczów Różankowskiej, w pierwszą rocznicę Jej śmierci	F. 24,50

Z okazji dwudziestolecia Instytutu

K. i B. Singler, Sunshine, Vic. (Australia), po raz drugi	F. 50,00
Stefan Jan Ginilewicz, Chicago, Ill. (USA)	F. 49,00
Jan Wasilowski, Paryż, po raz drugi	F. 15,00
Anonimowo, Berkeley, Cal. (USA)	F. 98,00

DZIĘKUJEMY!

◆
Artykuł St. Mroczkowskiego o „Antysemityzmie”, zamieszczony w lipcowym numerze „Kultury”, wywołał duży odzew — Redakcja otrzymuje liczne wypowiedzi i artykuły. Ważniejsze wypowiedzi zostaną zamieszczone w jednym z najbliższych numerów „Kultury” w opracowaniu i z komentarzem St. Mroczkowskiego. Czytelnicy, którzy chcieliby wziąć udział w tej spontanicznej ankiecie proszeni są o nadsyłanie wypowiedzi do końca września rb.

REDAKCJA

◆
W okresie letnim napłynęła do Redakcji wyjątkowo duża ilość listów do Redakcji. Z braku miejsca nie możemy zamieścić wszystkich w bieżącym numerze. — Listy pp. A. Czerniawskiego, M. Dayona, A. Estryna, B. J. Jenne, J. Kowalika, W. Romanow-Głowackiego, J. Optat Sokołowskiego, W. Sukiennickiego i B. Mińskiej Peowiaczki ukazały się w numerze październikowym.

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

DEMONSTRACJA MIHAJLOVA

Człowiek demonstrujący samotnie przeciw swemu dyktatorowi jest widokiem niezwykłym. Ma przeciw sobie nie tylko wszechpotężną policję, ale także partię, której rzekome prawa historii powierzyły władzę nad krajem. Jak w tragedii antycznej człowiek ten wyzywa los; rolę chóru gra wyjący tłum prowokatorów. Jest sam przeciw wszystkim. Przyjaciele, jeżeli ich ma, starają się odwieść go od jego zamiaru i złagodzić ostrość jego wystąpienia, aby uchronić go od najgorszego.

Inicjatywa Mihajlova zakończyła się jego aresztowaniem. Być może było to do przewidzenia. Niemniej dramat w Zadarze zostawił u widzów pewien wstrząs, który Arystoteles nazywał *catharsis*, przypisując mu właściwości oczyszczające, podnoszące moralnie. Tak ocenili to komentatorzy mający doświadczenie z dyktatorami. Pamfilo Gentile pisał w *Corriere della sera*: „Mimo pewnej naiwności, inicjatywa Mihajlova posiada wysoką wartość moralną. Jest gestem odważnym, wyrażającym wiarę w nieśmiertelność idei liberalnej, apelem do przyszłości”.

Co mogło pobudzić Mihajlova do jego samotnej demonstracji i jaki miał być jej sens?

O niezależnym czasopiśmie myślał od dawna. Przed rokiem wykonanie tego projektu zdawało się już leżeć w granicach możliwości. Sytuacja polityczna była jednak niejasna. Jugosławia stała przed wyborem między dalszą liberalizacją swego systemu gospodarczego i powrotem do stalinizmu. Po dłuższym wahaniu Tito wybrał pierwszą drogę. Dyktator ustępował pod naciskiem konieczności. Obniżenie zarobków wywołało powszechne niezadowolanie. Prócz nielicznego profitariatu wszyscy żądali sensowniejszej gospodarki, mogącej przynieść podniesienie stopy życiowej. Wreszcie w Brioni zapadły dwie decyzje: o odsunięciu od

władzy głównych rzeczników immobilizmu i o reformie systemu gospodarczego w sensie jego dalszej liberalizacji. Ta druga decyzja jest na razie teoretyczna, bo o rozmiarze reformy i jej skutkach praktycznych nic dotąd nie wiadomo.

Zapowiedziane zmiany dotyczą głównie życia gospodarczego. Od tej strony nacisk na dyktatora był zapewne najsilniejszy. Wszyscy chcą jeść i gotowi są walczyć o poprawę warunków egzystencji. Ale czy równie silnie pragną wolności?

Inicjatywa Mihajlova miała zapewne przynieść dowód, że w Jugosławii istnieje potrzeba wolności, o którą niektórzy przynajmniej gotowi są walczyć kosztem ofiar osobistych. Stąd demonstracyjny charakter jego wystąpienia. Towarzyszyła mu niewielka grupa przyjaciół, których liczba stopniała szybko w toku wypadków.

Inicjatywa Mihajlova nie miała zresztą charakteru rewolucyjnego. Miała służyć wprowadzeniu w życie swobód gwarantowanych przez konstytucję. Projektowane czasopismo miało stworzyć forum do dyskusji nad aktualnymi zagadnieniami politycznymi kraju i zgrupować dokoła siebie załazek przyszłego stronnictwa niezależnych socjalistów. Mihajlov zaprosił do Zadaru dwadzieścia osób w celu wspólnego przedyskutowania programu pisma i późniejszego stronnictwa.

Spotkanie dwudziestu osób w Zadarze nie nastrocza żadnych trudności. Mihajlov jednak nadał mu charakter precedensu i demonstracji politycznej. Rozesłał do dziennikarzy w Belgradzie notatkę zapowiadającą zjazd i wyliczającą główne punkty proponowanej dyskusji. Program ten obejmował najdrażliwsze zagadnienia polityczne Jugosławii. Miał więc stworzyć precedens stwierdzający, że żadnych tabu nie ma, i że dyskutować wolno o wszystkim. Zapowiedź próby stworzenia nowego ugrupowania politycznego była protestem przeciw rządowi monopartii. Mihajlov wyciągał praktyczne wnioski z gwarantowanej przez konstytucję swobody słowa i zrzeszeń.

Władze miały jednak inne pojęcia o konstytucji i gwarantowanych przez nią swobodach. Zjazd w Zadarze został zakazany, Mihajlova zaś aresztowano pod niejasno sformułowanym zarzutem szerzenia fałszywych wiadomości. W mieszkaniu jego przeprowadzono rewizję, zapewne w celu poszukiwania materiału dowodowego dla tych zarzutów.

Mimo woli nasuwają się tu wspomnienia niedawnego procesu Siniawskiego i Daniela. Jesteśmy świadkami tworzenia się we wszystkich krajach pod dyktando komunistyczną grupą inteligencji, przypominających dawną inteligencję rosyjską i warszawską z końca ub. stulecia. Brak parlamentu i wolnej prasy sprawia, że w drodze samorzutnej selekcji powstają grupy osób, posiadają-

cych autorytet moralny i tworzących opinię publiczną. Wpływ ich wzrasta w miarę represji i krzyku prowokatorów. Zjawisko to, znane z Rosji carskiej, świadczy, że „rząd dusz” wymyka się z rąk partii i dyktatorów. Od dawna już zresztą dyktatury w Europie Wschodniej, w braku przekonanych zwolenników, opierają się na rzeszach oportunistów. Tych ostatnich podzielić można na dwie kategorie: na profitariuszy, czerpiących z istniejącego porządku korzyści materialne, i na tych, nierównie liczniejszych, którym po prostu nikt nie proponował niczego prócz posłuszeństwa i milczenia. Dodać tu można, że i świat zachodni im też — prócz słuchania radia i podziwiania jego *prosperity* — nic praktycznego nie proponuje. Wystąpienie Mihajlova, jakiegokolwiek byłyby jego skutki doraźne, zawiera konkretną propozycję, dokoła której będą się krystalizowały myśli Jugosłowian.



Wypadki w Zadarze wywołały ogromne echo w całej prasie Zachodu. Przez kilka dni nazwisko Mihajlova nie schodziło z pierwszych stron gazet. O jego aresztowaniu dowiedziałem się w Szwajcarii z plakatów rozlepianych na rogach ulic. Znaczną część tego rozgłosu wypadki zadarskie zawdzięczają oczywiście okoliczności, że miały miejsce w sierpniu, kiedy nawet bandyci są na wywczasach, i wypadki samochodowe są jedynym przedmiotem rozważań kronikarzy i felietonistów. Wszyscy więc byli radzi dramatycznemu wystąpieniu Mihajlova i komentowali je zyczliwie.

W tym zgodnym chórze David Binder, korespondent belgradzki *New York Times*'a stanowi wyjątek. W obszerniej relacji z 9 sierpnia Binder przedstawia Mihajlova jako drobnego awanturnika, być może nawet agenta sowieckiego. Binder wie wszystko, jak sam szef policji politycznej Zadaru. Wie nawet, że Mihajlov telefonował z mieszkania swego do Wiednia, ale wiadomości swe układa tendencyjnie w sposób najniekorzystniejszy dla aresztowanego pisarza. *Calomniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose*, mówił Voltaire. Mihajlov sam bronić się teraz nie może. Na tych, którzy go znali, spada zatem obowiązek sprostowania wykrętnych insynuacji p. Bindera. Rozpatrzmy je więc po kolei.

Amerykański dziennikarz mówi z pewnym ubolewaniem, że Mihajlov porzucił literaturę dla polityki. Dalej twierdzi, że Mihajlov podawał się za profesora, którym nigdy nie był. Jest to oczywista nieścistość, powstała z chęci zmniejszenia formatu jugosłowiańskiego pisarza. Zresztą w tymże numerze *N.Y. Times*'a korespondent *Associated Press* poprawia Bindera nazywając Mi-

hajlova a former university professor. W istocie Mihajlov wykładał na uniwersytecie w Zadarze rusycystykę jako *assistant professor*. Stanowisko to utracił w 1965, gdy został aresztowany za ogłoszenie książki *Ljeto moskovsko* o obecnej sytuacji literatury w Rosji. Sąd uniewinnił go, ale uniwersytet nie przywrócił mu *veniam legendi*. Talent pisarski i znajomość rzeczy zaprowadziły go do więzienia i pozbawiły możliwości nauczania. Czy nie był to wystarczający motyw dla porzucenia literatury dla polityki? Wypadki same podyktowały mu kolejność zadań: naprzód wywalczyć wolność słowa, potem zająć się działalnością literacką.

Dalej w tym samym kontekście p. Binder pisze, że Mihajlov nawiązał współpracę z organizacjami antykomunistycznymi na Zachodzie, i wymienia z nich trzy: Kongres Wolności Kultury, polską grupę „Kultury” i szwajcarski Ost-Institut w Bernie, któremu „sprzedał swe prawa autorskie”. P. Binder nie wie lub nie chce wiedzieć o kim mówi. Przypuszczenie, że wydawca „Kultury” lub dyrektor Ost-Institutu namawiali Mihajlova do zajmowania się polityką i pomagali mu w tym finansowo, jest zbyt groteskowe, aby ktoś mógł mu dać wiarę.

Dalej p. Binder pyta, kto finansował akcję polemiczną Mihajlova i zapłacił za rozmowę telefoniczną z Wiedniem. Przywykły do *American way of life*, p. Binder nie może zrozumieć niektórych rzeczy. W Ameryce akcja polityczna jest rzeczą kosztowną, i nikt się do tego nie bierze nie mając kilku milionów dolarów. W akcji politycznej Mihajlova natomiast nie widać żadnych uchwytnych kosztów, prócz znakomitej rozmowy telefonicznej z Wiedniem. Maszynę do pisania i trochę dinarów na znaczki pocztowe Mihajlov miał już przedtem. Nie wiem też, czy p. Binder może sobie wyobrazić tryb życia pisarza jugosłowiańskiego w Zadarze. Jako wykładowca Mihajlov zarabiał miesięcznie 55.000 dinarów, co stanowi dokładnie czterdzieści cztery (tak!) dolary. Jego dziś opieczętowane mieszkanie składało się z jednego pokoju w starym domu bez większych wygód, w którym żaden dziennikarz amerykański nie chciałby zapewne mieszkać. W restauracji, gdzie się stołował, skromny obiad kosztował 300-400 dinarów czyli 25-40 centów. Po wypędzeniu go z uniwersytetu, głównym źródłem jego dochodów stało się *Lato moskiewskie*, przetłumaczone na kilka języków. Rewindykacja honorariów autorskich nastęrczała nieraz niepokonane trudności do chwili, gdy obronę swych praw powierzył berneńskiemu Ost-Institutowi. Wbrew insynuacjom p. Bindera sytuacja finansowa Mihajlova była równie skromna jak całkowicie przejrzysta. Swą akcję polityczną Mihajlov finansował z kapitału, jakiego nie mogły mu ofiarować wszystkie nawet banki Ameryki razem, mianowicie z kapitału swej odwagi cywilnej.

Nie rozumiejąc lub nie chcąc rozumieć natury akcji politycznej Mihajlova, p. Binder snuje najdziwniejsze domysły. Twierdzi, że słyszał w Belgradzie, jakoby działalność Mihajlova była finansowana przez agentów sowieckich lub doktrynerskich komunistów jugosłowiańskich, pragnących w ten sposób utrudnić sytuację marszałka Tito. Nie podaje źródeł tej informacji, i to rozumieć doskonale. Po prostu nikt w Belgradzie nie wzięłby za nią odpowiedzialności. Ale czytamy go dalej, bo p. Binder jest wirtuozem insynuacji. Powiada mianowicie, że pytany o swe kontakty z agenturami Mihajlov nie daje wyraźnej odpowiedzi. To znaczy chyba, że się przyznaje. Chciałbym posłyszeć taką zabawę w pytania i odpowiedzi. Nie na każde kichnięcie mówi się „na zdrowie”. Nie na wszystkie pytania się odpowiada.

Nie można się zbyt dziwić, że p. Binder to wszystko napisał. Jak można sądzić z jego prozy, jest to nawet bardzo do niego podobne. Trudniej jest zrozumieć, dlaczego *N.Y. Times* to wydrukował.

Korespondencja p. Bindera nasuwa pewne reminiscencje. W roku ubiegłym, gdy Mihajlov został po raz pierwszy aresztowany i nie mógł bronić swych praw autorskich, inny organ amerykański *New Leader* przedrukował jego *Lato moskiewskie*, zastrzegając sobie *copyright* na Stany i Kanadę, i sprzedał większą ilość egzemplarzy tej głośniejszej wówczas książki, potem zaś oświadczył, że nie jest autorowi winien żadnego honorarium, bo Stany Zjednoczone nie podpisały Konwencji berneńskiej o prawach autorskich. Było to w chwili, gdy po wyjściu z więzienia i wypędzeniu z uniwersytetu Mihajlov znajdował się w najtrudniejszej sytuacji. Mimo woli nasuwają mi się pytania: czy między zeszlórocznym zachowaniem się *New Leader'a* i obecnymi insynuacjami *N.Y. Times'a* nie ma jakiegoś związku? Czy przedstawianie Mihajlova jako agenta sowieckiego nie ma na celu uspokojenia purytańskich sumień ludzi, dla których walka o wolność co raz bardziej staje się jedynie tradycyjnym sloganem?

LIST DO FOTOGRAFÓW-AMATORÓW

Il Mondo, rzymski tygodnik literacki wysokiej klasy, przestał wychodzić. *Il Mondo* był mało znany poza granicami Włoch. Tajemnicza konspiracja agencji kolportujących prasę obcą sprawiła, że przez 15 lat swego istnienia rzymski tygodnik nie przekroczył włoskiej granicy. Fakt ten jest tym bardziej zastanawiający, że w tym właśnie czasie, wraz z przyjazdem robotników włoskich (300 tysięcy w Szwajcarii, 250 w Belgii, tyłuż w Niem-

czes i td.) włoskie czasopisma ilustrowane rozpowszechniły się w całej Europie Zachodniej. Kioski były dosłownie obwieszane ich barwnymi okładkami, z których *belle ragazze*, gwiazdy ekranu i telewizji, patrzyły zalotnie na przechodniów. Głuche na reklamacje, agencje uparcie bojkotowały *Il Mondo*.

Rzymski tygodnik zwracał uwagę nie tylko bogactwem informacji i wysokim poziomem krytyki literackiej, lecz przede wszystkim swym działem fotograficznym. Fotografie nie wysuwały się w nim na pierwszy plan; były dyskretnie rozsiane po szpaltach. Redaktor Mario Pannunzio przywiązywał jednak do nich szczególną wagę.

Fotografie w *Il Mondo* nie były związane z treścią artykułów. Nie przedstawiały autorów omawianych w tekście. Stanowiły dział autonomiczny, oddający klimat życia. Przeglądałem jeden z numerów przywiezionych niegdyś z Włoch. Fotografie jego przedstawiają młodzież w strojach roboczych tańczącą na ulicach Pekinu, dzieci kąpiące się pod okiem zakonnicy na kamienistej plaży w Chiavari, fabrykę manekinów w Mediolanie, pustą uliczkę paryską, na której, wsparty o otwarte okno, stoi samotny *flic*, skład porcelany na *marché aux puces*, dwoje dziewcząt ciągnących wózek obładowany paryskimi *flûtes*, uliczną wystawę obrazów nad Tamizą, starszą Angielkę w stroju z czasów Jane Austen, przyglądającą się uważnie przez staromodne *face-à-main* modernistycznej rzeźbie i td. Znane osobistości widzimy na tle świadczącym o obyczajach ich czasów. Lord Attlee siedzi na krzeselku, przyglądając się wystawie kwiatów. Minister angielski Profumo z żoną patrzy na obrazy w Royal Art Gallery.

Dobór tych fotografii wypełniał dotkliwą lukę, powstałą z orientacji obecnego malarstwa. W dawniejszych czasach malarstwo było zarazem sztuką i dokumentem. Zostawiało po sobie obraz życia, obyczajów, gustów i twórczości rzemieślniczej epoki.

Nawet Pompejańczycy, zajęci głównie postaciami i scenami mitologicznymi, przekazali nam bogatą kolekcję realiów. Z fresków ich dowiadujemy się np. o gustach kulinarnych i trybie odżywiania się Rzymian. Obrazy przedstawiające tzw. *xenie*, koszyki wiktuałów, ofiarowywane klientom przez bogatych Rzymian, mówią o rodzajach zwierzyny, o tym jakie ceniono owoce, jak krajano chleb, jak zawijano sery w zielone liście, aby nie straciły świeżości. Filostratos kazał uczniom podziwiać bogactwo i ścisłość tych informacji. Z fresków pompejańskich można by ułożyć całą kolekcję naczyń z opalizującego szkła, znanych archeologom tylko ze skorup.

U malarzy flamandzkich i holenderskich strona dokumentarna jest szczególnie bogata. W *Walce wielkiego postu z karnawałem* Pieter Brueghel dał jak gdyby w skrócie życie miasteczka z XVI

wieku. Malarze holenderscy są niewyczerpani w realiach. Życie codzienne Holandii XVII wieku przedstawione jest na ich obrazach z malowniczym bogactwem szczegółów. Wielcy artyści — jak Gerard ter Borch, Pieter de Hoogh, Johannes Vermeer — pokazują nam uliczki, domy, ich wnętrza i mieszkańców nie zapominając, zdawałoby się, o żadnym detalu. Gdy z ich płócien poznajemy istniejące dotąd ulice i domy, historia Holandii nabiera zdumiewającej ciągłości, jakiej na próżno szukalibyśmy gdzie indziej. Wesołe oberże Jana Steena znikły wprawdzie wraz z rafinacją smaku i obyczajów, ale klimat ich można jeszcze znaleźć na bocznych ulicach Amsterdamu.

W bliższym nam XIX wieku malarze byli bardziej zajęci zagadnieniami formy, ale nie brakło wśród nich doskonałych obserwatorów otaczającego ich świata. Informacje ich są tak dokładne, że np. w Mantes mogłem bez chwili wahania znaleźć miejsce za mostem, gdzie Corot ustawiał pod drzewami swą sztalugę, aby malować panoramę miasta. Obrazy impresjonistów obfitują w realia, bez których nasz obraz XIX wieku byłby ubogi i niekompletny.

Dopiero w XX wieku kontakt artystów z otaczającym ich światem zaczął się rozluźniać, jak gdyby sama zdolność i potrzeba widzenia zaczęły się w tym czasie degradować. Początki tego procesu dostrzec można u Dostojewskiego, który wraz z bohaterami swych powieści jeździł wiele koleją, lecz nie wzmiankuje nigdzie, aby widział coś z okna wagonu. Monolog wewnętrzny wyparł realia z powieści, malarstwo stało się mniej lub więcej abstrakcyjne.

— Obraz naszej epoki — mówią teoretycy — pozostawmy fotografom.

Ale czy fotografia nadaje się do tego zadania? Czy fotografowie są doń przygotowani? Czy mają odpowiednie ambicje? Nasuwają się tu liczne wątpliwości.

Fotograf XIX wieku, noszący wielki kapelusz i czarną pelerynę, musiał rywalizować z realizmem malarzy. Zrozumiałem to pewnego razu w Salle Drouot podczas licytacji zbiorów, należących do francuskiego pułkownika z początków Trzeciej Republiki. Wśród mebli, obrazów i sztychów spostrzegłem oceniony tylko na 5 franków album z fotografiami, sięgającymi wstecz do ostatnich lat Drugiego Cesarstwa. Były tam fotografie bliższej i dalszej rodziny, zjazdów koleżeńskich, zaręczyn, ślubów i td. Na zdjęciach zbiorowych, zrobionych między Sedanem i sprawą Dreyfusa, koledzy pułkownika wyglądali dość sztywno w porównaniu np. ze starszą pułkowników holenderskich, portretowaną kolektywnie przez Fransa Halsę i podobniejszą zapewne do wojskowych francuskich z czasów Ludwika XIV. Natomiast widok

ludności cywilnej z jej surdutami, cylindrami, monoklami, wąsami i brodami, oraz dam z ich krynolinami, turniurami i dekolantami świadczył, że w klimacie tych czasów karnawał ceniono wyżej od frustracji. Constantin Guy robił z tego materiału skróty artystyczne, fotograf przedstawiał go w pełnym uroku integralnym autentyzmie.

Pewne okoliczności nie pozwoliły mi kupić tego albumu. W Salle Drouot operowała wówczas granda nie dopuszczająca obcych. Gdy przyszła kolej na album, podniosłem rękę. Na to stojący obok osobnik o podejrzanym wyglądzie uśmiechnął się pobłażliwie i powiedział: — Pięćdziesiąt. — Bez namysłu zawołałem: — Sto! — W mej naiwności wybrałem przypadkiem najlepszą taktykę. Wzięto mnie za potomka pułkownika, gotowego do wielkich ofiar, byle tylko zdobyć rodzinną pamiątkę. Gdy jednak licytacja doszła do 900 fr., mój antagonistą stał się ostrożny i dodał tylko 20 fr. Zrozumiałem przestroję i wycofałem się z gry. Przeciskając się ku wyjściu słyszałem: — Po raz drugi... po raz trzeci... Mój antagonistą wpadł we własny potrzask i za 920 fr. kupił obiekt warty najwyżej 5. Dopędził mnie na ulicy: — Ustąpię panu ten album za 50 franków. — Zaskoczony propozycją nie znalazłem się na wysokości zadania, machnąłem ręką i odszedłem. Zresztą później album zginąłby z moją biblioteką, zawierającą cenniejsze pozycje.

Dziś fotograf nie rywalizuje więcej z realizmem malarzy. Fotografowie-artycy zdają się nie widzieć odrębności swego zadania. Są jak inni artyści naszego czasu, ulegają tym samym prądom, modom i pokusom. Ze zwiedzenia kilku wystaw fotografii artystycznej wyniosłem wrażenie, że fotografia artystyczna czy zawodowa nie jest w stanie przekazać obrazu i klimatu naszych czasów.

Fotografie osób np. służyły zawsze ich identyfikacji. — To jest ciocia Kordula, to wuj Kalasanty, a to jest ich piesek Bobuś. — Dla fotografów-artystów zadanie takie byłoby poniżej ich godności. Na wystawach widzi się twarze zamglone, rysy rozplywające się, naśladowane portrety Eugène Carrière'a. Inni ustawiają modele tak, aby nikt nie mógł ich poznać. Wiele twarzy ma wyraz ponury, mający widocznie wyrazić modne uczucie frustracji. Jeżeli nasi potomni zechcą dowiedzieć się, jak wyglądaliśmy, będą musieli szukać naszych podobizn w archiwach policji. Na portretach fotografów-artystów brak oczywiście wszelkich akcesoriów.

Wszystkie mody i prądy nurtujące malarstwo znajdują swe echo w fotografii. Na jednej z ostatnich wystaw widziałem np. kilkadziesiąt zdjęć ustawionych w grupy butelek. Było to oczywiste echo pośmiertnych wystaw Giorgia Morandiego. *Pittore*

metafisico — nazywali go krytycy. Otóż i *fotografia metafisica*.

Kilka fotografii zwróciło moją uwagę jako udatne naśladowanie malarstwa abstrakcyjnego. Jedna, mająca metr kwadratu powierchni, pokryta była krótkimi kreskami pionowymi, rozrzuconymi kapryśnie po białym tle. Gdzie fotograf znalazł taki obiekt? Po dokładnym obejrzeniu tego eksponatu okazało się, że kreski były łodygami nisko skoszonego sitowia, wystającymi z wody odbijającej biel nieba. Inna fotografia przedstawiała białą przestrzeń pokrytą krzywymi znakami: były to gałązki krzewów zasypanych śniegiem.

Fotograf szukał tu wyraźnie modelu, w którym natura naśladowała sztukę abstrakcyjną. Myśl o naturze naśladowanej sztukę uchodzi za paradoks Oscara Wilde'a, jest jednak znacznie starsza. Tasso w *Jerozolimie wyzwolonej*, opisując ogród Armidy mówi, że natura zdawała się tam dla przyjemności naśladować swą zwykłą naśladowczynię. Przedmioty utrwalone na kliszy mogą też naśladować sztukę, ale jak długo fotografia będzie się bawiła takim naśladownictwem, nie ma mowy o spełnieniu zadania, włożonego na nią przez karencję malarstwa.

Zadanie to staje się coraz trudniejsze, bo z różnych przyczyn nasza zdolność i możliwość widzenia — a zatem i fotografowania — uległa ostatnio pewnemu zmniejszeniu. Co bowiem jest wyraźniej przeznaczone do oglądania jak pomniki architektury? Od lat już patrzeć na nie możemy tylko nocą, przy sztucznym oświetleniu. Za dnia musimy uważać na znaki na asfalcie, na sygnały świetlne, na jadące ze wszystkich stron wozy. Gapiący się na fasady pałaców uszedłby za lunatyka. Z tej nowej sytuacji architekci wyciągnęli już wnioski. Zdają się być pewni, że na ich fasady nikt patrzeć nie będzie.

Dokładniejszy niż fotografia artystyczna obraz naszych czasów daje, być może, fotografia handlowa, działa ogłoszeniowe czapism i prospekty domów handlowych. Fotografie potraw przyrządzonych z konserw, samochodów, konfekcji, hoteli, mebli i t.d. są nieco upiększone, lecz bliskie prawdy. Nie jestem jednak pewny, czy przyszłe pokolenia potrafią zainteresować się tymi realiami.

Czy fotografii uda się przekazać jakiś wiarygodny obraz życia naszych czasów? Można o tym wątpić. Pewne nadzieje budzi jednak nieograniczony rozmiar produkcji fotograficznej. Gdy znanego fotorepotera pytano, jakiej się trzyma metody, odpowiedział: W krótkim czasie robię kilka tysięcy zdjęć; potem okazuje się, że w tej liczbie dwa lub trzy są dobre.

Podobną metodą posługiwał się zapewne Mario Pannunzio. Przeglądając tysiące fotografii, znajdował wśród nich dziesięć do najbliższego numeru *Il Mondo*.

Bardziej obiecująca wydaje się działalność fotografów-amatorów. Intencją ich jest mianowicie zachowanie dla pamięci osób, które znali, miejsc, które widzieli, i wypadków, których byli świadkami. W ich prywatnych zbiorach przyszłe pokolenia szukać będą zapewne obrazu naszej epoki. Nie wiem, w jakiej mierze są świadomi doniosłości zajęcia, które traktują najczęściej jako rozrywkę. Chciałbym zachęcić ich do większej systematyczności. Wielu fotografuje tylko podczas letnich podróży, gdy ich zwykłe otoczenie i codzienna egzystencja mogłyby dostarczyć równie interesujących obiektów. W ostatnich latach np., w różnych miastach i przy różnych okazjach, można było nieraz widzieć tańczących na ulicy. Przyglądając się tym malowniczym scenom, godnym pędzla Brueghela, nigdy nie widziałem, aby je ktoś fotografował. Dlaczego? Zbiory fotografów-amatorów będą kiedyś tym wyżej cenione, im lepiej będą uporządkowane: skatalogowane, opatrzone nazwiskami osób, datami i wskazówkami dotyczącymi treści. Fotografowie-amatorzy są archiwistami obecnie zapoznanych, lecz w przyszłości być może bezcennych dokumentów.

Paweł HOSTOWIEC

Jugosłowiańskie lato 1966

Na promie płynącym z Anglii do Francji polskich „krajowców” rozpoznaje się po bagażu. Wiozą go oni w ogromnych ilościach, tak z pół tony na osobę, a na twarzach ich maluje się wyraz kompletnej obojętności na wszystko co nie jest związane z bagażem. Zawartość tobołów jest na ogół standartowa: galon płynu do mycia naczyń, kilkanaście paczek proszku do prania, sweterki nylonowe, szaliczki, bluzki, wybór plastikowej taniocy od Woolwortha, galanteria, pasmanteria, no i nieodzowne szpilki i igły. Polski przemysł stalowy rośnie z roku na rok, wskaźniki produkcji skaczą regularnie co najmniej po pięć procent, w zasięgu najbliższych planów jest już liczba dziesięciu milionów ton surowej stali wyprodukowanej rocznie, ale dobrych igieł jak nie było tak nie ma. Jedyne co można otrzymać to jeszcze więcej surowej stali. Jest w tym jakiś obłąkany chocholski rytym, którego żadna siła nie może przerwać. Chcecie żyletek? Macie stal! Chcecie igieł? Macie stal! Chcecie samochodów? Macie stal!

W pociągu pędzącym do Paryża drzwi mego przedziału otwierają się gwałtownie i wpada jedna z polskich, pożałujcie Boże, turystek. Włosy rozwiane, twarz zalana łzami, cała postać znamionuje najgłębszą rozpacz i ból. Panie, bagaż mi zginął! Jak się ten tłum na statku rzucił do wyjścia to mnie rozdzielił i zginął, cały statek przeszukałam, niech pan coś radzi przecież obiecał pan pomagać...

Myślę więc, obmyślam środki zaradcze. Polska jest krajem dość wysoko rozwiniętym gospodarczo i zasadniczo nie ma obiektywnych przyczyn dla których ludzie w Warszawie czy Końskowoli nie mogliby sobie pójść do sklepu i kupić głupiego szaliczka czy igły. Ostatecznie rzeczy te są powszechnie osiągalne od wysp Sztetlandzkich do Peloponezu i najrozsądniejszym rozwiązaniem byłoby zorganizowanie odpowiedniego zaopatrzenia konsumenta

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

\$ = 72 zł. £ = 201 zł.



Tel: FRE. 7888

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

w kraju, żeby nie musiał tak kompromitująco targać się z byle głównym przez całą Europę. Muszą działać przyczyny subiektywne tzn. wynikające z „systemu”, ale tu należy zaznaczyć, że Jugosława operująca tym samym systemem i dysponująca mniejszym potencjałem produkcyjnym potrafiła jednak w dużym stopniu rozwiązać ten problem. Polskie przyczyny subiektywne muszą więc być bardzo specjalne. Może — jak mówi Mrozek — taka u nich specyfika że im w nocy garbate karzełki szczają w produkcję?

Zakładając że rozwiązanie krajowe jest na razie niemożliwe ze względu na specyfikę, można jednak pokusić się o rozwiązanie emigracyjne. Otóż dla zaspokojenia najbardziej prymitywnych potrzeb konsumpcyjnych nie jest konieczne wożenie tych ludzi tyśiące kilometrów po Paryżach i Londynach. Proszek „Omo” jest taki sam w Nowym Jorku i Atenach. Wystarczy więc dowieźć naszych gości do najbliższego punktu zaopatrzenia. Punktem takim jest Wiedeń. Za jedne dziesięć dolarów można nasze stęsknione babcie, ciocie, kuzynki sprowadzić z Zebrzydowic do Wiednia, tam niech się obkupią i z powrotem do Zebrzydowic. Można by nawet wynająć jakąś sporą halę po-fabryczną, gdzie zebrane byłyby wszystkie dobrze znane przedmioty marzeń świata socjalistycznego i gdzie przybysz z za kurtyny mógłby z miejsca zaopatrzyć się we wszystko za jednym zamachem. Kochające rodziny z Paryża, Londynu i tp. mogłyby przy tej okazji również pojechać do Austrii i tam spędzić urlop. W ten sposób obie strony byłyby zadowolone, a koszt byłby dużo mniejszy niż przy obecnym systemie sprowadzania rodzin do odległych miejscowości Europy Zachodniej.

◆

Orient-Express. To tu James Bond stoczył dramatyczną i zwycięską walkę z agentami Smersz-u. Teraz już by to nie było takie łatwe, bo pociąg wypełniony jest po brzegi turystami jadącymi po słońce Bałkanów. W moim przedziale jacyś dziwni paryżanie: Francuz żonaty z Bułgarką, Grek z Francuzką, samotny Francuz z pochodzenia Turek. Wszyscy jadą do Złotych Piasków w Bułgarii, a waliz mają prawie tyle, co nasi krajowcy. Już prawie zasypiam na swej *couchette* przy akompaniamencie wartkiej rozmowy w niemal mi nieznanym języku, gdy nagle...

— *Les Polonais* chcą sweterki w każdym kolorze byle nie w czerwonym...

— *Les Polonais* mówią że futra bułgarskie są bardzo opłaczalne...

— Już jest Zorki 11, ale jest to tańszy model od 10...

W ciągu 36 godzin wspólnej podróży mozolnie, posługując się ułamkami siedmiu języków, odkrywam całą prawdę. Walizy turystów zawierają szaliczki, sweterki i td. przeznaczone dla naszych rodaków, którzy płacą aparatami fotograficznymi, filmowymi, radiami, kożuszkami bułgarskimi; te ostatnie nabywane są przez Polaków od Bułgarów za zegarki i części do zegarków. W ostatecznym efekcie zarówno strona polska jak i francuska ma darmowy miesiąc w Złotych Piaskach, a może sobie nawet coś na tym zaoszczędzi.



Koguty pieją w Belgradzie o 8.30 rano, piętnastoletnie wyrostki chodzą boso, gdzieś tam ktoś dyskretnie zażębrze, setki ludzi sprzedają nieistotne usługi w rodzaju zważenia się czy przejrzenia w lusterku. Jacyś polscy turyści z Rzeszowa wytrzeszczają oczy: „Ależ to, panie, poziom, wszystko tu jest!” W reprezentacyjnym hotelu „Slavija” polska delegacja służbowa ocenia sytuację bardziej krytycznie: „Bo oni to nie prawdziwi socjaliści, zdradzili wiele zasad socjalizmu”. Wieczorem prawdziwi polscy socjaliści kończą swoje zajęcia i idą w Belgrad sprzedawać przywiezione z Warszawy kryształ.

Co do warunków wymiany handlowej panują wśród Polaków dwie szkoły myślenia. Jedni twierdzą, że skoro w Polsce za dolara oficjalnie dostaje się 72 zł, a w Jugosławii 12,50 dinarów, więc 1 dinar = 6 zł. Drudzy liczą według kursu turystycznego. Mianowicie na wyjazd do Jugosławii turysta polski dostaje 60 dolarów po oficjalnym kursie 24 zł za dolara, z tym że dodatkowo dopłacać musi 30 zł do każdego dolara na „fundusz popierania turystyki”, a więc prawdziwa cena dolara wynosi 54 zł, czyli 1 dinar = 4 zł. Ten „fundusz popierania turystyki” to dowcip typowo totalitarny. Analogicznie hitlerowcy obcinali Polakom na robotach w Rzeszy część ich mizernych zarobków i mówili, że to na „fundusz odbudowy Polski”. Pełnię perfidii tej akcji „popierania turystyki” zrozumiemy gdy uwzględnimy, że w bieżącym sezonie przyznano dewiz na wyjazdy do Jugosławii w ilości wystarczającej dla tyśiąca osób. Nic dziwnego, że ogonki na wyjazd zaczęły tworzyć się już w okresie Bożego Narodzenia i że, jak zwykle, przydział odbywał się przy udziale łapówek, protekcji i tp.

Wracając do sprawy kursu walut, żaden praktycznie stosowany kurs nie oddaje właściwie relacji cen i dla Polaków wszystko w Jugosławii jest drogie. Dlatego jedzie tu tylko sama elita spo-

łeczeństwa polskiego: dobrze ustawieni lekarze, dyrektorzy przedsiębiorstw, artyści — ludzie zarabiający mniej niż 5.000 zł o Jugosławii nawet nie mogą marzyć.



Nawet w najgorszych czasach system jugosłowiański wolny był od obłąkanych wypaczeń modelu sowieckiego. Chłopi zawsze byli właścicielami swych gospodarstw, rzemiosło prywatne działało, właściciel domku czy mieszkania jednorodzinne miał prawo własnością tą swobodnie dysponować. To ostatnie odnosi się do znacznej części budynków miejskich. Tak np. dane opublikowane po trzęsieniu ziemi w Skopje wykazują, że 55% zniszczonych domów mieszkalnych było w posiadaniu prywatnym; po odbudowie mieszkania w wielkich blokach zostały w pierwszym rzędzie zaoferowane na sprzedaż, i tylko nieprzyjęta reszta przejęta została przez miasto na wynajem. Tak więc nawet w minionym okresie warunki były znośniejsze, bardziej ludzkie, niż np. w Polsce.

Obecnie Jugosławia przechodzi okres reform. Oficjalna wersja akcji reformatorskiej wygląda w skrócie następująco:

Rok temu Sejm Federalny wydał ponad czterdzieści ustaw, dekretów i zaleceń w sprawie reformy ekonomicznej. Kluczowym krokiem była dewaluacja dinara z 750 na 1250 w stosunku do dolara (jednocześnie ustokrotniono, wzorem de Gaulle'a, wartość wewnętrzną dinara, tak że 1250 starych dinarów = 12,50 nowych dinarów). Ostatecznym celem reformy jest osiągnięcie wymiennalności dinara i wprowadzenie gospodarki jugosłowiańskiej na rynek światowy. Jugosławia stała się pełnym członkiem GATT i radykalnie obniżyła bariery celne, mianowicie z około 25% do około 10%. Zasadę obumierania państwa zaczyna się wprowadzać od strony obumierania granic celnych. Twórcy reformy wierzą, że wejście na rynek światowy wyrwie zbawienny skutek na strukturę gospodarki Jugosławii i stanie się potężnym bodźcem do podniesienia wydajności pracy. Konkretny przykład: jeden z zakładów produkował płaszcze ortalionowe z surowca importowanego z Włoch i zaopatrzył cały rynek wewnętrzny. Okazało się jednak, że na skutek niskiej wydajności pracy w zakładzie produkcyjnym cena płaszczy w Jugosławii była znacznie wyższa niż we Włoszech. Wobec tego sprowadzono duży transport gotowych płaszczy z Włoch i zaczęto je sprzedawać po cenie zachodnio-europejskiej. Zmusiło to zakład produkcyjny do drastycznej reorganizacji i obniżki kosztów własnych. Przykładów takich można zacytować więcej. Oczywiście tego rodzaju interwencja wymaga sporych rezerw, ale wydaje się że rezerwy te

są wystarczające. Pochodzą one z rosnącego eksportu, z turystyki i z wpłat jugosłowiańskich robotników zagranicą. W tej chwili około 1/4 miliona tych robotników pracuje w NRF, a niedawno zawarto analogiczną umowę ze Szwecją, gdzie wkrótce pracować będzie 50 tysięcy Jugosłowian.

W dziedzinie wewnętrznej celem reformy jest stopniowe wprowadzenie ekonomii rynkowej, na miejsce dawnego arbitralnego ustalania cen przez urzędy. Pierwszym krokiem w tej dziedzinie jest podwyżka cen na produkty rolne i surowce, dzięki czemu ma się uzyskać wolne ceny na żywność i zlikwidować system kontroli, dostaw przymusowych i subsydiów. Podwyżka ta spowodowała ogólny wzrost kosztów utrzymania w wysokości około 23%. Dla rekompensaty nastąpiła podwyżka płac, w pierwszym stadium wynosząca 15%. Mówi się, że z czasem wszystkie zakłady produkcyjne przejdą na system rachunku ekonomicznego, a urzędy ustalania cen przestaną istnieć. Na razie urzędy te będą ustalały ceny maksymalne, a przedsiębiorstwa będą miały pełną swobodę wyceniania swych produktów poniżej maksimum. W ten sposób wprowadzi się element wolnej konkurencji między przedsiębiorstwami.

Z kolei reforma zmierza do obniżenia kosztów administracji. Chodzi tu o ograniczenie biurokracji w ogóle, nie tylko urzędu bezpieczeństwa, o którym tak głośno było w związku z dymisją Rankovica. Znow przykład: w sektorze ubezpieczeń społecznych ogromne sumy szły nie na budowę szpitali i tp. urządzeń, a na budowę biur pracy dla biurokratów. Specjalną ustawą Sejmu Federalnego obniżono prawie o połowę składki ubezpieczeniowe, co pozbawiło administrację tego działu możliwości biurokratycznego wyżywiania się. Może najważniejsza część reformy to właśnie obciążenie „konsumpcji zbiorowej” i odprowadzenie wpływów z produkcji do źródła, czyli do jednostek produkcyjnych. Zlikwidowano więc podatek dochodowy płacony przez przedsiębiorstwa i zmniejszono o 1/3 procent jaki przedsiębiorstwa muszą płacić państwu za kapitał będący w ich dyspozycji. W sumie obniżyło to udział organów politycznych w dochodzie narodowym podzielnym z 50% na 29%, natomiast jednostki produkcyjne rozdzielały obecnie ponad 70% tego dochodu. W praktyce oznacza to, że producent dysponuje wytworzoną przez siebie wartością. Jest to absolutnie konieczne jeśli producent ma utrzymać się na rynku w warunkach swobodniejszego działania popytu i podaży.

A teraz komentarz. Przedstawiony powyżej obraz jest optymistyczny tylko w odniesieniu do sytuacji typowo socjalistycznej. Dla nieuprzedzonego obserwatora nawet zreformowany system zawiera szereg trudności i nielogiczności. A więc zdarzyło się, że

wpływowa gazeta zauważyła tę sprawę płaszczy ortalionowych i minister zarządził interwencję. Ale to nie jest właściwy mechanizm dla regulowania całości gospodarki. Nowoczesny aparat produkcyjny wytwarza setki tysięcy różnych artykułów. Ta gazeta i ten minister mogą dopilnować kilkudziesięciu z nich. A reszta? System ten nie gwarantuje też wcale dopływu na rynek tych tysięcy różnych towarów, których Jugosławia w ogóle do tej pory nie zna. Możliwości interwencji za pomocą importu są w praktyce bardzo ograniczone. Zaawansowane systemy przemysłowe operujące na ogromnych rynkach mogą niemal wszystko wyprodukować taniej, niż mała Jugosławia, a na zakupienie wszystkiego zagranicą żadne rezerwy nie wystarczą. Ceny światowe można więc stosować tylko dla niewielu wybranych artykułów. Reszta musi być albo nieosiągalna, albo droga. Reforma jugosłowiańska imponuje nie w zestawieniu z systemami, które przeszły feudalizm, merkantylizm, kapitalizm i doświadczenia tych epok wykorzystują dziś w ramach państw powszechnego dobrobytu. System jugosłowiański wyrósł na glebie wielowiekowego zacofania, gdzie żaden z minionych prądów gospodarczych nie mógł w pełni zapuścić korzeni i przejść przez wszystkie fazy swego rozwoju. Socjalizm w wydaniu wschodnio-europejskim i azjatyckim to mieszanina elementów dawnych epok. Elementy te ciągle jeszcze mają aktualne powiązania z warunkami socjo-ekonomicznymi lub z psychologią narodów zamieszkujących tamte tereny. Tylko pamiętając o tym diametralnie różnym punkcie odniesienia zrozumieć można całą wartość jugosłowiańskiej reformy. Na razie chodzi tylko o wprowadzenie odrobiny rozsądku w system zasadniczo urągający zasadom logiki.

O ile mężczyźni w Jugosławii są wyjątkowo przystojni, to kobiety nie odznaczają się urodą. Rysy ich są zbyt surowe, niekiedy aż tragiczne w swoim wyrazie. Dlatego dwie rzadkiej piękności kobiety spacerujące w porze wieczornego *corsa* po belgradzkim Terazije z miejsca zwracają uwagę. Okazuje się, że to Polki, ale już od roku emigrantki przez małżeństwo. Mężowie zarabiają średnio, a więc około 600 dinarów miesięcznie, co chyba jest gorzej niż „te polskie dwa tysiące”, o których tak smętnie śpiewa Przybylska. Same pracować nie mogą, bo Jugosławia jeszcze nie jest na tym etapie aby pogodzić się z zatrudnianiem cudzoziemców. Nawet ambasada PRL nie chce ich zatrudnić, bo „do was już nie możemy mieć zaufania”. Życie więc nie jest zbyt uprzejme dla naszych pielgrzymek. Nieodparcie cię-

nie się pytanie: więc pociąg wyjeżdżał z Polski? Odpowiedź: „Bo tu jakoś bliżej świata” jest jeszcze jednym wyrazem tego samego dążenia do wolności, które każe bojownikowi o polskość Mazur emigrować jako Niemiec do NRF, staremu antysemitom zgłaszać się — za pośrednictwem piętnastej wody po kisielu — na emigrację do Izraela, a wysoce kwalifikowanemu inżynierowi pracować jako mechanik w Anglii. To właśnie prawdziwa emigracja polityczna, bo tu już naocznie widać, że nie chodzi o względy ekonomiczne, a wprost przeciwnie — ludzie płacą wielką cenę ekonomicznie byle tylko wyrwać się z klatki. Bliżej świata... Kiedyś Lesseps przewidywał, że w połowie XX-go wieku Warszawa będzie stolicą Europy, a tymczasem dziś zabite deskami Bałkany stają się „wielkim światem”, a Polska — Polesiem. Warto tu wspomnieć jeszcze jedną reformę jugosłowiańską, tę właśnie, która może najbardziej zbliża system titowski do ustroju krajów cywilizowanych. Obecnie każdy obywatel Jugosławii może za niską opłatą, 20 dinarów, otrzymać paszport zagraniczny, który pozostaje w jego posiadaniu przez 10 lat. Przydział dewiz na cele turystyczne jest bardzo skromny, tym niemniej istnieje i wynosi 20 dolarów rocznie, z tym, że dewizy otrzymane z zagranicy czy w jakiś inny sposób (np. niewydane diety z wyjazdów służbowych) odkładane są na specjalne konta do wykorzystania przez posiadacza. Jugosławia zaproponowała wszystkim państwom świata bez względu na ustrój wzajemne zniesienie wiz wjazdowych. Z krajów europejskich propozycji tej nie przyjęły tylko kraje o pretensjach imperialnych: Francja, Anglia i ZSSR.

◆

Mostar, miasto 200 meczetów; most Sulejmana; cmentarz partyzantów podobny nieco do polskiego cmentarza na Monte Cassino; przy nowym moście dwa hotele pełne turystów, rozebrane chłopaki kręcą się między turystami i za jednego dinara skaczą dwadzieścia metrów w dół do wąziutkiej Narety...

Obiad z lokalnym dygnitarzem, rozmowa poświęcona budżetom rodzinnym. Oto miesięczny budżet dygnitarza:

dochody

pensja własna	1.250
pensja żony	800
dodatek rodzinny na 5 dzieci	250
Razem	2.300 dinarów

rozchody

mieszkanie (4 pokoje z kuchnią i td.) ..	100
światło	50
opłata telewizyjna	20
członkostwo partii komunistycznej za siebie i żonę	30
jedzenie	1.400
ubranie	400
meble i utrzymanie domu	300
Razem	2.300 dinarów

Jak widać budżet niesłychanie skromny, biedniacki. Ale Mostar przy całej swej malowniczości to miasteczko ogromnej biedy. Odwiedzam jakieś kurne chaty, gdzie boso chodzące młodocielepskavice okazują się być studentkami ostatniego roku fizyki teoretycznej, bije z nich duma z osiągnięć socjalizmu w Jugosławii. A propos: analfabetów jest tu jeszcze 20% (tzn. 20% ludności w wieku lat 10 lub więcej), ale studentów na 10,000 ludności jest w Jugosławii 90, podczas gdy w Polsce tylko 70.

Sarajewo. Licha rzeczka, na niej jeszcze lichszy mostek, miejsce jednego z ostrzejszych zakrętów historii. To tu wybuchła pierwsza wojna światowa. Gdyby się temu Principowi nie zachciało wtedy strzelać do arcyksięcia, to dwie trzecie tego, co dziś jest Polską byłoby Niemcami a Rosja musiałaby rusyfikować różne ludy przy użyciu przestarzałego i nieefektywnego prawosławia, a nie naukowego marksizmu...

Okazuje się, że jak wszyscy zachodni dziennikarze jestem kompletnie zdezinformowany przez oficjalne czynniki jugosłowiańskie, nie mam zielonego pojęcia o specyfice i wymagam całkowitej reedukacji. Tego trudnego zadania podejmuje się grupa słoweńskich studentów bawiących na wakacjach w Sarajewie. Oto ich poglądy oddane jak najwierniej i bez komentarza:

Na pytanie „Jaki procent ludności popiera obecny reżym?” odpowiedź jest prosta: Żaden. Nikt, nawet sam Tito, nie jest zadowolony z systemu i ciągle się mówi o jego naprawie, a zamiast poprawy jest ciągle pogorszenie. Ta tzw. reforma to bluff na użytek zagranicy. Wszystkie skutki dodatnie mają nastąpić w jakiś nieokreślony sposób kiedyś w nieokreślonej przyszłości; a tymczasem jest jeden skutek konkretny: ceny poszły w górę o 30%, a płace podwyższyli o 15%. A więc wszystko co się mówi

o polepszeniu to kłamstwo. Przez ten rok poziom życia uległ drastycznemu pogorszeniu. Oczywiście szerokie warstwy cierpią więcej, a dygnitarze potrafili się tak urządzić, że to ich nie dotknęło. Wynika to już choćby z tego, że zarabiają więcej, więc żywność gra mniejszą rolę w ich budżecie... Spójrzmy na ten budżet powiatowego dygnitarza przytoczony powyżej. Pierwsza uwaga: ilu ludzi w Jugosławii zarabia 1.250 dinarów? — minimalna ilość, bo 85% ludności zarabia poniżej 800 dinarów. I drugie pytanie: kto, poza uprzywilejowanymi, ma takie duże mieszkanie za 100 dinarów? Przecież ogromna ilość ludzi w miastach w ogóle nie ma mieszkania tylko podnajmuje pokoje za ogromne sumy. Przykładowo, ten uprzywilejowany dygnitarz ma cztery pokoje za 100 dinarów, ale może on odnajmując jeden z tych pokoi za 200 dinarów. Jest to normalna cena i wielu uprzywilejowanych takie właśnie ceny pobiera... Ta dymisja Rankovica to też nie wróży nic dobrego. W tej chwili jest względnie dobrze tzn. nie biorą ludzi za mordę, bo są różne frakcje które się wzajemnie gryzą. Upadek Rankovica oznacza, że frakcja spod znaku Urzędu Bezpieczeństwa przegrała, a frakcja Partii wygrała. W konsekwencji nastąpi konsolidacja władzy w mniejszej ilości rąk i wtedy wzmoże się ucisk. Co gorsze zwycięstwo Partii oznacza, że władza dostała się niepodzielnie w ręce fanatyków, których nie obchodzi nic poza wprowadzeniem w życie abstrakcyjnych mrzonek. Dlatego perspektywy dla ludności są gorsze. Pod tym względem Urząd Bezpieczeństwa jest lepszy, bo obchodzi ich tylko władza a nie interesuje ich co ludzie myślą i mówią. Tak więc w ciągu kilku miesięcy należy spodziewać się zakończenia obecnego liberalnego kursu i oczekiwać wzrostu ucisku... Jest rzeczą paradoksalną, że obecny niewydajny i szkodliwy dla ludności reżym jest podtrzymywany przez Zachód. Gdyby pomoc, tak regularnie płynąca z Ameryki została wstrzymana, reżym musiałby upaść na skutek trudności gospodarczych. Dlatego pierwszym przykazaniem dla Zachodu powinno być wstrzymanie wszelkiej pomocy obecnym władzom Jugosławii. Zmusi to je do radykalnej zmiany polityki, co będzie z wielkim pożytkiem dla ludności, bo w tej chwili największą klęską gospodarczą jest system ograniczeń politycznych, które nie pozwalają na wykorzystanie zasobów ludzkich, zasobów energii, inicjatywy, wynalazczości każdej jednostki ludzkiej.

Dubrownik. Pluskamy się w wodzie, na plaży gramy w brydża, posilamy się polskimi produktami żywnościowymi, które już od tygodnia są w drodze i naturalnie gadamy, gadamy...

— Mnie pan o komunizm nie może posądzać, bo siedem lat przesiedziałem w więzieniu pod komunistami, więc panu powiem, że Polska jest biedniejsza od Jugosławii dlatego, że więcej zniszczeń ucierpiała w czasie wojny i po wojnie. Bo doznaliśmy ogromnych zniszczeń nie tylko w czasie wojny, ale jeszcze potem Rosjanie wywozili wszystko doszczętnie, kamienia na kamieniu nie zostawiając...

Jest to typowa drętwa mowa. *Typowa* dlatego, że powtarzają ją aż do znudzenia Polacy wszystkich zawodów, poziomów wykształcenia i orientacji politycznych (NB. Bo Polacy lubią przypisywać sobie różne orientacje polityczne; osobiście u większości z nich zauważyłem tylko głęboką dezorientację). A *drętwa*, bo materialistyczne wywodzenie z historii bieżących sytuacji gospodarczych jest anachronizmem. Ostatecznie sytuacja gospodarcza zależy od produkcji, produkcja to funkcja inwestycji, a inwestycje to bieżąca lecz nieskonsumowana produkcja. Kapitał, czyli cały nagromadzony majątek danego kraju wyraża się przeciętnie trzy-do-czterokrotną wartością rocznej produkcji. W zależności od tego czy odkładamy na inwestycje 20 czy 40 procent swej produkcji, możemy odtworzyć cały kapitał w przeciągu 7 względnie 15 lat. Niemcy uczyniły duży skok naprzód dzięki zniszczeniom wojennym, Anglia zapóźniła się bo nie miała zniszczeń i nie musiała podejmować nowych, a przez to unowocześniających inwestycji w przemyśle; Ameryka utrzymuje swą przodującą rolę w gospodarce świata głównie dzięki temu, że bezlitośnie niszczy wszystkie urządzenia mające ponad 20 lat.

Jednak jest dziedzina, w której dziedzictwo historii znaczy bardzo wiele. Jest nią czynnik ludzki, którego ukształtowanie dokonuje się w powolnym procesie trwającym całe pokolenia. Historia naszej cywilizacji obserwuje działanie dwóch zasadniczych typów ludzkich: europejskiego i azjatyckiego. Typ europejski wywodzi się z ludów osiadłych i nastawiony jest na prowadzenie działalności ekonomicznej. W ciągu stuleci przeszedł on przez różne formy organizacyjne i stosunkowo wcześniej odkrył prawo podziału pracy w produkcji i zgodnie z tym prawem stara się ułożyć swoją organizację społeczną. Typ azjatycki dąży nie do produkcji a do władzy. Atylla, Dżengis Chan, Timurlenk musieli żywić pogardę dla ludów zajmujących się produkcją, ich własny styl organizacyjny musiał wydawać im się znacznie wyższy, skoro pozwalał im podbijać ludy osiadłe i zabierać owoce ich produkcji. Zmieniły się czasy i warunki, ale *way of life* pozostał. W ottomańskiej Turcji, w carskiej Rosji, we współczesnych satrapiach bloku „ze Związkiem Radzieckim na czele” styl życia wymaga poświęcenia głównej uwagi intrygom i machinacjom dworskim, rozgrywkom personalnym, problemom władzy w najbar-

dziej prymitywnym sensie tego słowa. Produkcja pozostaje na bardzo dalekim planie i to także tam, gdzie obowiązuje materialistyczna *lip service*. Gdy niezliczone armie Stalina uwalniały Niemcy od rowerów, zegarków i td. musiało to być odczuwane przez uczestników tego procesu, jako radosna rekompensata za wszystkie nędze komunizmu, jako ostateczny triumf zwolenników kultu władzy.

Kolejna uwaga na marginesie. Kto jak kto, ale Polacy powinni to chyba zauważyć, że odbudowywać jest bez porównania łatwiej, niż budować od nowa; Rosjanie nie wywieźli nasypów kolejowych, dróg, kanalizacji, fundamentów, nawet konstrukcje budynków w większości zostały, nawet jakieś urządzenia; Pafawag chyba nie przez przypadek jest we Wrocławiu?

I ostatni punkt. Nieprawdą jest, że Jugosławia jest bogatsza od Polski. Potencjał produkcyjny Polski przekracza znacznie potencjał Jugosławii i tylko nieszczęśliwej specyfice zawdzięcza Polska ciągłe braki.

◆

Podgora, wieś ongiś rybacka, teraz ośrodek turystyczny. Monolog pod palmą. Nie rozumiecie po serbo-chorwacku, to wy skąd? A, Polak! To my z jednej rodziny. Tylko wy Polacy źle robicie, że Rosji nie lubicie. Bo Rosja to tak jak matka dla nas wszystkich i z wrogami naszymi się biła, a głównie z Austro-Węgrami. Austro-Węgry to największy wróg, przez stulecia nas gnębił i do swojego wojska siłą nas brał i wojnę wywołali, aż to okropna wojna była, a potem jeszcze ten Hitler. Po angielsku nauczyłem się w Nowej Zelandii, dwa lata tam byłem, w 1911 i 1912 roku, bo uciekać musiałem jak mnie Austro-Węgry do wojennej marynarki chcieli powołać. Straszne to były czasy jak nas tak gnębili, Włosi i wszyscy inni a najgorzej to Austro-Węgry. Węgry to naród co ze stepu przyszedł i w step powinien być wyrzucony. Wyrwać ich z korzeniami i na azjatycki step, żebyśmy ich nawet nie widzieli. A my wszyscy razem powinniśmy się trzymać przy Rosji, to wtedy wszystkich pobijemy. W Anglii to dobrze macie, bogaty kraj, a u nas bida aż piszczy i Tito wszystkich dusi podatkami aż trudno wytrzymać. *Cigaretu jakiej nie mającie?*

◆

Zadar. Rozmowa z Mihailo Mihailovem.

B.: Czy mógłby Pan najpierw przypomnieć fakty z niedawnej

- przeszłości — jak zakończyła się Pana sprawa o szkalowanie Związku Radzieckiego?
- M.: Zostałem skazany na 9 miesięcy aresztu z zawieszeniem na dwa lata.
- B.: Czy był Pan w ogóle w więzieniu?
- M.: Tak, przez dwa miesiące przed procesem. Po procesie zostałem natychmiast zwolniony.
- B.: A co z pracą?
- M.: Zostałem wtedy zwolniony z uniwersytetu i od tego czasu nie pracuję.
- B.: Czy mimo wypuszczenia Pana na wolność uniwersytet nie może Pana przyjąć?
- M.: Ta sprawa będzie rozstrzygnięta we wrześniu. Przypuszczam, że administracja uzna mnie za członka ciała akademickiego i że dopiero to ciało będzie miało obowiązek pozbyć się mnie.
- B.: W jaki sposób?
- M.: Co trzy lata każdy członek personelu akademickiego musi być zatwierdzany czyli wybierany przez specjalną komisję Senatu, która składa się z trzech członków. Dwóch z nich to oddani członkowie Ligi Komunistów Jugosławii i ci niewątpliwie zdecydują o moim usunięciu.
- B.: Więc z czego Pan żyje i będzie żył?
- M.: Na razie mam nieco honorariów autorskich z zagranicy. Co będzie potem — nie wiem. W tej sytuacji szczególnie odczuwam pirackie praktyki niektórych wydawców na Zachodzie. Tak np. American Labor Conference zrobiła już dwa wydania mojej książki, ale ja nie dostałem za to ani centa.
- B.: Czy mógłby Pan przedstawić swoje obecne plany wydawnicze?
- M.: Chciałbym już we wrześniu wystąpić ze swoim miesięcznikiem, któremu prowizorycznie daję tytuł „Sloboda” (Wolność). Pismo początkowo ukazywałoby się na powielaczu, ale myślę, że szybko przeszłoby na druk.
- B.: Co ma być celem pisma?
- M.: Demokratyczny socjalizm, tzn. demokratyzacja obecnej formy naszego socjalizmu. Dokładny program, jak również i tytuł pisma, zostanie ustalony na zjeździe komitetu wydawniczego, który ma odbyć się w dniu 10-12 sierpnia. Obecnie cały mój wysiłek idzie w zorganizowanie tego zjazdu.
- B.: Wygląda na to, że jest to sprawa ciężka. Jakie są główne trudności?
- M.: Administracyjne. Przeszedłem już jedno wielogodzinne śledztwo, a obawiam się, że to nie koniec. Biurokracja ciągle nawołują do ukrócenia biurokracji, ale w praktyce trzymają wszystko w swoich rękach. Jeśli próba wydania pisma nie

- powiedzie się, będzie to wyłącznie z powodu ograniczeń administracyjnych.
- B.: A jak wygląda ta sprawa z prawnego punktu widzenia?
- M.: Z punktu widzenia prawa każdego pięciu ludzi może zawiązać spółdzielnię do prowadzenia wszelkiego rodzaju działalności, m.in. wydawania pisma. Pod moim projektem podpisało się już dwadzieścia osób z całego kraju. Pragnę podkreślić, że stoimy jak najbardziej na gruncie legalizmu i w całości przyjmujemy obecny socjalistyczny ustrój Jugosławii. Natomiast nie zgadzamy się z poglądem, że jedna osoba, czy kilka zawsze tych samych osób, mogą zawsze i wszędzie dysponować nieomylnością w ocenie najróżnorodniejszych sytuacji i pobieraniu tysiąca praktycznych decyzji. Innymi słowy chodzi nam o stworzenie forum, na którym można by dyskutować *różne* istniejące możliwości i krytykować te decyzje, które nie robią najlepszego użytku z tych możliwości. Przypominam, że głosy za przywróceniem wolności debaty na szczeblu KC odezwały się również na ostatnim zjeździe w Brioni.
- B.: Czy doznał Pan jakichś innych szykan administracyjnych — czy np. mógłby Pan wyjechać zagranicę?
- M.: Jak najbardziej. Gdy zwróciłem się o paszport dostałem go z niezwykłym pośpiechem. Ale w obecnej sytuacji nie chcę wyjeżdżać z kraju. Nie chcę stać się drugim Tarsisem.
- B.: Jak określiłby Pan grupę osób popierających Pana?
- M.: Jednym słowem: młodzież. Nie można zapominać, że jesteśmy już uznani za opozycję, a opozycjoniści starego pokolenia to głównie separatyści słoweńscy i chorwaccy. Ci z nami nie pójdą, bo my chcemy zwracać się do społeczeństwa całej Jugosławii. Ale młode pokolenie mniej zajmuje się partykularyzmem, a bardziej zasadniczą reformą naszego ustroju. To pokolenie stoi za nami.

Bohdan BRODZIŃSKI

Lili Marlene

Sara, Sarusia to była Żydóweczka która przychodziła pod bramę naszych koszar i czekała na Wojciechowskiego. Bardzośmy się tym bawili, więc i oczywiście podpowiadaliśmy sobie słowa piosenki, głupie i trywialne:

*Małgosia biedna jest bez miary
Troska dręczy ją
Bo chciała wiedzieć czy koszary
Z bliska ładne są...*

Smieliśmy się i pokpiwali, ale przecież to było aż straszne. To było niebywałe, na tamtejsze stosunki, coś jakby nienaturalnego a zarazem naturalnego, bo dziewczyna naprawdę wystawała pod bramą koszar godzinami, a tam przecież był ruch, ludzie szli tędy i owędy i każdy to widział od razu. A ona nic tylko tam wystawała. Mówiono że przecież była córką nie byle kogo, bogatego kupca, handlarza, który i bogacz i był rabinem i godności w kaha-le piastował, a więc skandal ogromny i na wielką skalę. Żydóweczka zadurzona w „goju”, do tego koszary i wszystko na widoku. Toteż chociaż pokpiwaliśmy sobie, bo heca była do rozpuku, to jednak naprawdę czuliśmy się nieswojo, niezgrabnie.

A do tego Sara, Sarusia była, co by tu powiedzieć, jakich superlatywów użyć na opisanie kobiecego piękna? Przede wszystkim nie była kobietą, ale dziewczyną, dziewczynką, ile mogła mieć lat? szesnaście, siedemnaście? A więc wszelkie opisy dojrzalej kobiecości jakoś by nie przystawały. Była, spróbujmy, ani słowo „powabna”, ani „zachwycająca”, ani „cudo”, jakoś nie pasowało żadne z nich, ale była naprawdę cudowna. Bo oczy, proszę, jakie to miała oczy! Szare, w czarnej oprawie rzęs i de-

likatnych brwi i takie zaokrąglenie policzków, i włosy jej się sypały na kark i czoło i uśmiech naiwny, dojrzały i dziecinny zarazem i pierś podnosząca się westchnieniem, i nie wstydziła się niczego, była bezwstydną.

O tamtejszych Żydach mówiono że to są najgłupszy Żydzi, o głupocie przysłowiowej, anegdotycznej, biblijnej, pełno było o nich opowiastek i przysłów. Na przykład, nie bardzo to dowcipne, ale mówiło się: „Głupi jak indyk kantora z Chłądu”, niby że to miała być jakaś kwintesencja głupoty, apogeum imbecyliów, szczyt ograniczenia i prymitywu umysłowego. Albo była inna powiastka z folkloru żydowskiego o tym „jak Żydzi chładowscy złapali księżyc w studni”, niby że ujrawszy odbicie chybotałiwe księżycy w studni, w sposób najchytrzejszy w świecie czym prędzej przykryli cembrowiny i w ten sposób udało się im złapać pozał się Boże satelitę. O nich to nawet w Londynie mówiono, a że to w Banku Angielskim, u Old Lady of The Threadneedle Street, w safesie trzymają i pokazują z dumą pięćofuntowy banknot, który kiedyś zabłąkał się aż do Chłądu i tam Żydzi z kahału poświadczyli podpisami na tym bankocetlu że to prawdziwe pieniądze.

Ale dosyć tych anegdot. Żydzi tamtejsi byli inni od naszych galicyjskich, bo nasi Chasydzi byli aż straszni, a ci tacy litwaccy, nie widziało się tu chałatów, tylko nosili takie ich zgrabne czapczki z daszkiem. Ale żyli, jak to Żydzi, razem, po żydowsku, sami zamykali się w swoim getcie, żadne to zresztą getto, tylko ulice ze sklepami i ten ich tłum czarny, koniecznie „czarny”, rozszwargotany, zabiegany w interesach, co to tam za interesy kręcać się koło złotówki!

Kiedyś byłem tu świadkiem najpatetyczniejszej sceny żydowskiej jaką mi kiedykolwiek zdarzyło się widzieć w życiu. Idąc w górę główną ulicą, w dzień biały i zalatany, interesanci, faktorzy, kupcy, geszefciarze, trudno się przepchać, i widzę taką scenę. Ulicą szedł mały oddziałek „szomrów”, żydowskich skautów czy harcerzy. Szli w krok, mieli tam jakieś mundury i chustki na szyjach, i jak to wszyscy harcerze czy skauci najrozmaitsze odznaki, insygnia, ponaszywane obficie. O ile sobie przypominam nie mieli żadnych czapek, wzorem i imitując, o żalości, w żenującej wprost ludzkiej skłonności do naśladownictwa aż błazeńskiego, podrabiając w stylu jakieś *Hitlerjugend*. Z podniesionymi sztywnie głowami i rozwianymi lokami włosów gołych głów, marszerowali w krok. Tłum na ulicy był podniecony i entuzjastyczny, że to przecież ich młodzi, którzy wyszli z getta, że mają postawę i samodzielność i organizację i że idą tak w biały dzień, środkiem miasta, w krok, marszem, z podniesionymi głowami.

I wtedy to ujrzałem starego Żyda, który drobnym kroczkiem

zapatrzony w nich biegł, nie chodnikiem, ale rymsztokiem, wzdłuż krawężnika, potykając się i dotrzymując kroku tej garsteczce młokosów, zapatrzony w nich jak w tęczę, biegł potrącając ludzi, nic poza tamtymi nie widząc, i z bladych jego oczu ciekły łzy ciurkiem i spływały mu w brudną, rozwichrzoną brodę. Cóż widział w nich on pod tym pochmurnym niebem kraju odległego o tysiące mil od mlekiem i miodem płynącej Ziemi Lwa Judy i Machabeuszy, drzew oliwnych i figi, szarańczy i gazel, Arki Przymerza i Muru Płaczu, tu w miejscu które i on i jego bliscy nazwali przecież sami Polin, co znaczy po hebrajsku podobno: „Tu osiadź i spocznij”. Biedny stary Żyd chwytający powietrze chodzącą mu grdyką, nie widzący nic poza tą garsteczką młokosów, potykający się w rymsztoku, z brudnymi łzami spływającymi mu po twarzy.

A miasto wyglądało tak: Na szczycie góry, która także nazywała się Chład, stał barokowy kościół pobazyliński, który także był kiedyś katedrą biskupstwa grecko-katolickiego, a za kościołem cmentarz. O tym cmentarzu będzie mowa później, później, bo wiedzie to do asocjacji o których teraz mi nijako, bo ten cmentarz... ale o nim później. Główną ulicą, pod górę biegly sklepy, sklepiki, a także było przy niej gimnazjum klasyczne, a w nim, jak wiadomo powszechnie zanni poloniści i faceci z twarzami opromienionymi natchnieniem wydawali nieregularnie ukazujący się periodyk, Dikte, organ pisarzy i poetów prowincji, a dlaczego tak go nazwano? pewnie ażeby było trudniej zgadnąć. Ale szczęście im Boże, tej plejadzie awangardowej na prowincji i jedźmy dalej.

Po przeciwnej stronie koszar (a nasze koszary pamiętały że tu stał jeszcze carski dywizjon artylerii konnej, baraki z okrągłaków już ze starości trochę pokrzywione, rzędy stajni i wielki maneż pośrodku). Otóż po drugiej stronie drogi biegnącej wzdłuż koszar ulicy, na której wyczekiwała Sara, było płasko i nieużytek i na nim ćwiczyliśmy aż miło, działoczniny i baterię zaprzężoną. A dalej był szpital wariatów, szaro-żółte mury, bezludne i twarde, a za nimi nasi bracia szaleni, nasi bracia nieszczęśliwi, których zamyka się w separacie, polewa tuszem, którym zakłada się kaftany i ma się leczyć, bo niby inni niż my, nienormalni.

A z drugiej strony Góry było tamto miasto, nowe. I dziwnie było przejść tamtędy. Domy ze zdrowej, pełnej rumieńca cegły, dobra architektura, racjonalne rozwiązania, estetyka, użyteczność, urbanistyka od siedmiu boleści, wszystko przemyślane, rozplanowane, przestudiowane i — puste. Więc co, więc dlaczego? Miano tu przenieść jedną z wielkich dyrekcji państwowych z centralnej części kraju i zostało to ułożone z góry, i to w tych czasach gdy o kredyty budowlane było tak trudno, gdy magistraty czekały

miesiącami na pożyczki, a bezrobotni robotnicy budowlani przez lato, z zasiłków nędznych kupowali chleb na połówki i ćwierci i opalali się na słońcu, czekając i czekając. Przechodziło lato, długie bezczynne lato, i nic się nie działo i kredytów jak nie było tak nie było. I przychodziła jesień, syta, ale sama z siebie i ciągle nic. Aż wreszcie pod koniec jesieni te powoli obracające się tryby kryzysowej ekonomii, te leniwie mielące młyny boże dawały otręby jakiegoś półskutku. Już w pluchach jesiennych zaczynały ciągnąć wozy z budulcem, na placach doły pod fundamenty kisy od stojącej wody i dobrze pod zimę zaczynał się sezon budowlany. A tu wyrosło z nagła miasto, zaplanowane, ulice, aleje, chodniki, krawężniki, latarnie, wszystko solidne, twarde tu powstałe, nawet słupki z tabliczkami ulic nazw i alej, Mikołaja Reja, Romualda Traugutta, Aleja Róż, Aleja Szwoleżerów, aż miło. Tylko. Tylko coś tu nie było w porządku. Jakies specjalne komisje kolaudacyjne dokonały przeglądu i lustracji i znaleziono jakies poważne mankamenty, niedociągnięcia, jakies normy i przepisy bezpieczeństwa publicznego niedopisywały standartom, coś tu było nie w porządku. A zatem wszystko zostało wstrzymane w pół kroku. I nowe miasto wyrosło tak po amerykańsku stało puste, niezamieszkałe, skazane na czekanie, na jakies długo wlokące się procesami wyroki, i stał ten nowy gród bezludzki, aż w nim straszło, puste ulice, Traugutta, i aleje, Szwoleżerów, i tylko w słoty wiatr dudnił w nowiutkich rynnach i okna domów patrzyły czarnymi oczodołami.

To ucieknijmy na chwilę od tej nieudałej strefy ludzkich interesów i zamiarów, chwycmy się na chwilę czegoś pogodniejszego.

Na przykład wracaliśmy z ćwiczeń zwiadu, a może to był bieg myśliwski, improwizowany, kiedy jechało się wertepem, lasem, galopem, rozbieganym rojem, w pogoni za iluzją, w tętnie kopyt, kiedy to kopyta koni wybijają najwyraźniej rytm anapestu. (Skąd ta analogia z prozodii? Czyż nie mówiłem już o tym że zwykła komenda kaprała, zwykłego zupaka, miała rytm i wyszukanie że się tak wyrażę aż poetyckie. Bo proszę, kiedy dla doraźnego ukarania, przyprowadzenia do porządku kanoniera o nazwisku Kasperek wydawał zwięzłą, kaprałską komendę: „Kasperek! Kryj się!” to wyskandowywał ją z całym poczuciem własnego rytmu, z akcentem, przyciskiem na „-rek!”, a tłusty Kasperek, aż poderwany tym kaprałskim nieuczonym a wyczutym akcentem rytmu, „krył się”, to znaczy przypadał do matki-ziemi i brał w tym udział, bo udzieliło mu się pełne zrozumienie kaprałskiej poetyckiej stylistyki poganiania rekrutów). Otóż o czym to ja mówiłem, aha, więc o tym końskim galopie, który rozlega się anapestem, ta-ta-tam! którego nasłuchiwaaliśmy zawsze, od cza-

sów najbardziej zamierczłych, kiedy przykładaliśmy ucho do ziemi, nasłuchując najazdu, pogoni, tętentu koni niosących trwożę, burzę, niespodziewane.

A teraz jechaliśmy połogim stokiem, jakimś rzyskiem, z polami ścielącymi się dalej i dalej. A bliżej można było widzieć wpośród ładu grupkę ludzi, najemników, żniwiarzy, tych „pracowitych”, zginających się nad wyrosłym tu plonem. Chustki kobiet, koszule mężczyzn, twarze czerwone od opalenizny i znoju, ruchy okrągłe i jakieś godne, pochyleni nad tą swoją robotą w polu.

I zapamiętałem wpośród nich dziewczynę, myślę że była to dziewczyna a nie mężatka czy „newistka” (zwróćmy uwagę na to że Chładowska Ziemia to teren pogranicza etnicznego, że tu gdzieś jakimś meandrem przebiega granica między Polakami i Rusinami, i że tu, jak zawsze na etnicznym styku jakoś ostrzej, wyraźniej, dosadniej zaznacza się polszczyzna pogranicza i że właśnie pogranicze sprawia że mówią tu bardzo czystą, poprawną polszczyzną, jak w szczebrzeszyńskim, bez zaśpiewów, akcentów, mazurzeń gniazd, i okręgów dialektycznych, mówią po prostu, prawie że literacką polszczyzną). Pochylona nad tą robotą wpośród pola podniosła się, wyprostowała, ręką odgarniając promienie włosów, płowych, jasnych, czepiających się jej rzęs i brwi zarumienionej od opalenizny i od pochylecia się twarzy. Pomyślałem sobie że to zawsze takie u nas, dziewczyny i konie, wszystko to z nami, tak przystające do krajobrazu, do kompozycji, surowizny jej w połączeniu statycznego zapatrzenia się i kinetycznego ruchu, i że tak odbija się to we wszystkim, w bajce, w zaśpiewie. („Mój Jasieniek, na wojencę daaaalekiej...”, „Starsza siostra brata miała, na wojenkę go wysłała...”, „Jasio konie poił, Kasia wodę brała...”, zawsze z tym przeniesieniem akcentu na ostatnią sylabę, dla męskiego rymu, bo inaczej to zaśpiewać się nie da).

A pod koszarami, pod bramą czekała Sara. Mieliśmy z tego uciechę i kiedy nas Wojciechowski nie słyszał to śpiewaliśmy sobie:

*Małgosia biedna jest bez miary
Troska dręczy ją,
Bo chciała wiedzieć czy koszary
Z bliska ładne są...*

Ale nie było w tym okrucieństwa i złośliwości, a pewnie nawet nam ta sytuacja się podobała, chociaż była skandaliczna. A piosenka była głupia, jak to zwykle tego rodzaju piosenki, trywialna, wodewilowa jakaś czy operetkowa, lichy ją tam wie. Potem, w lata później miała stać się sławną inna piosenka, również trywialna, o tym samym temacie, dziewczyny pod koszarami, chętnie witającej wszystkie szarże. Miała zrobić ta druga piosen-

ka karierę, wpośród jakichś pustynnych bitew i zagonów i okopów miała rozlegać się zachrypłym głosem jej przypadkowej odtwórczyni, szwedzkiej pieśniarki o zachrypłym głosie, i zachrypłej jeszcze bardziej od zdartej, wziętej jako łup wojenny płyty gramofonowej i miało to przydać tej wojnie jakiegoś romantyzmu i taniej nostalgii i kliwej zadumy.

Dziwne tylko że historia tej piosenki miała powtórzyć się, że miała nawrócić się jakimś dziwnym cyklem, spiralą, echem dobiec znowu po latach, w innych warunkach, pod innym niebem, za sprawą innych ludzi. Czy to sobie wymądrzył ten historiozof, w peruce i wstążkach, pończochach, pośród akroterii i stiuków, cyprysów i pinii, farbkwatych niebiesko wód neapolitańskich, zasiedziały nad pergaminami i pocierający sobie nos w zamysle niu magik i sensat, Gianbattista Vico? może maczał pióro gęsie w kałamarnu i nucił sobie przy tym pod nosem:

Małgosia biedna jest bez miary, troska dręczy ją...

A więc ci Żydzi z Chłądu. Nie tacy jak nasi, inni. Bo nasi, galicyjscy byli swojscy, chociaż dla innych tacy straszni. Sam Izaak Babel który był śmiałym człowiekiem, przeraził się naszych Chasydów. Temu odeskiemu Żydowi, krwistemu, tegiemu racjonalistcie, wychowanemu wpośród portowego harmideru, na skraju między stepem, limanem i morzem, wpośród rubaszek i furazek, dyń i winorośli, kontraktów szlagońskich i bandytów Mołdawianki, gorodowych i kupców, uczeponemu ogona „Konarmii”, wśród plakatów i sloganów rewolucji wodzącemu nosem krótkowidza po szpaltach składanych na prędcie, objawił się nagle straszny świat podolskiego miasteczka, z bóżnicami o oknach zbiegłych aż do gnojówki ziemi, a za oknami rozkołysane w tałesach, „śmiertelnych koszulach” i tefilim na czole głowy Żydów, ich chedery, mełamedzi, pejsaci malutcy uczniowie rozśpiewani nad książkami, na futrynach drzwi domów „mezuz”, na rogatkach rozpięte druty „ajruw”, po wschodniej stronie „bimy” w bóżnicy „mizra” ze zwojami pisma świętego. Osobny świat od którego dobiegają nas tylko poszczególne słowa, określenia, mówiące nam że „pod chajrem” to znaczy pod kłatwą, „chucpa” to nic innego jak czelność, „bałaguła” to mistrz wozu czyli po prostu furman żydowski, „chazuka” prawo posiadania, przywilej udzielany przez rebege, monopol, a „szajbec” to była płyta nagrobkowa na żydowskim cmentarzu. Żydzi z Chłądu mówili tym samym językiem ale byli inni.

Kiedyś, po latach, w Nowym Orleanie bawiło mnie kiedy Laly, ciotka mojej żony, staruszka, wertując dziennik przy śniadaniu przede wszystkim zaglądała do działu nekrologów, czy nie

figuruje tam „anybody nice”. Teraz sam nabyłem tego przyzwyczajenia i ilekroć wpadnie mi w ręce numer „Tygodnika Pow-szechnego” to zaglądam do rubryki ostatnio zmarłych. Zawsze tam bardzo godne nazwiska, tytuły, krótkie życiorysy i wspomnienia. Ostatnio natknąłem się na nazwisko pułkownika Chmury. Tak i tak, w dziewiętnastym roku dowodził baterią, w dwudziestym dywizjonem, potem takim i takim pułkiem, potem kierował artylerią dywizyjną, kawaler takich i takich odznaczeń i orderów, członek takich organizacji, wreszcie zamykało to: „były pracownik przemysłu zabawkarskiego”. Hmmm... Kiedy byłem szczeniakiem, podchorążym i po Włodzimierzu przydzielono mnie do dywizjonu w Chładzie to dywizjonem tym on wtedy dowodził. Dowodził, był panem życia i śmierci kilkuset ludzi, miał pod sobą kilkaset koni i kilkanaście dział, ciężkich, stalowych, pociągniętych oliwkowego koloru farbą, ich tarcze stalowe, grube, tłuste od smarów lufy, ciężkie obręcze kół. I koszary, dylaste ściany baraków, stajnie z pełgającymi w nich dzień i noc rudymi żarówkami, konie na uwiązach i jezdni szcztokujących ich lśniące zady, kasyno oficerskie i wielki maneż na którym wapnem pobielone stojaki do drągów przeszkód, „koperty” i „triplebary” i w południe trąbka do obrokowania.

(Więc ten ciężki o ponurej twarzy oficer, olimpijski, daleki i niedostępny skończył wyrabiając zabawki dla milusińskich. O losie innego oficera, rotmistrza kawalerii opowiada plotka emigrancka że skończył w Kanadzie, zamiatając jako pomocnik „szamasa” podłogę w ładnej, postępowej tamtejszej bóżnicy).

Rozkaz dywizjonowy brzmiał: „Służba rontowa. Baterie wystawią swe konne zwiady w pełnym oporządzeniu bojowym, wydane im zostaną ostre naboje i staną one z poczem dowództwa dywizjonu na placu alarmowym o godzinie 21”. Było to w dniu 1 maja.

Aha, miało być o tym cmentarzu. Bo Wojciechowski i Sara, Sarusia, gdzież to mogli pójść sobie, poszukać samotności dla swych uciech, a może zgryzot? No, no, już tam Wojciechowskiego o zgryzoty nie podejrzewałem, a cmentarz był jedynym miejscem, cienistym, odosobnionym, rozwieszono dookoła firany zielone, chaszczki kalinowe, bzy, dereń, wilcza jagoda, laur. Cmentarz był koło katedry pobazylińskiej, już na nim nie chowano, tylko zarósł i zdziczał, jak to cmentarze, i był rodzajem parku miejskiego, mało uczęszczanego. Dla przywoicie zachowujących się parok, które i ciasno lubią obcować był owszem rodzajem „małpiego gaju”, takiego jak w każdym szanującym się prowincjonalnym mieście. A tu któż miał być świadkiem miłości tych dwoj-

ga? Chyba czarny szkielek władki Izasława Łuckiego, złożony tu pod sklepiskiem zżartych przez liszaje kamieni, to był jedyny „voyeur”, to chyba jego dłoń obleczone w haftowaną perłami rękawiczkę z nasadzonym na jej palec pierścieniem biskupim błosławiała tej zdrożnej parze.

A my, któż to, my? Mały Księżycycki, mały i napuszony, Góralczyk embrion w cywilu dziennikarstwa, wygadany i szczerzący w uśmiechu swe popsute zęby i Emil Milowicz, ten znów miał wcale końskie zęby, Emil Milowicz z Modryńca, koło Hrubieszowa, którego kiedyś, po latach mieli zarzącać po prostu Banderowcy, więc my byliśmy i dyskretni, tyle żeśmy sobie podpowiadali:

*Małgosia biedna jest bez miary,
Troska dreczy ją...*

przejmowaliśmy się końmi, „rąbką”, cięciem łóz szablami i dawaliśmy się starszym od siebie ogrywać w pokera.

Wcale nie zadawaliśmy sobie pytania dlaczego za teren swych harców nie wybrali cmentarza żydowskiego, kirkutu. Może dlatego że był w jakichś innych odległościach, peryferiach, uporzędkowany, z krzywo chylącymi się w różne strony płytami nagrobkowymi, „szajbecami”, a na nich ryte w kamieniu hebrajskie epitafia, które coś tam mówią przechodzącym, może wywodzą rodowody i powtarzają „a Amon zrodził Jozjasza, a Jozjasz zrodził Jechoniasza, a Jechoniasz zrodził Salatiela, a Salatiel...” a może wersety z Księgi Ester, a może Pieśni Salomona, a wyżej dziewięcioramienny świecznik i lew Judy albo dłoń wzniesione do błogosławieństwa, albo róg Szofar. Ale cmentarza żydowskiego pilnuje stróż, goj, i ma przykazane za mur nikogo nie puszczać. Aż przyszedł czas złowieszczy i cmentarz tamten rozorali, płyty nagrobkowe wyrwali z ziemi i wybrukowali nimi chodniki małych miasteczek, po których ludzie mieli przejść bezczeszczając pamięć ludzką stopą i do dziś mówią że po miasteczkach gdzieś indziej idzie się i stąpa po flisach kamiennych, a na nich zdeptany ludzką stopą dziewięcioramienny świecznik i on-że lew Judy. Tylko dzieci, jak to dzieci, kiedy na jednej nodze podskakują wracając ulicą ze szkoły, to omijają w podskoku szpary i spojenia pomiędzy płytami, i czy wtedy zadziwia je daleki, nieznan, odmienny wzór, dziwny rebus, zagadka ludzkości tak przypadłej jak zagrzebane w ziemi stele królestwa Inkasów czy znad dumnego nadproża Rzymu „SENATUS POPULUSQUE ROMANUS”, czy zatarte sury arabskich arabesków.

Kiedyś, wpośród niziny Salisbury zdarzyło mi się odwiedzić sterczące z ziemi kamienne pomniki Stonehenge, koło ich, a może koniecznie zaraz, należałoby powiedzieć „kolisko” przydygo-

wanych tu z niezmiernych odległości potężnych głazów, postawionych na sztorc, a mających coś tam wykreślać, wyznaczać, jakąś tam być astrolabią, jak domyślają się tego i dochodzą poszukiwacze i rozwiązywacze zagadek jakich nam przeszłość nie poskąpiła. Otóż tam, zdarzyło mi się wpośród tej starożytności niemej i zagadkowej, najść, nastąpić prawie o zapadającym już zmroku wpośród tamtejszej zielonej angielskiej trawy, na oczywisty, trywialny nowoczesny produkt gumowy, tak zwany środek antykoncepcyjny. A że byłem młody wtedy i skłonny do filozoficznych zamyślań się to się i zadumałem nad tym paradoksem i kontrastem, tu kurhan, czy jak tam, tysiące lat zapomnienia i czeluść czasu, a czas uswięca wszystko, czarne na tle nieba wysoko wyniesione rękami przepadłych gromad ludzkich głazy, i oczywisty, bezczelny, a chyba nie z premedytacji, fanfaronady czy błazenady gest, bezwiedna kpina i żart, który sobie jakaś parka zafundowała kosztem czasu.

Mógłby ktoś zapytać czemu jakąś prostą opowieść naszpikowuję dygresjami, które prawie jakby nie miały ze sobą związku? Bo niby tu mówię o Żydach z Chłądu, dorabiam do tego taki sztafaż prowincjonalny, wpakowałem w to nic nie znaczącą bajkę o ślicznej Żydóweczce i tęgim podchorążym, który wywodzi ją na cmentarz pobazyliński, dorabiam do tego dekoracje już prawie że gotyckie w swej ponurości nowoczesnych ruin, a na dodatek ni stąd ni zowąd znowuż napominam o prowincjonalnym periodyku poetyckim z greckiej nimfy Dikte nagłówkiem (a jakże, Dikte, to taka nimfa grecka, ktoś uczony to w naszym kółku nam wyłożył) i dla kontrastu, albo nawiązania do tej żydowskości zaczepiam o swojskość, polskie folkloru i dziewczynę w polu. Tę dziewczynę, która podniosła pochyloną nad robotą głowę, odgięła się i przysłoniła czoło ręką, patrząc w naszą stronę. To wtedy ja jej chciałem powiedzieć coś z siodła, niby żeby to ładnie zaokrąglić, dokomponować sytuację, żeby to i było śmiałe i zadzierzyste i w tonie i zuchowate i tak fantazja, no to żeby coś powiedzieć i pokazać się przed innymi, zawołałem do niej z siodła: „A nie wstydz się, nie wstydz!” A ona na to: „Miałabym też kogo!” Odcięła się i już. A czemuż to ja nie mogłem powiedzieć Sarusi, przestrzec ją słowami piosenki:

*Dunaju, Dunaju, bystra woda w tobie,
Dziewczyno, dziewczyno, gadają o tobie...*

Ale teraz już za późno, teraz już się nie odstanie. Już nie nawrócę, nie przestrzegę mej młodszej puszczającej się siostry. Nawet w pamięci zaciera mi się ona, widzę ją jak przez mgłę, śliczną ale daleką, ze świata który przepadł, po którym zostały tylko

„szajbecze”, kamienne płyty, na których wyobrażenia lwa, i dłoni błogosławiących i krzywego rogu, który zwą Szofar, a w który dmą w żydowski Nowy Rok, a i te kamienne płyty wykładające chodniki miasteczek tracą pod podeszwami ludzkimi swój wyraz i dla dzieci wracających ze szkoły są zagadkowe i niezrozumiałe jak coś co było przed tysiącem lat.



W czarny wieczór, pod czarnymi chmurami, w pierwszy dzień maja wyprowadzaliśmy konie spod dachu stajni, opierające się, twarde, ciężkie. Po omacku, w ciemności nakładaliśmy im złożone w ósemkę czapraki z der końskich, przyciągaliśmy popręgi, zębami przytrzymując końce przystułów, dłoń wsunięta pod popręg próbowała czy w sam raz, konie tuliły uszy kiedy nakładaliśmy uzdy, wędziła rozwierały ich zaciśnięte, szczerzące, złe zęby, kiedy cofały się na siebie zadami i z kwikiem uderzały kopytami. Dusił pod szyją pas karabinka, ugniatały w żebra ładownice nabite wydanymi nam śliskimi od smarów magazynkami naboju, tłukły się przypasane rzemieniami do siodła szable. Na komendę „Na koń!”, ponad czarne na czarnym niebie kadłuby koni, wyrosły sylwetki jeźdźców.

Ściśnionymi czwórkami, kiedy konie przypierają się ciasno do siebie brzuchami, kiedy trą się nasze cholewy butów i skrzypią skóry siodła i dźwięczą żelaza strzemion, w tupocie kopyt, czwórkami, ściśnieni, z pasami karabinków przewieszonych przez plecy, uwierającymi nam grdyki, niewzwycajeni, przestraszeni nocą, wierzganiną siodłanych koni, skrępowani rzemieniami, trzymający w zsiniałych dłoniach, palcach, poskręcane wodze, z goryczą w gardle, z nocą w oczach, z podpinkami czapek wbitych na uszy, z śmierdzącym zbitym zapachem naftaliny mundurów i stajni końskiej, z grubym suknem kołnierzy płaszczów szorujących nam szyje, wypatrujący pod okapem daszków nocy, ściśnionymi czwórkami wtłoczyliśmy się w bramę i potem w klekocie, klaskaniu podków końskich po kamiennych, kocich łbach bruku ciągnęliśmy ku miastu na spotkanie głupich Żydów z Chłądu.

Zygmunt HAUPT

Granice

Po wojnie rewolucyjnej, kiedy tradycja polityczna młodej republiki amerykańskiej zaczęła się krystalizować, ustaliły się też zręby polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Wodzowie duchowi i wojskowi rewolucji, Waszyngton i Jefferson, doradzali niemieszanie się do spraw kontynentu europejskiego. Praktyczny pogląd tej filozofii był prosty: „Wplątanie się w sprawy europejskie jest tylko wielkim ryzykiem. Europy od jej odwiecznych sporów odwieść się nie da, przez mieszanie się do spraw kontynentu sytuacji nie poprawimy, natomiast kraj może ucierpieć”. Tradycją polityki była więc polityka wolna od europejskich powiązań (*entanglement*). Ameryka rozwijała się znakomicie w cieniu potęgi brytyjskiej. Flota angielska broniła bezpieczeństwa żeglugi, w rzeczywistości broniła też wybrzeża Pacyfiku i Atlantyku. Ameryka jest krajem ludzi skromnych i praktycznych. Niebardzo się więc prezydenci i sekretarze stanu martwili, że Stany nie były zaliczone przez Europę do wielkich potęg. Wydadne to było właśnie dlatego, no i oszczędne.

Sytuacja zmieniła się z momentem zagrożenia przez Niemcy Wielkiej Brytanii w pierwszej, a potem w drugiej wojnie światowej i w konsekwencji osłabienia jej i rozluźnienia *Commonwealth'u*. Stany — niechętnie — nie bez silnej wewnętrznej opozycji, wstąpiły na wielką scenę polityki i decyzji światowej. Po dziś dzień, gdzie wieczorami, po pracy, po klubach i jadalniach uniwersyteckich toczą się rozmowy na ten temat, rozważa się ten krok historyczny. Wraca raz po raz argument: „Nie mogliśmy inaczej — trzeba było...”. Nie zdarzyło mi się ani razu usłyszeć tzw. „nacjonalistycznych” argumentów o narodowej wyższości, mocy: „...do nas należy...” i td. Opinia po dziś dzień jest ostrożna, odpowiedzialność za pokój światowy przyjmuje oświecona opinia amerykańska (ludzie rozumu i dobrej woli, a nie emocji i taniej demonstracji) raczej jako obowiązek, który jak najszybciej trzeba dzielić z innymi, jeśli nie dziś, to jutro.

Kraj jest wielki — nie ma więc zainteresowania dla drobnych, wąskich spraw granicznych, dla zagadnienia między. Tu

zresztą i wartości amerykańskie, wartości farmera amerykańskiego w tym względzie są inne, niż chłopą środkowej lub wschodniej Europy. Kłótni i procesów o miedzę nie ma. Ludzie siadają do stołu, radzą, wyrównują granice i gospodarzą. Jeśli rolnik decyduje się na spór, to już o sprawę znaczną.

Jak nie ma zainteresowania dla sporu o miedzę, tak też nie ma tu śladu zainteresowania sprawami takich czy innych granic państw europejskich. Może to lepiej dzisiaj otwarcie i po prostu napisać. Najmniej już zainteresowania dla odzyskania jakichkolwiek „ziem utraconych”. Studenci, którzy znają nazwy dorzeczy Amazonki, orientują się w odległościach planet od ziemi, nie wiedzą gdzie jest Cieszyn i do kogo należał, nie słyszeli też o Wilnie. Przechodzień na ulicach Nowego Jorku nie wie, gdzie jest i co to jest „Oder-Neisse Line”, — chociaż się ją tu i ówdzie na uniwersytecie dyskutuje.

W czasie, gdy rakiety wędrują na księżyc i na Wenus, kiedy prasa donosi o przygotowaniu do lądowania na księżycu, zagadnienia te nagle oddaliły się od nas w czasie, oddaliły się z szybkością niezwykłą historycznego światła — może właśnie dlatego, że ziemia stała się mniejsza, że skurczyła się nagle tak bardzo. Amerykanin, zainteresowany sprawami polityki zagranicznej i sprawami pokoju, myśli pragmatycznie, — od czego zacząć, jak pokój osiągnąć. Sentyment dla przeszłości... to może nasze pokolenie. Przechodziłem dzisiaj koło stacji kolejowej Pennsylvania. Piękna, przestrzenna „Penn Station”. Straciła dawną, pełną użyteczność ze zmniejszeniem się ruchu pasażerskiego. Ale jest to jedna z najpiękniejszych stacji świata. Można było ją przecież zamienić w halę muzealną, lub muzeum maszyn, rzeźb... Dziś stacja jest już niemal zupełnie zburzona. Pozostała brama, oczodoły wielkich drzwi — napis „Please do Not Enter” — a za nim pustka i ruiny. Stanie w tym miejscu wspaniały nowy gmach, drapacz chmur. Pożyteczny — odpowiadać będzie potrzebom naszych czasów i naszego miasta. A przecież... pomyślałem o rozmowach długich, gdzieś tam w kącie restauracji w czasie wojny i wspominałem podróże do Waszyngtonu, Virginii, ludzi, zdarzenia. Czuję nagle, że jakby ktoś lata powykreślał. „Gdyby tak w Krakowie Bramę Floriańską rozebrali...” — pomyślałem sobie nie bez wstrząsu... Myślałem swoim dzieciństwem i młodością. Młode pokolenie myśli inaczej.

W latach pierwszej wojny światowej ludzie myśleli koncepcjami granic. Myślał o nich Wilson, teoretyzowali na ten temat jego współpracownicy. Wydawało się, że granice sprawiedliwe rozwiążą zagadnienie. Była więc teoria granic historycznych, etnicznych, ekonomicznych, które się jednak z sobą nie pokrywały. Nie upłynęło wiele czasu, — już w roku 1928 Leo Pasvolksy, utalentowany ekonomista, a przede wszystkim człowiek teoretyk polityki zagranicznej swego okresu, napisał książkę o granicach Europy środkowo-wschodniej, o tym, że granice polityczne i gospodarcze na tym obszarze są zarzewiem konfliktu.

Po drugiej wojnie światowej zainteresowania granicami nie

było żadnego. Powoli ustalać się zaczął pogląd, wśród tych, którzy interesują się tym zagadnieniem (a interesują się tylko specjaliści), że granic ruszać nie należy i że przesuwanie granic w Europie jak dotychczas nie załatwiło nigdy sporów o rodzito spory nowe. Taka jest na ogół opinia. Jest też w tej opinii wiele prawdy. Są oczywiście sprawy, które stanowią winny wyjątek od reguły. Ale w zasadzie mówi się w Ameryce, że ruszanie granic jak dotychczas nie rozwiązało zagadnienia pokoju i że zmienić raczej należy „naturę” tych granic.

Zatrzymajmy się na chwilę na granicach Europy środkowo-wschodniej, na granicach historycznych. Jediną naprawdę „twardą granicą” była tu granica polsko-słowacka, która przetrwała w naszej jeszcze pamięci jako węgierska, jak ją niekiedy górale nazywali. By powiedzieć uczciwie, inne granice w ciągu historycznego tysiąclecia przesuwały się raz na wschód, innym razem na zachód. Może się to wydać paradoksem, ale przez dłuższy okres, od roku 1356 do roku 1772, trwała granica ustaliła się między Polską a Niemcami. Polskie ziemie wschodnie natomiast do czasu Unii Lubelskiej z roku 1569 jeszcze w dużej mierze są częścią Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nieliczni ludzie w Stanach Zjednoczonych, którzy rozmawiają o zagadnieniach granic w Europie środkowo-wschodniej między wojnami, przypominają sobie, że nie było takiej granicy, która by wszystkich zadowolila, może jedynie polsko-rumuńska. Tak to już było, że polityka zagraniczna doprowadziła do tego, że poza Rumunami i Węgrami przyjaciół wśród sąsiadów naszych nie było. Nikt zresztą w gimnazjach czy na uniwersytetach polskich języka rumuńskiego czy węgierskiego nie znał, chyba jakiś lektor i mała garstka studentów. Zainteresowania kulturą tych krajów nie było; gospodarczo i politycznie, obronnie — były te przyjaźnie jedynie deklaracjami od święta. Były za to sprawy Suwałk, Cieszyna, a na drugim końcu Europy środkowo-wschodniej sprawy Dobrudży, Macedonii, pogranicza węgiersko-jugosłowiańskiego i td. i td.

Zmieniła się dziś „natura” granic. Trzeba jeszcze jednego pokolenia, by w pełni ocenić epokowe znaczenie wspólnoty węglowo-stalowej Niemiec, Francji, Belgii i Holandii — by ocenić tzw. plan Schumana, który wielu przypisuje przede wszystkim Monnetowi. Francuzi i Niemcy, dwa narody, które walczyły przeciw sobie w dwu najkrwawszych wojnach historii współczesnej, zwyciężony i zwycięski, podały sobie ręce. Niebardzo się lubią, to inna sprawa. Żyją jednak na tej samej planecie, na tym samym półwyspie zwanym europejskim kontynentem. Rozum więc przeżył, a z rozumem lepsze ludzkie uczucia, doradzające wyrzeczenia się zemsty. Francja w roku 1956 wycofała się z Saary na rzecz Niemiec. Nie ma precedesu tego historycznego gestu, godnego Wielkiej Francji. Niemcy i Francja, odwieczni wrogowie, zamienili miecze nie na pługi nawet, ale na przyjaźń. I na tym porozumieniu kwitnie Europa. Nie granice, ale owe zwią-

ki funkcjonalne, zmiana natury granic z zamkniętych na otwarte przemawia do imaginacji, jest źródłem nadziei.

W Europie zachodniej dawne granice zatraciły znaczenie dla podróżnika. Łatwiej się dzisiaj tu poruszać, a wolność ruchu jest rozumiana jako podstawa wolności człowieka w większym stopniu, niż przed pierwszą wojną światową. Przepustki czy karty tożsamości wystarczają w podróży. Nie ma na granicach dawnej surowej kontroli, w niektórych wypadkach urzędnik kontroli paszportowej pyta tylko o narodowość, wystarczy pokazać wówczas paszport, unikając dalszych zapytań i kontroli. Po drugiej wojnie światowej granice Europy stały się cywilizowane, tak jak granica kanadyjsko-amerykańska.

Przyszłość Europy środkowo-wschodniej, przyszłość w sensie polityki dalekosiężnej leży w przemianie znaczenia i natury granic, nawet nie w układach dawnego typu, ale we wzajemnym powiązaniu węzłami gospodarczymi, kulturalnymi, turystycznymi. Dzisiaj kraje Europy środkowo-wschodniej są nadal przedzielnymi, zamkniętymi.

Lecz granice Europy środkowo-wschodniej zależą od wielkich mocarstw. Uznanie tych granic przez demokracje zachodnie ma wielkie znaczenie. Domaganie się zmiany granic czy to przez emigrację, czy też przez rządy odnośnych państw nie spotkałoby się z sympatią ze strony opinii Zachodu. Przeciwnie — z obawą. Ludzi, którzy głoszą potrzebę zmiany uważa się za politycznie nieodpowiedzialnych. Trzeba to raz napisać, choć nie jest to rzecz łatwa. Na przykład: równoczesne domaganie się granicy ryskiej na wschodzie oraz Zaolzia przy zachowaniu obecnych granic na zachodzie byłoby uznane za program przeciwny koncepcji pokoju europejskiego i światowego. Nie znam żadnego demokratycznego stronnictwa czy rządu, które by taki program poparło.

Uznanie granic polskich na zachodzie jest konieczne, ale uznanie takie jest możliwe tylko jako konsekwencja przesunięcia narodu, społeczeństwa ze wschodu na zachód tzn. przy utrzymaniu i uznaniu obecnych granic wschodnich. Argument historyczny może przekonać uczonego, ostatecznie ucznia w szkole, ale nie praktycznego męża stanu, w dobie księżycowych podróży i robienia atomu.

Granice zachodnie Polski są już ustalone, należy je utrwalić, nie ze względu na to, że są to „ziemie odzyskane”, ale dlatego, że mieszkają tam Polacy, że przesunięto społeczeństwo polskie ze wschodu na zachód. Narody nie są piłą, którą można kopać. Jest to obszar konieczny dla normalnego rozwoju Polski. Historię Europy środkowo-wschodniej zajmuje się niewielu tylko historyków na uniwersytetach amerykańskich czy zachodnio-europejskich. Ci znają daty, wiedzą, że granice na tym obszarze się przesuwały. Wyliczyć je jednak można niemal na palcach. Argument granic historycznych nie jest dziś przekonywujący czy ostateczny, choć miał swoją siłę jeszcze w roku 1918. Konstantynopol był przecież stolicą Grecji. Ten argument nie

działa. Natomiast argument Kemala Paszy — tak. Polityką Kemala był pokój nie wojna. Ograniczył granice wielkiego niegdyś imperium. Pokazał światu, że naród wojowniczy stać się może narodem pokojowym, ale i narodem, którego zlikwidować się nie da.

Natomiast, podobnie jak w Europie zachodniej, w Europie wschodniej zagadnieniem centralnym regionalnej polityki zagranicznej jest sprawa współżycia z sąsiadami, sprawa „natury” granic, sprawa związków kulturalnych, gospodarczych i społecznych.

Europa środkowo-wschodnia utrzymać się może jedynie jako most między Wschodem a Zachodem, nie jako mur obronny dla jednej czy drugiej strony. Dawne niechęci i przesady ustąpić winny porozumieniu, nie dyplomatycznym deklaracjom, ale porozumieniu, które idzie od dołu. Nie potrzeba do tego miłości, wystarczy zrozumienie. Oczywiście nie może to być akcja jednostronna. Wymaga dobrej woli, której nie było. Ale idą zmiany, idee i ustroje ulegają ewolucji i zmianom. Los i dolę narodów Europy Środkowo-Wschodniej kształtowały od wieku XIII najeżdżające potężnych sąsiadów z Zachodu, Wschodu i Południa, ale dodać trzeba, że i państwa tego obszaru nie były wolne od tendencji imperialnych. W bardzo grubych zarysach, potężne naciski sąsiednich mocarstw decydowały o losach narodów tego obszaru. Przeszłość jednak, przynajmniej w tym wypadku, nie daje drogowskazu przyszłości, nie pozostawiła też doświadczenia, na którym oprócz można nowe, twórcze, rozwiązania. Przyszłość wymaga rozwiązań nowych, dla których trzeba będzie tradycję odszukać. Historia nie jest przecież łańcuchem, który skuwa młode pokolenie i więzi wizje. Mimo historycznych doświadczeń, w dalekosiężnej polityce narody tego obszaru szukać muszą porozumienia ze Związkiem Sowieckim czy Rosją, przy utrzymaniu tradycyjnych węzłów z Europą Zachodnią, której w rzeczywistości są częścią i z Ameryką, z którą są mocno związane wiekową emigracją. Nie mam tu na myśli uległości w wyniku podboju i niewoli ale czynną politykę. Porozumienie takie zależy jednak w pełni od potężnych nie od słabych — zależy od polityki Wschodniego Sąsiada. Możliwość takiej polityki uwarunkowana jest także wewnętrzną współpracą tego obszaru, od której zależy nie tylko dobrobyt tych narodów, ale i szersze spojrzenie na świat. Bez przywrócenia pełnej wolności narodom tego obszaru trudno o czynną politykę, wynikającą z myśli politycznej i warunków społeczno-politycznych.

W perspektywie życia pokoleń, porozumienie między narodami Związku Atlantyckiego a narodami Europy środkowej i wschodniej leży w interesie pokoju światowego. Wbrew twierdzeniu propagandy sowieckiej demokracje zachodu od czasów drugiej wojny światowej pragnęły pokój ten zachować. Zagadnieniem centralnym jest rozszerzenie wolności w krajach Europy środkowo-wschodniej w okresie obecnym, wolności politycznych i obywatelskich, wywalczenie demokracji i poszanowania

praw człowieka. Jest to uwarunkowane w dużym stopniu uznaniem polskiej granicy zachodniej.

Ale granice nie są już centralnym zagadnieniem polityki międzynarodowej. Zagadnieniem głównym jest ustalenie takiego porządku międzynarodowego, który by zapewnić mógł pokój w świecie, lub co najmniej na kontynentach i między kontynentami. Nowy ten porządek nie jest równoznaczny ze *status quo*, z systemem niezmiennym. Chodzi tu o porządek międzynarodowy, w którym mieści się przemiana polityczna i społeczna, przemiana, która jest istotą nowoczesnych narodów. Chodzi więc o porządek dynamiczny, o równowagę dynamiczną, równowagę zmiennych sił. Sprawa granic jest konsekwencją dążenia do tego nowego porządku. Granice pozostają, ale zmienia się ich charakter więzienia i „izolatora” narodów. Nowy porządek międzynarodowy, który zapewnić może pokój w Europie, oprzeć się może tylko na wolnych obywatelach i na zasadzie obywatelskich wolności.

Feliks GROSS

Kronika angielska

„ORZEŁ BIAŁY NA NERWOWYM TLE”

I

Tytuł niniejszej noty zaczerpnąłem z książki G. J. Flemminga pt. „Polska mało znana” (Biblioteka „Kultury”, tom CXXXI). Przybysze z kraju rzucają się na tę książkę z niebywałą łapczywością. Jest to bowiem pierwsza książka o Polsce Ludowej napisana przez Polaka krajowego i wydana zagranicą. Książka Flemminga nie jest studium politycznym. To jest zbiór reportaży, felietonów i impresji z życia codziennego w PRL. Z niezmierną plastyką i bezpośredniością oddana jest atmosfera w kraju, którego herbem jest „orzeł biały na nerwowym tle”.

Dla emigranta, który opuścił kraj niemal 30 lat temu — książka Flemminga stanowi dziwną mieszaninę swojszczyzny i obcości. Mamy orla białego, jak dawniej, lecz na tle nie tylko nerwowym lecz i egzotycznym. Egzotyzm fascynuje i niepokoi również dlatego, że się go nie rozumie. Polacy z kraju w londyńskim „Ognisku” czy u Dakowskiego prezentują się swojsko i zwyczajnie. Po trzech whisky gotowi jesteście przysięgać, że „nie się nie zmieniło”. Ci sami serdeczni Polacy krajowi w milionowych masach w Warszawie, w Katowicach czy w Wrocławiu — przemieniają się w „Polskę mało znaną” i trudno zrozumieć.

W rozmowach z krajowcami pada nieodmiennie słowo „Rosja”. „Kultura”

jest w pewnym sensie pro-rosyjska choć nie komunistyczna. Polacy z kraju w poważnych rozmowach bez whisky tylko, przy czarnej kawie przyznają, że Polska musi dążyć do wyrównania swoich stosunków z Rosją na rozsądnych warunkach. Równocześnie najmniejszy przejaw już nie pro-rosyjskości lecz obiektywizmu w stosunku do Rosji i Rosjan — Polakom krajowym działa nieprzepraczone na nerwy. Z Rosją kiedyś trzeba się ułożyć, lecz o Rosji i Rosjanach można mówić tylko źle.

Pewien młody historyk z Warszawy zapytał mnie kiedyś czy nasza postawa w stosunku do Rosji dyktowana jest chłodnym politycznym pragmatyzmem — czy też wywodzi się z innych jeszcze przesłanek. Był bardzo zdziwiony gdy mu powiedziałem, że owych „innych przesłanek” szukać należy w Japonii.

Japończycy starają się przedstawić swojego wroga w możliwie korzystnym świetle. Jest to mądra filozofia, która w razie klęski ratuje twarz a w wypadku zwycięstwa powiększa rozmiar laurów wienca. Natomiast Polacy starają się swego wroga nie tylko pomniejszyć lecz również wykpić i wyszydzić. Gdyby ktoś zebrał i opracował antologię polskich anegdot, dowcipów i porzekadeł o Rosjanach — okazałyby się, że jest to naród chamów, brutalni, pijaków, niedośćków, pół-analfabetów, niewolników — w dodatku brudnych i zawszonych.

W tym wszystkim najbardziej zdumiewającym jest fakt, że żadnemu z reprezentantów owego anty-rosyjskiego *vox populi* nie przyjdzie nigdy na myśl naturalna i logiczna refleksja: jeżeli Rosjanie są zawszoną nicością to czym jesteśmy my, Polacy — którzy pozwoliliśmy tej bandzie pół-analfabetów zepchnąć się spod Smoleńska na rogatki Przemysła.

Nie jesteśmy małym kilkumilionowym narodem, który może zawsze legitymować się własnym męczeństwem i cudzą przemocą. Stanowimy historyczny, 30-milionowy naród, który niezmiernie dobrze o sobie myśli. Nie zawsze również można powoływać się na pakt Ribbentrop-Mołotow i rozbirowe porozumienie rosyjsko-niemieckie.

W dniu 31 lipca 1449 r. Polska zawarła układ z księciem moskiewskim, który rozgraniczał ziemie ruskie na strefy wpływów. Granica litewska przebiegała zaledwie 150 kilometrów od Moskwy. 30 stycznia 1667 r. w rozjemie andruszowskim Polska oddała Moskwie Smoleńsk, Czernichowskie, Siemierszczyznę, Siebież i Kijów. A po tym przyszedł pokój Grzymułtowski (1. 5. 1686 r.), który położył fundament pod przyszłą zależność Polski od Rosji. To nie Kościuszko w krakowskiej sukmanie, ani podchorążowie, ani powstańcy. To Polska mocarstwowa utraciła swą trzywiekową przewagę na Wschodzie.

Osobiście jestem anty-sowiecki. Lecz dumą narodową nie pozwala mi przyłączyć się do licznego chóru tych Polaków, którzy wyszydzają i poniżają Rosjan.

II

Po powrocie z Moskwy, w drugiej połowie lipca br. premier Wilson ogłosił serię rozporządzeń mających na celu wzmocnienie funta. Prasa, radio, telewizja — zmobilizowały ekonomistów, finansistów, przemysłowców —

którzy w dyskusjach i w wywiadach odmieniali słowo „kryzys” we wszystkich przypadkach znanych gramatyce angielskiej.

Pewien starszy i poważny pan przybyły z Polski zadał mi następujące pytanie: „jak można mówić o kryzysie w Anglii kiedy wszystko jest i wszystko można dostać? W Polsce od tygodni nie ma naboju do „wiecznego syfonu”, nie ma naboju do długopisów, nie ma nigdy niczego co w danym momencie jest potrzebne i konieczne. W Polsce mamy kryzys gospodarczy i nikt w to nie wątpi. Lecz tu w Londynie sklepy pękają od nadmiaru towarów — nabojami do syfonów można by wybrukować Trafalgar Square a długopisy, jak ktoś chce, może kupować w wagonami. W sklepach rzeźniczych są góry mięsa, które najwidoczniej na nikim nie robią wrażenia. Drogi panie, to są kpiny a nie kryzys gospodarczy!”

Dla wschodnich Europejczyków ponure słowo „kryzys” oznacza zawsze kilometrowe kolejki przed sklepami, braki, niedożywienie a w końcowej fazie powszechną nędzę. Kryzys wśród powodzi dostępnych towarów konsumpcyjnych — Polakom krajowym nie mieści się w głowie.

Kryzys brytyjski nie jest fikcją lecz niestety zjawiskiem realnym. Wydaje mi się również, choć zabrzmiało to paradoksalnie — że istnieją pewne analogie pomiędzy kryzysem polskim a brytyjskim. Tak jeden jak i drugi są zjawiskami historycznymi. Polska Ludowa zerwała brutalnie z tradycją i historią — Anglia trzyma się kurczowo tradycji i historii. W obu wypadkach podejście do historii jest jedną z głównych przyczyn kryzysu.

Polacy są odcięci od Europy a Brytyjczycy nie mogą odnaleźć się w Europie. Tak dla nas jak i dla Brytyjczyków jedynym rozwiązaniem byłby udział w zjednoczonej Europie. Jednak tak nam jak i Brytyjczykom powyższy cel i rozwiązanie wydają się odległe i nierealne.

Tak polska jak i brytyjska sytuacja wykazują pewne znamiona charakteryzujące problem „kwadratury koła”. Ów element „bezwyjściowości” wypływa ze stosunku do naszych hegemonów — Rosji Sowieckiej z jednej strony i Stanów Zjednoczonych z drugiej strony.

W polskiej sytuacji „kwadratura koła” polega na niezgodności racji ustrojowo-gospodarczej z racjami terytorialno-politycznymi. Przełożony na zwyczajny język ów problem sprowadza się do stwierdzenia, że znakomita większość Polaków nie chce komunizmu — równocześnie jednak ta sama znakomita większość Polaków uważa granicę na Odrze i Nysie za nienaruszalną. Jednym słowem gwarancja sowiecka — tak, komunizm sowiecki — nie. To jest dylemat na który na razie nie mamy odpowiedzi.

Główny korespondent europejski amerykańskiego tygodnika „Newsweek” Arnaud de Borchgrave brytyjski problem „kwadratury koła” ujął w następujący sposób: „Oczywiście główny nacisk położono na ustabilizowanie funta. Stabilizacja funta zależy w zasadniczej mierze od pomocy amerykańskiej. Owa pomoc zależy z kolei od obecności (wojskowej) Anglii „Na wschód od Suez” i od poparcia udzielanego przez Anglię Stanom Zjednoczonym w ich polityce powstrzymywania Chin. To z kolei musi osłabić funta co w konsekwencji zamyka przed Anglią drzwi do Europy, ponieważ sześcioletni wspólny rynek nie śpieszno jest zapraszać do swego grona nowego „chorego człowieka”, tj. Anglię. Z kolei to wszystko zwiększa zależność Wielkiej Brytanii od Ameryki — co w konsekwencji wzmacnia gaullistowską opozycję przeciwną przyjęciu Anglii do Europy i td. i td.”

Nie tylko Polacy drepczą po obwodzie błędnego koła.

Arnaud de Borchgrave w zakończeniu swego artykułu apeluje do Brytyjczyków by zwrócili się frontem ku Europie, bo tylko pełny udział w współpracy europejskiej może przywrócić Anglii utraconą pozycję mocarstwową tak w sensie gospodarczym jak i politycznym.

Sprawą decydującą w stosunkach z naszymi hegemonami jest moment zaufania. Rosja nie ufa Polakom — Ameryka natomiast ma pełne zaufanie do Brytyjczyków. Jeżeli Anglia weszłaby do Europy z błogosławieństwem amerykańskim — oznaczałoby to, że Brytyjczycy zdecydowali się przejąć misję przywódczą na kontynencie gdy de Gaulle'a zabraknie. Wówczas Europa zachodnia byłaby nie tylko zjednoczona i niezależna lecz i pro-amerykańska.

III

Przed kilku laty pewien Polak z kraju powiedział mi nie bez ironii: „polscy emigranci są jak Irlandczycy. Gotowi są wszystko uczynić dla swojej dawnej ojczyzny z wyjątkiem tego by w niej zamieszkać”.

Odpowiedziałem na to, że PRL zaludniają miliony potencjalnych emigrantów, którzy wyjechałoby jutro do Ameryki, Australii czy Kanady gdyby mieli po temu możliwości. Przyczyn emigracji nie należy szukać... na emigracji tylko w kraju.

Ulubionym schematem myślowym Polaków jest podział wszystkiego na wartości czarne i białe. Wskutek tego trudno przychodzi nam pojąć, że potrzebni są zarówno Polacy w kraju jak i na emigracji i że można być dobrym Polakiem tak w Warszawie jak i w Londynie. To są komunały lecz skąd inąd inteligentnym ludziom nie łatwo jest pojąć komunały, które nie są komunałami w ich środowisku.

Co roku w lecie odwiedza swe rodziny w Anglii sporo osób z kraju. Turycy z PRL lądują w polskich domach, w większości dobrze urządzonej i wyposażonej. Po dwudziestu latach, które upłynęły od końca wojny — Polacy w Wielkiej Brytanii robią wrażenie osiadłych, zadowolonych, często zamożnych i zmotoryzowanych.

Polakowi w ogólności a Polakowi krajowemu w szczególności „emigrant polityczny” kojarzy się z Norwidem umierającym w nędzy w przytułku. Emigrant dobrze ubrany i jeszcze lepiej odżywiony, z nad-wagą i nadciśnieniem, z pięknym samochodem, domem, garażem i tp. — odbiega całkowicie od tradycyjnego szablonu i jest oczywiste, że taki burżuj nie może mieć nic wspólnego z ideałami „wielkiej” czy nawet „małej” emigracji. Cóż to za emisariusz, który cały dzień stoi za ladą we własnym sklepie i sprzedaje kiełbasę importowaną zza „żelaznej kurtyny”? Cóż to za rewolucjonista, który poklepuje świnki po tłustych karkach na własnej farmie w Walii?

Bardzo trudno jest przekonać Polaków krajowych, że mimo zmienionych warunków zachowaliśmy jednak charakter emigracji politycznej. Nie ma wśród nas przymierających głodem Norwidów — a gdyby autor „Promethidiona” żył współcześnie, byłby od dawna wykładowcą (na dobrej pensji) na takim czy innym amerykańskim uniwersytecie. A jednak w czasie manifestacji milenijnych w Londynie, choć Polacy przybyli w znacznej mierze własnymi samochodami — zaprezentowali *urbi et orbi* tłum oceniany na 40

do 50 tysięcy osób. Dodajmy, że owe uroczystości miały charakter czysto emigracyjny, polityczny i zdecydowanie anty-reżymowy.

Przed kilku miesiącami BBC nadało program telewizyjny o mniejszości polskiej w Wielkiej Brytanii. Komentator brytyjski zaznaczył, że proces wrastania mniejszości polskiej w społeczne życie brytyjskie postępuje wolno — ponieważ Polacy uważają ciągle sprawę polską za *open question*. Obecny obserwator w jednym zdaniu ujął istotę niezamierającej polityczności polskiej emigracji. Brytyjczycy rozumieją to, czego nie mogą pojąć Moczar, Kliszko czy Gomułka. Gdyby w Polsce można było wydawać legalnie pismo opozycyjne — nie byłoby ani powodu ani potrzeby wydawać go w Paryżu. Gdyby w Polsce działała i walczyła legalna partia opozycyjna — nie byłoby potrzeby przekształcać emigracji w polityczną opozycję *in exile*.

Zetknąłem się kiedyś przypadkowo z inżynierem K. — jednym z naszych londyńskich prenumeratorów. Inżynier K. zajmuje kierownicze stanowisko przemysłowe i jest całkowicie wrośnięty w gospodarce i społeczne życie brytyjskie. Jego uwagę uważam za bardzo charakterystyczną: „Przyznam się Panu, że bardzo rzadko czytuję „Kulturę”, bo nie mam na to czasu. Gdybym był emigrantem z Kanady nie obejrzałbym się nawet za Kanadą. Lecz Polacy są w innej sytuacji. Płacąc za „Kulturę” cztery funty rocznie wydaję mi się, że przyczyniam się do tego — co powinno być robione”.

Jedni prenumerują „Kulturę” — inni płacą na taki czy inny „Skarb Narodowy” a jeszcze inni płacą składki do SPK nie bywając nigdy na żadnych zebraniach. Ludzie ci jednak manifestują choćby małym i niekosztownym gestem swą solidarność z emigracją polityczną. Polityką na emigracji zajmuje się niewielu. Lecz powszechne przekonanie, że sprawa polska jest *open question* — nie pozwala większości ani jej zapomnieć ani od niej odejść.

OŚ WARSZAWA-BERLIN

Numer 136 monachijskiego miesięcznika „Der Europäische Osten” poświęcony jest Polsce. Na uwagę zasługuje artykuł p. Jana Mostowskiego pt. „Der Grosse Polenplan”. Artykuł „zdobi” duża składana mapa przedstawiająca Niemcy i Polskę w granicach z 1937 roku. Warszawa i Berlin na tej mapie połączone są grubą prostą linią ilustrującą proponowaną oś polsko-niemiecką.

Przebywamy na wolnym i demokratycznym zachodzie i każdemu wolno proponować rozwiązania polityczne jakie uważa za słuszne i celowe. Nie wolno natomiast nikogo świadomie wprowadzać w błąd. P. Mostowski korzystając z gościnności monachijskiego miesięcznika wprowadza w błąd niemieckiego czytelnika.

Lecz najpierw kilka słów o samym artykule. P. Mostowski reprezentuje pogląd, że granica na Odrze i Nysie nie jest granicą tylko wewnętrzną linią podziału administracyjnego w obrębie imperium sowieckiego. Jeżeli nie ma granicy — nie ma i sporu o granicę. Uporawszy się w ten prosty sposób z głównym problemem polsko-niemieckim — autor wysuwa propozycję sojuszu ośmio-milionowej Polonii zagranicznej z rządem zachodnio-niemieckim rezydującym w Bonn. Po zjednoczeniu Niemiec i po odkomunizowaniu Polski ów sojusz zostałby przekształcony w oś Berlin-Warszawa.

Według autora omawianego artykułu należy rozróżnić trzy Polski. Pierwszą Polskę, która obejmuje 30 milionów Polaków w kraju reprezentuje kardynał Wyszyński. Drugą Polskę tworzy 8 milionów Polaków zamieszkałych zagranicą. I wreszcie mamy trzecią Polskę złożoną z komunistów, którzy w ocenie p. Mostowskiego stanowią trzy procent ogółu ludności.

Polonia zagraniczna poprzez liczne kontakty osobiste wywiera bezpośredni wpływ na postawę 30 milionów Polaków krajowych, których reprezentantem jest „Inter-rer” kardynał Wyszyński. Opisawszy genezę i historię wychodźstwa polskiego p. Mostowski stwierdza, że Polonia — choć dysponuje znacznymi wpływami w świecie Zachodu — nie może sama podjąć zadania odkomunizowania Polski. Mogłaby tego jednak dokonać w sojuszu z Zachodnimi Niemcami.

Nie ma najmniejszego powodu rozważać powyższych obłąkanych planów, należy jednak podkreślić dwa następujące punkty:

I. Niemiecki czytelnik cytowanego artykułu musi dojść do wniosku, że kardynał Wyszyński w całości popiera koncepcje i poglądy p. Mostowskiego. W gruncie rzeczy p. Mostowski głosi identyczne oszczerstwa co komunistyczna „Trybuna Ludu”, która początkowo zarzucała polskiemu episkopatowi przyjęcie postawy pro-niemieckiej z wyrzeczeniem się granicy na Odrze i Nysie włącznie. Komuniści pod naporem opinii społecznej wycofali swe oszczerce zarzuty lecz p. Mostowski uparcie prezentuje kardynała Wyszyńskiego jako filar orientacji pro-niemieckiej. To jest oczywiste fałszerstwo.

II. Z artykułu p. Mostowskiego wynika, że jedyną przeszkodą na drodze wiodącej do polsko-niemieckiej „Aktionsgemeinschaft” — jest niezdecydowana postawa rządu w Bonn. Osiem milionów Polaków zagranicznych uważa program osi Warszawa-Berlin za jedyne logiczne rozwiązanie w naszej sytuacji. W konsekwencji artykuł p. Mostowskiego nie jest zaadresowany do emigracji, której rzekomo przekonywać nie ma potrzeby. Autor zwraca się do Niemców, których należy przekonać i zjednać dla „wielkiego planu polskiego”.

P. Mostowski świadomie okłamuje swych niemieckich przyjaciół, ponieważ jak powszechnie wiadomo emigracja polska — choć podzielona na obozy zwalczające się wzajemnie — w sprawie granicy na Odrze i Nysie tworzy całkowicie jednolity front. Osobiście wątpię czy p. Mostowski znalazłby na emigracji 8 Polaków — a więc jednego na milion, którzy zechcieliby podpisać się pod jego programem.

WARTOŚĆ DEKLARACJI

W cytowanym polskim numerze „Der Europäische Osten” — ukazał się również artykuł podpisany dziwacznie: Thaddeus Zablocki. Otóż p. Zablocki kwestionuje mądrość tezy głoszącej, że warunkiem podjęcia jakiegokolwiek rozmów z Niemcami musi być uznanie przez rząd w Bonn granicy na Odrze i Nysie. Deklaracje są nie wiele warte, a gdyby w Niemczech szowinistyczny nacjonalizm wziął kiedyś górę — deklaracje w sprawie granic utraciłyby wszelką wartość i znaczenie.

Oczywiście to wszystko jest prawdą szczególnie w stosunku do Niemców. Jeżeli jednak stoi się na stanowisku nienaruszalności obecnych granic Polski — nie jest rzeczą możliwą podejmowanie rozmów z jakimkolwiek

rządem, który zgłasza pod naszym adresem pretensje terytorialne. Z międzynarodowego uznania granicy zachodniej zrezygnować mogą tylko ci Polacy, którzy, jak p. Mostowski uważają, że Polska w ogóle nie ma granic tylko opisana jest na mapie sowieckimi liniami podziału administracyjnego.

W moich artykułach podkreślałem wielokrotnie, że wyrównanie stosunków polsko-niemieckich choć pożądane — nie może dokonać się kosztem pogorszenia naszych stosunków z Rosją ponieważ niemieckiej deklaracji w sprawie granic nigdy nie będzie można uważać za pismo święte.

Idealnym rozwiązaniem do którego należy dążyć — byłaby gwarancja naszych granic nie tylko rosyjska lecz rosyjsko-amerykańska. Jednak tylko ci Polacy mogą domagać się od innych uznania nienaruszalności naszej granicy zachodniej, którzy sami uważają ją za nienaruszalną.

JESZCZE RAZ: „SĄD IDZIE”

W chwili gdy piszę te słowa Mihajlov przebywa w więzieniu. Prasa angielska doniosła, że władze jugosłowiańskie — wstępując w ślad moskiewskich oskarżycieli Tercia i Arzaka — zamierzają wytoczyć mu proces.

Mihajlov, Terc, Arzak, Kuroń, Modzelewski i tysiące ich zwolenników — manifestują w różny sposób ten sam wolnościowy ferment, który dojrzewa pod pokrywą komunistycznego, totalnego konformizmu.

Książce Modzelewskiego i Kuronia należy się odrębne omówienie, które ukaże się w numerze październikowym „Kultury”.

Ludwik Midr — przyjaciel i bliski współpracownik Mihajlova w wywiadzie udzielonym „Le Progrès” oświadczył, że pisarze i intelektualisci jugosłowiańscy od dziesięciu lat domagają się wolności słowa. Ruch na czele którego stanął Mihajlov — powstał półtora roku temu i przybrał nazwę „Wolnej Myśli”. Ruch nie walczy przeciwko socjalizmowi, przeciwstawia się natomiast monopolowi komunistów, którzy reprezentując zaledwie 6 procent ludności — uważają się za jedyne uprawnionych władców Jugosławii.

Midr podkreślił również, że ruch „Wolnej Myśli” stoi na stanowisku konstytucyjnego legalizmu. Mihajlov i jego zwolennicy domagają się przyznania uprawnień zagwarantowanych przez konstytucję. W konsekwencji Mihajlov działa i działał całkowicie jawnie, ponieważ postępując zgodnie z ustawą konstytucyjną swego kraju nie ma niczego do ukrywania. Jego korespondencja z „Kulturą”, artykuły, tekst książki — wszystko przesłane zostało zwyczajną pocztą.

Mihajlov jest młodym człowiekiem — może mieć takie czy inne wady — wykazał jednak charakter i cywilną odwagę. Wszystkie nadzieje ewolucji ustrojów komunistycznych w kierunku demokracji — związane są z takimi ludźmi jak on, tzn. z ludźmi, którzy mają odwagę swych przekonań i nie drżą przed procesem i więzieniem. Toteż nie bez zdziwienia przeczytałem w „New York Times” z dnia 10 sierpnia br. krytyczną i nieprzyjemną ocenę działalności Mihajlova.

Oto przykład: „Pewni jugosłowiańscy intelektualisci” — cytują dosłownie — „wysunęli kwestię skąd (Mihajlov) bierze pieniądze na finansowanie swojej polemicznej działalności. W cieszących się dobrą opinią (reputable) kołach belgradzkich były wiadomości, że (Mihajlov) wspomagany jest tajnie

przez agentów sowieckiego wywiadu i przez dogmatyczne osobistości jeszcze ciągle znajdujące się w jugosłowiańskiej komunistycznej hierarchii. Tak dogmatycy jak i wywiad sowiecki uważają za „pożyteczne” podtrzymywać człowieka, który otwarcie kieruje wyzwaniem pod adresem partii marszałka Tito na oczach opinii publicznej”.

David Binder — autor cytowanego artykułu dodaje, że Mihajlov „nie zrobił niczego, by zbić te zarzuty” (*he has done nothing to rebut them*).

Nie wiem w jakich „kołach belgradzkich” obraca się p. Binder, lecz nie wydaje mi się by były one szczególnie „reputable”.

P. Binder informuje również swoich czytelników, że Mihajlov „pozyskał poparcie anty-komunistycznych organizacji, m.in. polskiej emigracyjnej grupy „Kultury” w Paryżu.

Jesteśmy niewątpliwie przeciwnikami komunizmu w jego obecnej formie i postaci, jednak „Kultura” nie jest i nigdy nie była „zimno-wojenną” antykomunistyczną instytucją.

Co do „poparcia” udzielonego przez nas Mihajlowi — to wypada stwierdzić, że ograniczyło się ono do wydania jego znakomitej książki i zgłoszenia prenumeraty na 5 egzemplarzy jego projektowanego pisma.

Mihajlova aresztowano. Jakoś nie pomógł mu ani wywiad sowiecki ani dogmatycy jugosłowiańscy. Rzucanie oszczerczych podejrzeń na człowieka, który jest więźniem politycznym, z całą pewnością nie jest ani *reputable* ani *fair*.

Po ukazaniu się artykułu p. Bindera redaktor „Kultury” wysłał list do *NYT* prostujący jego nieścisłości. Redakcja *NYT* odmówiła zamieszczenia listu, podkreślając, że ma pełne zaufanie do swego współpracownika. Nie wymaga to komentarzy.

CZARNA MADONNA

Książka Hansjakob Stehle’go pt. „Nachbar Polen” ukazała się ostatnio w Ameryce w przekładzie angielskim pt. „The Independent Satellite”. Tytuł jest bez sensu — bo albo się jest niezależnym albo satelitą. Niepodlegli satelici istnieją tylko w wyobraźni Hansjakoba Stehle.

Wydanie amerykańskie jest poszerzone i przynosi kilka nowych szczegółów m.in. dłuższy rozdział poświęcony Częstochowie. Na stronie 70 Stehle pisze, że cudowny obraz Matki Boskiej jest ikoną w stylu bizantyjskim, która powstała w Rosji w XVI wieku. Polskie władze kościelne — dodaje Stehle — wolą nie wspominać pochodzenia Czarnej Madonny. Obecnie emigracyjna prasa ukraińska zgłasza do niej swe pretensje.

Czy istotnie tak jest? Może emigracyjni historycy sztuki wypowiedzieliby się na ten temat?

LONDYŃCZYK

Kraj

Niecenzuralnie o cenzurze

Trzeba chyba zacząć od tego, że cenzura nie jest pomysłem nowym. Jeśli ma ktoś w domu stare wydania Sienkiewicza czy Prusa, znajdzie na odwrocie karty tytułowej wcale niedyskretny napis „dozwoleno cenzuroju”. Pismo Święte w wydaniu katolickim będzie miało uroczystą pieczęć i słowa „nihil obstat”. A nowe wydania czegokolwiek w PRL mają w metryczce wydawniczej dyskretnie umiejscowione literki i cyfry, które tylko obeznany ze stanem rzeczy tubylec identyfikuje jako znak umieszczony tam przez Urząd Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk, czyli mówiąc krócej — cenzurę. Cenzura oficjalna, rządowa czy partyjna jest jednak tylko formalnością, potwierdzeniem, że wszystko się zgadza, bo cenzura właściwa zaczyna się znacznie wcześniej: wtedy kiedy napisany artykuł jest czytany przez sekretarza redakcji, a następnie kolegium gazety i akceptowany nie tylko z punktu widzenia wartości pisarskiej i zawodowej, ale i poprawności politycznej. Jeśli jest to książka, na przykład o Kenii czy Urugwaju — to oprócz redakcji, kolegium i recenzentów wydawnictwa, książka taka wędruje jeszcze do odpowiedniego departamentu Ministerstwa Spraw Zagranicznych dla sprawdzenia, czy wyrażone w niej opinie zgadzają się z bieżącym etapem polityki rządowej wobec omawianego kraju. Książki o Niemczech są z reguły przepracowywane przez wydział niemiecki MSZ, posiadający w swym gronie specjalistów związanych ze skąd inąd zasłużonym Instytutem Zachodnim.

Sprawa przepuszczenia wątpliwego artykułu to nie jest kwestia poglądów czy cywilnej odwagi naczelnego redaktora, ale na ogół albo niedopatrzienia, niezrozumienia zakamuflowanej treści, albo balon próbny wypuszczony za zgodą wszystkich, którzy mają tu coś do powiedzenia. Z reguły cenzura jest najbardziej bezwzględna w sprawach polityki zagranicznej, w sprawach, które w jakikolwiek sposób łączą się z MSZ czy MHZ — bo to są rzeczy najściślej ustalone w kolegium Ministerstwa Spraw Zagra-

nicznych razem z Wydziałem Zagranicznym KC i przekazywane publicystom działów zagranicznych na częstych konferencjach w departamencie prasy MSZ. Stąd nie znajdzie się nigdy w prasie, nie tylko w Polsce, ale w żadnym innym kraju demokracji ludowej, nic co by nie było z góry uzgodnione po dłuższym przekonaniu, przemyśleniu i politycznym wyważeniu — nic z rzeczy dotyczących NATO, Układu Warszawskiego, zagadnienia niemieckiego, stosunku do USA, ZSRR czy Chin. Spekulacje na Zachodzie, że czeski dziennik napisał to, a rumuński tamto — i stąd mają wypływać takie czy inne sensacyjne wnioski — są tylko *wishful thinking* i niezrozumieniem czy też niedocenieniem działalności wszechobecnej cenzury, czyli narzędzia w tym wypadku polityki zagranicznej obozu socjalistycznego.

Wentylem bezpieczeństwa są dla prasy sprawy krajowe, na temat których — ze starannym pominięciem negatywnej roli ustroju — można się wybrzydzać nader szczerze. A to znów jest uważane na Zachodzie za objaw liberalizacji, realizmu politycznego i tp. Realizm polityczny jest świetnie w Polsce rozumiany — do tego stopnia, że każdy z całym realizmem zdaje sobie sprawę, że cokolwiek by się na tematy gospodarcze i pokrewne nie napisało, to to jest i tak zawracanie kijkiem Wisły — bo żadne zasadnicze zmiany nie zajdą, bo na to nie pozwala ideologia. A to jest już TABU.

Inna rzecz, że ideologia jest elastyczna i to co było nietykalne wczoraj, stało się pochyłym drzewem dziś. Śp. Stanisław Jerzy Lec napisał kiedyś: „ominąłem z szacunkiem tę brudną kałużę — wczoraj była jeszcze białym śniegiem”. Nie wiem czy mam dodawać, że to o Stalinie i po XX Zjeździe.

Na zebrania redakcyjne przyłązili dawniej instruktorzy partyjni KC i wałkowali zamierzchłe artykuły, wykazując pozostałości „burżuazyjnego myślenia”, „idealizm”¹ i tp. przestępstwa w najmniej nawet podejrzanym o takie zbrodnie artykułach. Zwroty jak „idealizm poglądów”, „apolityczny formalizm”, „ponadczasowość” — były wyrokami nie tylko na artykuł, ale często i na autora, którego w najlepszym wypadku uczono pisania „po naszymu, po robociarsku” z „marksistowskiego punktu widzenia”. Nota bene jestem gotów założyć się o moje honorarium z „Kultury”, że nawet pół procent dziennikarzy nie dojechało w lekturze Kapitału dalej niż 30 stron, a reszta łże. Natomiast swą wiedzę marksistowską — czy też wiedzę jak pisać, żeby artykuł wydrukowano, a co najważniejsze zań zapłacono — brało się z takich zebrań redakcyjnych, na których głupawy chamus z Biura Prasy KC zachowywał się jak wobec bandy nieuleczalnych półgłówek.

Dziś te stosunki przeniosły się na wyższy szczebel, i wyżej postawiony baran chwali się swą wątpliwą mądrością wobec redak-

1. Idealizm w takim kontekście należy identyfikować z Berkeleyem, a co najmniej Freudem. W biologii i genetyce natomiast wszystko, co się nie zgadzało z teoriami Łysienki i Mieczurina.

torów naczelnych i sekretarzy redakcji, na ogół mających znacznie lepsze wykształcenie od owego barana.

Mówiłem o elastyczności ideologicznej, a co za tym idzie o elastyczności cenzury i dreszcz człowieka przenika, gdy przypomni sobie, że głównym klientem na ostatniej stronie „Po Prostu”, w dziale zwanym Mowa Trawa, był niejaki Chruszczow, z którego paru bezczelnych młodzików cytowało obficie i kpiło w żywe oczy. Nieco później „Dookoła Świata” na kolumnie aktualności donosząc o „ustąpieniu” Żukowa, zamieściło zdjęcie (tylko) jego orderów, w wyniku czego całą redakcję rozpędzono na cztery wiatry, a świadectwem zmienionych czasów mógł być fakt, że nikogo jednak nie skrócono o głowę, co by się na pewno było stało zaledwie kilka lat wcześniej. Ukazujące się od początku istnienia „Polityki” rysunki satyryczne obok winiety tytułowej, zostały — jak mi powiedziano — odrzucone przez cenzurę, kiedy ich autor chciał je wydać w formie osobnego wydawnictwa. Widocznie w ten sposób nabrały jakiejś wyraźniejszej wymowy politycznej. A może caszy się zmienili?

Nieco dawniej odrzucono całą książkę, ponieważ znalazł się w niej passus o tatrzańskim Gerlachu, przy czym autor miał nieostrożność napisać, że dawniej nazywał się on Franz Josef Spitze, a obecnie Pik Stalina — co wydało się politycznemu recenzentowi wskazówką, że autor powątpiewa w trwałość obecnej nazwy... W tamtych też czasach „Ogniem i Mieczem” było ostatnią książką Sienkiewicza, którą zdecydowano się wydać i to właściwie nie tyle dla fatalnego potraktowania Chmielnickiego, ile anty-marksistowskich wypowiedzi pana Zagłoby (słowo „cham” miało wydźwięk polityczny!) W stu procentach obsadzona przez Żydów cenzura oczyściła z rzekomego antysemityzmu „Legendę Tatr” Tetmajera, kalecząc w wielu miejscach oryginał bądź co bądź klasycznej już pozycji. Przerabianie nowel, opowiadań czy nawet całych powieści autorów zagranicznych odbywało się całkiem bezczeremonialnie na zasadzie, jak to kiedyś wyjaśniał pewien dość kiepsko po polsku mówiący tubylec: „ten autor jest nasz sympatyk, to on sze nie będzie gniewał, co my mu przerobili tak jak potrzeba”. Po wydawnictwach siedziały gromady poprawiaczy polszczyzny, stylu i języka — niezależnie od poprawiaczy politycznych — i ujednolicali polski język tak jak ich na to było stać. Jan Parandowski, którego nie można podejrzewać o słabą polszczyznę, żalił się kiedyś, że widział poprawiony tekst bodajże czy nie samej Dąbrowskiej albo Nałkowskiej z „zjadł kolację i poszedł spać”, na „spożył wieszczę i udał się na spoczynek”. Nic dodać, nic ująć. No, ale to był jeszcze najmniej groźny nadzór. Panowała — i chyba znów wraca — pseudo-marksistowska mania upolityczniania nie tylko faktów, ale i osób. I tak, jeśli trzeba było puścić na ekrany film według Aleksandra Dumas, to podbudować go należało oświadczeniem, że wprawdzie Dumas nie był marksistą, ale jak na swoje czasy był całkiem postępowy. I to były już wymagania cenzury, która od tego uzależniała dopuszczenie filmu, jak się to nazywa, do rozpowszechnienia.

Technicznie cenzura w odniesieniu do dziennika wygląda tak: najpierw cenzuruje się rękopisy, następnie pierwsze kolumny z maszyny, a wreszcie wydrukowane egzemplarze. Podobnie ma się rzecz z periodykami i książkami. Spektakle, choćby nawet klasyków, cenzurowane są w tekście oryginalnym, następnie po opracowaniu reżyserskim, i wreszcie sam spektakl już na scenie. Przy czym, jeżeli jakiś pozornie niewinny tekst nabrał innego sensu w wykonaniu aktora — można to jeszcze zmienić. To znaczy albo można usunąć tekst, albo ocenzurować interpretację. Wykonana na przykład nie dawno w teatrzyku satyrycznym piosenka radziecka, miała w rezultacie wszelkie cechy kpiny — i tak była przyjmowana przez widoczną mało wyrobioną publiczność, do łez rozbawioną publiczność. Z tego mogłoby wynikać, że rozwój poczucia humoru postępuje w społeczeństwie niejednolicie, omijając na szczęście cenzorów.

Niezależnie od braku poczucia humoru cenzorzy wykazują również stosunkowo małe zorientowanie w sprawach dnia codziennego, bo jeżeli w felietonie w „Szpilkach” pisze pan Antoni Słonimski, że „nie ma szczęścia do generałów, bo przed wojną z jednym o mało się nie pojedynkował, a teraz z innym się posprzeczał, ale tamten był przynajmniej gentlemanem” — to wszyscy mniej lub więcej wtajemniczeni wiedzą, że „tamten” to Wieniawa, a ten drugi to Witaszewski, z którym gdzieś tam miał okazję Słonimski się zetrzeć. Jeżeli Megan przed paru laty w tych samych „Szpilkach” pisze rzewną historyjkę o tym jak pewien niegrzeczny chłopiec wypisywał brzydkie słowa swemu dorosłemu sąsiadowi na płocie — a kiedy sąsiad chciał chłopca obić, okazało się ów łobuz ma bardzo dużego tatusia — to każdy przeciętnie umysłowo rozwinięty tubylec wie, że rzecz jest o Albanii, Związku Radzieckim i Chinach. Każdy — ale nie cenzor. Znow — na szczęście, bo przynajmniej w ten dyskretny, a publiczny sposób mogą się ludzie trochę pośmiać. (Przepraszam pana Potemkowskiego-Megana za zdradzenie tajemnicy, ale to było tak dawno, że chyba żadne bydlę się nie przyczepi!?) W ten sposób więc wyłącznie, na łamach prasy mogą być załatwiane zagadnienia polityki międzynarodowej i braterskiej solidarności ludów. Natomiast sprawy wewnętrzne znajdują ujście w rubrykach „Dziś telefon — jutro odpowiedź”, w tysiącach listów do redakcji, w naprawę ciekawych wynikach ankiet, w dyskusjach radiowych i telewizyjnych. Jasną jest rzeczą, że z przyczyn zasadniczo politycznych takie artykuły, ankiety i dyskusje muszą poruszać się niejako na marginesie zagadnień i spraw, a przynajmniej ich wyniki i wnioski z nich wypływające nie mogą się poza takie ramy wychylać. Ale sam fakt i ton takich dyskusji powinien i daje wiele do myślenia czytelnikom i słuchaczom. Każda taka ankieta i dyskusja tylko mocniej i jaśniej uświadamia odbiorcom, że coś jest nie tak, że coś nie idzie i — że na to nie ma sposobu. Ale na to nie ma sposobu i cenzura — to co się mówi, to są sprawy raczej niedomówień i tego, jakie wnioski

mogą z rzeczy opublikowanych wypłynąć, bo sama publikacja jest przecież politycznie w porządku.

Trudno dziś powiedzieć z całą precyzją, jakie są granice wolności cenzuralnej w Polsce. Wydaje się, że wiele spraw zostało najzwyczajniej pozostawionych „na nosa”, na wycucie, na „partyjne sumienie” i dobrą czy złą wolę cenzorów. A jeżeli są jakieś oficjalnie wyznaczone granice, to chyba przede wszystkim te, jakie zostały kiedyś nawet przeprowadzone ustawą sejmową: przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, zakaz prowadzenia propagandy prowojennej, wierność wobec ustroju. Ale przecież pod ten ostatni punkt na dobrą sprawę można podciągnąć wszystko, jeżeli się bardzo tego chce, bo kiedyś cenzura nie puściła listu studenta, który nawiasem wspomniał, że ma tylko jedną parę spodni. Nędza, jak wiadomo, i to nędza w kraju budującym socjalizm, jest pojęciem anty-państwowym.

Na pewno niecenzuralne będą wszelkie ataki na panujący i obowiązujący urząd, na zjazdy partii, związków zawodowych, plena, uchwały. Dyskutować można publicznie nad projektem nowego kodeksu cywilnego, ale nie nad nowymi posunięciami polityczno-ekonomicznymi, które w końcu mają większe znaczenie dla życia kraju. Praktycznie pod ochroną znajdują się władze bezpieczeństwa, milicja, funkcjonariusze partyjni, wystąpienia antyrządowe i antypartyjne, z którymi dyskutuje się i je osądza bez publikowania osądzaných tekstów. Niemniej cenzura nie krępuje jeszcze ludzkiej myśli i ludzkich języków — i naprawdę chyba szkoda czasu na nadawanie łzawych wyznań nawróconego towarzysza Tykocińskiego, bo nic nowego i w Polsce nieznanego, jak dotąd do powiedzenia on nie miał. Że na jego berlińskiej placówce jest do 50% ludzi pracujących dla UB? W kraju się myślało, że więcej! — i takie oświadczenie jest tylko rozczarowaniem. Członek centralnego aktywów partyjnego sądzi, że ludzie w Polsce są nieorientowani, bo on i jego towarzysze robili wszystko, by taki stan osiągnąć — ale to jest ich błąd, i temu cenzura też nie zapobiegnie. Może cenzura uciszyć zbyt niesfornych przekazując ich niebłagonadiożność do rozpatrzenia odpowiednim wydziałom KC, by wydały one zakaz publikacji temu czy innemu pismakowi na pół roku czy na rok. Przytrafiło się tak w dziejach lat ostatnich nie tylko Słonimskiemu czy Wańkowi, ale także K. T. Toepplitzowi i nawet Maji Berezowskiej, która kiedyś rysując kiosk z gazetami umieściła tam dziennik pod tytułem „Trybuna Nudy”.

Sprzymierzeńcem cenzury jest oczywiście brak papieru, bo w ten sposób można bezboleśnie i ciszej ograniczyć wydawnictwa „zbędne”.

Jak daleko sięga cenzura? Aż do biletów tramwajowych, które także noszą znak UKPPIW, kwestionariuszy urzędowych, blankietów pocztowych, nie mówiąc o afiszach, plakatach, elementarzach i td. Wszystko cokolwiek idzie do druku — z wyjątkiem chyba biletów wizytowych — musi przejść przez dom na ulicy Mysiej (nowo-przebita ulica starej Warszawy, na tyłach BGK,

istniejąca do połowy XIX wieku, łączy Nowy Świat z ulicą Bracką). Z drugiej strony cenzura czuwa nad tym, żeby kompromitujące fakty nie ukazały się w publikacjach skąd inąd „politycznie słuszych”. Mam na myśli nieopublikowanie na przykład nazwiska byłego ministra komunikacji Popielasa, który został usunięty ze stanowiska, gdy w notatkach Haraschina znalazło się jego nazwisko jako nabywcy (i dłużnika: nie dopłacił, oszust, 30 patyków!) tytułu inżyniera. Takich faktów jest na kopy, ale to przecież nie jest inicjatywa samej cenzury, tylko wykonywanie nakazów z góry, rozprowadzanych kilkoma kanałami przez MSZ, redakcje, cenzurę, organizacje partyjne, tak by nie została żadna szpara, przez którą wiadomości niepotrzebne mogłyby wyciec. Ale takie szczeliny są wśród ludzi, którzy lubią się pochwalić swą wiedzą tajemną, albo po prostu wszystko gruntownie bim-bają i chcieliby, żeby i inni współobywatele też mogli się nacieszyć. Z czasem powstaje pewien rodzaj wiedzy hermetycznej, pisanie w sposób zrozumiały dla wtajemniczonych, których jednak są miliony.

Z tego co się pisze w prasie krajowej, jeżeli tylko umie się ją czytać, jeżeli ma się jakie takie pojęcie o warunkach, stosunkach i tp. — można doskonale być nie tylko obeznanym z aktualnymi poglądami społeczeństwa, ale nawet z pewną dozą prawdopodobieństwa przepowiadać następne posunięcia ekonomiczne czy anty-ekonomiczne rządu — no i reakcje cenzury. Toteż można się tylko dziwić, a może i — zależnie od temperamentu — denerwować na bezbarwność doniesień prasy zachodniej o tym co się w Polsce dzieje. Przecież oni — a jest ich gromada — mogą wiedzieć tyle, co przeciętny tubylec. Mają dostęp do tych samych źródeł, co każdy przeciętny krajowiec, do tej samej prasy, do tych samych wiadomości. No i co?

Właściwie nie wiadomo, od czego zacząć: czy od tego, że reprezentowane są w Polsce i United Press International i Associated Press, Agence France Presse, DPA, ADN, TASS, MTI, TANJUG, różne radiofonie, dzienniki, czasopisma — czy też od tego, że — jak się wydaje — wszyscy razem korespondenci nie mają wiele do powiedzenia.

Na pewno najtrudniejszą pozycję mają w Polsce korespondenci prasy zachodnio-niemieckiej. Nie tylko dlatego, że są z NRF, ale i dlatego, że pierwsze korespondencje, jakie ukazały się na Zachodzie w tamtej prasie po roku 1956, były zwyczajnie nieuczciwe. Wywalony został z Polski dziennikarz niemiecki, który rozrzucał na śmietniku warszawskiego podwórka banany, a następnie fotografował dzieci, które je zbierały (na zdjęciu nie było widać, co zbierają) i dawał podpis już zupełnie niedwuznaczny, że dzieci w Polsce szukają jedzenia na śmietnikach. Nie tylko w Polsce, ale wszędzie na świecie, da się łatwo zrobić zdjęcia tendencyjne dla udowodnienia takiej tezy, jaką się wybrało. Ale w naszym wypadku dochodzi jeszcze jednak dość niemiła strona: pogarda dla dzikiego wschodu.

O tym można nieskończenie. I nie tylko o Polsce. A żeby nie być gołosłownym przytoczmy kilka przykładów. Przed rokiem pewien Übermensch, tym razem amerykański z popularnego tygodnika „Newsweek”, był łaskaw napisać w korespondencji z Bułgarii, że najlepszym dowodem przywiązania Bułgarów do Związku Radzieckiego jest zachowanie przez nich alfabetu rosyjskiego! To coś tak, jakby powiedzieć, że Brytyjczycy zaczęli mówić po angielsku w wyniku Planu Marshalla. W tym samym tygodniku, tym razem w maju br., chyba ten sam geniusz napisał, że „Rumuni lubią się uważać za Latynów, a nie za Słowian”. W tym miejscu odsyłam owego geniusza do pierwszej lepszej encyklopedii, żeby sobie poczytał, że Rumuni są Latynami, a nie Słowianami. Pewien biedak piszący w czerwcu tego roku w „New York Herald Tribune” tak gruntownie pomerdał sobie wszystko w pustawej łepiecie, że nawet coś bredził o wpływach okupacji tureckiej na kuchnię w Polsce. Inny ostrzegwał w swej korespondencji z Krakowa, że „w Polsce tak samo nie ma nic do oglądania jak i w Niemczech”. Pisał to biedak zapewne w Hotelu Francuskim, o kilkaset metrów od Mariackiego Ołtarza, a półtora kilometra od Wawelu, gdzie mógłby sobie między innymi obejrzeć grób generała, który walczył o wolność Stanów Zjednoczonych i za wolność jego samego, żeby sobie swobodnie swoje brednie w „New York Herald Tribune” drukował.

W tym samym dzienniku, w dniu 23 lipca br., w sprawozdaniu ze święta narodowego PRL, korespondent AP zasłużył sobie na co najmniej, Medal Tysiąclecia pisząc o ruchu oporu w Polsce „dowodzonym przez komunistów”. Tego nawet sama partia jeszcze nie odważyła się powiedzieć, choć pewnie bardzo by chciała.

Tu chyba dochodzimy do jakiegoś wniosku: bo jeżeli ja, zawsze podejrzewany (jakże słusznie) o zgniły liberalizm, antyradzieckość i temu podobne przestępstwa, tak te rzeczy widzę, to pewnie nie ma to nic wspólnego z ustrojem, tylko z głupotą korespondentów. Nie znaczy to, żeby wszyscy byli tacy sami, ale miarę przykładą się do najgłupszych i według niej ustawia pewne normy cenzuralne, ograniczające też tych mądrzejszych.

Jest właściwie normą, że nowy korespondent przyjeżdża do Polski nafaszerowany wiedzą swych poprzedników, albo co gorsza, już z własnymi „ideami” co to on będzie tu robił. Ustala więc sobie na niewidzianego, z góry, hierarchie ważności zagadnień, tak jak sobie je wyobraża, a nie jak one wyglądają naprawdę. Zakłada więc na przykład, że sprawą najważniejszą, pewnego rodzaju kamieniem probierczym będą dla niego stosunki Kościół-państwo. Albo na przykład sprawa reform ekonomicznych. I przez jakiś czas stara się całą swą pracę koncentrować wokół tak ustawionych zagadnień. Tak długo dopóki nie odkryje, że to są duchy — a on w duchy nie wierzy. A wtedy taki dziennikarz czuje się zgubiony, błąka się od jednego wydarzenia do drugiego, i coraz mniej rozumie.

Pewien gentleman, który spędził długi czas w Chinach, opowiadał mi, że po miesiącu wiedział już wszystko i rozumiał do-

skonałe całość zagadnień chińskich, a po pięciu latach pojął nagle, że nie wie absolutnie nic, i że nic z tego, co się dzieje, nie rozumie. Polska nie jest Chinami, ale są mimo wszystko pewne podobieństwa, przynajmniej w podejściu korespondentów zagranicznych do naszych spraw. Tylko jeden zresztą miał odwagę przyznać się, że po paru latach pobytu nie rozumie nic, a inny przyznał mi rację — ale dopiero po roku — że samo zajmowanie się stosunkami Kościół-państwo nic nie wyjaśnia i do niczego nie prowadzi.

Pewien zachodni dziennikarz już po tygodniowym pobycie był tak dalece pod czarem Polski — nie tej dzisiejszej, ale tej wszechobecnej, historycznej — że miałem poważny kłopot z przekonaniem go, że jednak ustrój trzeba, a przynajmniej warto by, zmienić.

Tu dochodzimy do drugiego wniosku, że Polska jest krajem z *sex-appeal*'em. Nie myślę tu o dziewczynach, chociaż pod tym względem niewiele się zmieniło od czasów pani Walewskiej, ale o jakimś nieuchwytnym czarze, jaki Polska rzuca na tak wielu, którzy pobędą w niej choćby parę tygodni. Co się na to składa? Pewien Włoch niemal seksualnie odczuwał przegięcie Nowego Świata, znaczące od kilku wieków zasięg roli świętokrzyskiej, innych wabią bardziej przyziemne czary nocnych lokali. Ci ostatni, kiedy zjawiają się w Warszawie po dłuższej nieobecności, sterują bezbłędnie w aleje Ujazdowskie do SPATiFu (Klub Aktorów), na Foksal do Dziennikarzy albo Kameralnej, na Krakowskie do Kamieniołomu (tak się popularnie nazywa marmurowe podziemie w Hotelu Europejskim), na Stary Rynek do Krokodyla. Nawet nie zapomnieli jaki banknot trzeba umieścić w dłoni, gdy się serdecznie ściska rękę portiera. Inni, jeśli tylko mają wolny *week-end*, wiedzą jak się najszybciej dostać do Zakopanego (samolotem do Krakowa + autobus do Zakopanego = trochę ponad trzy godziny) do Murowanej Piwnicy, skąd w zimie, jedzie się sankami do cygańskiej Romy u wylotu Strążyskiej — ale tylko po północy. Oni wiedzą, że na Gubałówkę jeździ się na pstrągi i na cizję, do Poraja na flaki albo na rydze, zależnie od pory roku.

I gdzie tu czas na politykę?

Znany mi dziennikarz zachodnio-europejski prowadził mnie, starego warszawiaka, do Baru pod Cyckami na Bródno, albo do Baru pod Trupkiem na Powązki — znał najróżniejsze mordownie tak straszliwe jak Portowa na Jagiellońskiej, albo „kiosk wykolejeńców” na Placu Konstytucji (dziś to miejsce już się skończyło — sprzedaje wody mineralne zamiast „utrwalacza” dla kończących noc o 9 czy 10 rano) gdzie zbierali się alkoholicy, na ogół byli funkcjonariusze UB, pisarze, malarze i zwykłe szumowiny. Wiedział gdzie i co można w Warszawie zjeść i *gave a damn* o to co się działo w polityce.

Szowinizm niemiecki poucza nas w Brockhausach i Knaursach, że Kraków był „*deutsch-sprachig* do XV wieku”, co jednak jest bzdurą wydumaną przez Treitschkego i odżywianą przez

wdowy po Hitlerze — ale taka bzdura mści się, i dzisiejsi korespondenci niemieccy, nawet jeśli nie ożenili się jeszcze z Polkami, kontynuując historycznie XIV i XV-wieczną asymilację, mówią w domu po polsku, i przyjmują polską rację stanu w odniesieniu do ziem zachodnich, stosunków polsko-radzieckich i td.

Zdumiewająca jest ta siła polonizacyjna, która zmusza nawet Rosjan, Czechów czy Bułgarów do mówienia po polsku — i to jak — w ciągu już nie miesięcy, ale tygodni — a co więcej do myślenia po polsku, tańczenia twista, lubienia sztuki abstrakcyjnej² i zdobywania umiejętności myślenia szerszego, bardziej liberalnego.

Tyle się już napisało, a jeszcze nie widać gdzie tu miejsce na cenzurę, na Gomułkę, politykę, budownictwo socjalizmu i temu podobne nieszczęścia. Ba, wydaje się, że takich rzeczy nie ma, tak dalece znikają one pod pokrywką codziennej *dolce vita*.

Ale tak się tylko wydaje. Jeżeli cenzura istnieje i to coraz surowsza, dla prasy krajowej, dla miejscowych dziennikarzy, to jakby miało jej nie być dla dziennikarzy zagranicznych obsługujących wrogą prasę kapitalistyczną.

Sprawy sięgają tak daleko, że nawet dziennikarz prasy komunistycznej włoskiej, francuskiej, czy innej, ale z Zachodu, ma łatwiejszy dostęp do znacznie szczegółowszej informacji w zwiedzonym zakładzie pracy, fabryce, urzędzie. Zwykle od tego zaczyna się rozmowa z prominentami zakładu, że najpierw zasięgają języka, jaką prasę, politycznie, reprezentuje przybysz. Inna rzecz, że czasem lepiej jest być wysłannikiem tak zwanej prasy burżuazyjnej, bo wtedy — bywa — łatwiej chodzą języki: komunista obojętny spod jakiej flagi, może napisać coś nie tak w swojej gazecie, albo poskarżyć się komuś w partii na małe wyrobienie polityczne aktywu, z którym przyszło mu rozmawiać — i po co to komu?³

Rozmówcy korespondenta są więc pierwszym sitem cenzury, wcale nie narzuconej, ale stworzonej przez, jakkolwiek byśmy to nazwali, lęk czy asekurację. Dotarcie w takim wypadku do właściwego źródła informacji, takiego, które powie prawdę nie zawaalowaną, ale pełną i uczciwą — to zadanie pierwsze. Korespondenci starają się posługiwać pomocnikami spośród miejscowych dziennikarzy, albo bardzo młodymi, albo takimi, którym nie się w życiu nie udało, albo takimi, którzy nie mają nic do stracenia. Nie ma wątpliwości, że władze lubią posłuchać, czym specjalnie interesuje się obcokrajowy korespondent. Nie znaczy to, że każdy polski pracownik zagranicznej redakcji czy agencji musi być od razu współpracownikiem UB — nie, ale jeżeli z

2. Typowe narodowe zajęcia.

3. Zwrócił mi uwagę kolega, że to będzie na Zachodzie niezrozumiałe. Otóż sprawa wygląda tak: jeżeli w artykule w prasie niekomunistycznej znajduje się coś niewłaściwego, to można to zawsze zwalić na wrogi stosunek polityczny. Ale jeżeli tak by to miało być w prasie komunistycznej — to jest to sprawa znacznie trudniejsza, bo już nie wchodzi w grę domniemana wrogość ideologiczna. Proste?

UB nie pracuje, to może się pożegnać z jakąkolwiek inną pracą, jeżeli ta się skończy. Poza tym będzie się przeciwko niemu używać wszelkich metod, by go z tego miejsca usunąć i podstawić swego człowieka. Można więc popatrzeć czy facet na przykład nie handluje czymś zagranicznym, co mógłby otrzymać w prezencie od swego pracodawcy, a nie trudno byłoby wtedy oskarżyć o przestępstwo dewizowe. A jak już facet siedzi do sprawy, to nie pracuje — a o to przecież chodziło od początku. Wtedy możemy już spokojnie podstawić kogo trzeba, który jeżeli nie będzie nawet swego szefa informował fałszywie, to w każdym wypadku może sprowadzić na boczne tory, a już na pewno będzie donosił gdzie trzeba, o wszystkim co jego szef robi, czy zamierza robić. I znów: nie trzeba sądzić, że wszyscy są tacy, ale może tak być.

Bardzo dużo zależy od tego, w jakim środowisku znajdzie się nowoprzybyły korespondent, na jakich trafi ludzi na samym początku, bo w tym środowisku może już pozostać, a każde kółko znajomych, niezawsze połączone węzłami przyjaźni czy bliższej znajomości z sąsiednim, ma swoje poglądy na sytuację polityczną, ma swoje sympatie, swoje animozje — i wszystko to — bez żadnych zresztą zamiarów — przekazuje swemu zagranicznemu znajomemu, jako swoje poglądy, co cudzoziemiec aż nazbyt często bierze za powszechniejsze mniemanie i skłonny jest przypisywać takie poglądy większej grupie społeczeństwa. W swojej większości korespondenci zagraniczni niestety, albo polują przede wszystkim na sensację, która zapewniłaby im cenny *scoop*, albo szukają potwierdzeń tego, o czym słyszeli przed przyjazdem do Polski — i tylko bardzo nieliczni naprawdę starają się zajrzeć pod zewnętrzną powłokę i zrozumieć sprawy naszego kraju. Nie jest niczym nowym fakt, że im bardziej ktoś jest komunistyczny w swoim kraju, tym bardziej krytycznie ocenia sprawy w Polsce. I odwrotnie: im więcej nonsensów ktoś się naczytał za granicą o komunistycznych porządkach w Polsce, tym bardziej staje się skłonny do idealizowania tego co zastał na miejscu. Ale bywają i tacy, jak pewien wątpliwy literat, który po dwukrotnym pobycie w Polsce — w sumie 12 dni, tylko w Warszawie i Krakowie — uznał za możliwe napisanie książki. Właściwie szkoda, że mu wydawnictwo tę książkę odrzuciło — byłoby na pewno co poczytać!

Oprócz powyższych dwu cenzur: własnej i środowiska, w które się nowoprzybyły korespondent dostanie, jest jeszcze ta cenzura prawdziwa. Rzecz zaczyna się od tego, że dziennikarz akredytowany dostaje się w ręce wydziału prasy zagranicznej MSZ, którego tak zwany popularnie dział dziennikarski nie jest niczym innym jak komórka departamentu VI MSW, czyli kontrwywiadu. Ten dział jest rozdawcą wszelkiego rodzaju informacji, zezwoleń na zwiedzanie fabryk, zakładów pracy, dostarczycielem literatury fachowej, propagandowej i tp. wydawanej bądź przez Zachodnią Agencję Prasową, bądź przez Wydawnictwo Polonia — co

jest, jakby się nie nazywało, produkcją samego MSZ, który poza tym lubi co pewien czas organizować zbiorowe wycieczki korespondentów to do Nowej Huty, to do Białowieży, lub do Turoszowa. Ile taki wyjazd może dać — wiadomo. I trudno się spodziewać, by rozbawieni na państwowy koszt dziennikarze zagraniczni mieli czas i ochotę na pisanie sprawozdań z takiej wycieczki. Ich zdaniem dzieje się znacznie więcej rzeczy ciekawych, ale cóż z tego, jeżeli w swej większości nie potrafią oni dotrzeć do spraw rzeczywiście ciekawych i ważnych. Dużą winę ponoszą oni sami, albo w każdym razie cierpią za winy innych. Znana jest historia sprzed wielu lat — ale do dziś w Warszawie nie zapomniana — jak to zbyt szczerzy warszawski dziennikarz życiem przypłacił informację udzieloną swemu przyjacielowi, dziennikarzowi francuskiemu, który wezwany do MSZ dla wyjaśnienia, skąd wziął sensacyjną wiadomość, nie zawahał się wskazać swego informatora. Było rzeczą jasną, że zostanie w każdym wypadku wydany z Polski, a mimo to, wiedząc, jakie jego wyznaczenie będzie miało skutki dla przyjaciela — nie wahał się.

Czy można się dziwić, że dziennikarze polscy są dziś ostrożniejsi i w zawieraniu przyjaźni i w udzielaniu informacji?

Pisałem już wyżej, że Polska jest krajem raczej atrakcyjnym dla cudzoziemców — no i tanim, jeżeli wymieniają swoje twarde waluty na czarnym rynku (a tak robią wszyscy) — skąd prosty wniosek, że im się pisze nudniej, mniej naraża i wychyla, tym dłużej będzie się w tym kraju siedzieć, czyli więcej i dłużej zarabiać i żyć całkiem wesoło. Polska wódka kosztuje tylko 60 centów za butelkę, whisky dolara, za parę dolarów można spędzić upojną noc w dobrym lokalu, a wiadomości i tak dostarczy obcojęzyczny komunikat PAPu. I po co takim cenzura?

Czy wszyscy dziennikarze zagraniczni są tacy? Chyba nie, bo co pewien czas ktoś jednak z Polski wylatuje, a co najgorsze niezawsze za to, że napisał prawdę...

Wcale nie małym źródłem dezinformacji mogą być dla zagranicznego korespondenta jego własni dyplomaci z lokalnej ambasady, na ogół dość gruntownie wyobcowani ze środowisk kraju urzędowania — i to z własnej woli — opinie o kraju urzędowania wyrabiając sobie jakże często na podstawie głosów prasy zagranicznej, którą sami z kolei dezinformują. W ten sposób powstają obiegowe poglądy, mające twarde życie, dotyczące kraju na tym świecie nie istniejącego, i w którym żaden krajowy Polak nie rozpoznałby państwa, w którym mieszka i żyje.

Po wszystkim, co się wyżej powiedziało, ktoś mógłby zapytać: czy jest wobec tego ktokolwiek, kto naprawdę dobrze i głęboko poznał i rozumie sprawy polskie? Odpowiedź może być zaskakująca. Moim zdaniem najbliższym takiego ideału jest zachodnio-niemiecki korespondent „Die Zeit”, Hansjakob Stehle, który spędził w Polsce coś pięć lat, poczym odwiedzał nasz kraj kilkakrotnie i wydał naprawdę ciekawą książkę. Z tego wynika, że można pisać dobrze i w dużym stopniu prawdziwie, w czym na-

wet reprezentowanie najbardziej wrogiej w mniemaniu partii i rządu prasy — nie przeszkadza.

A jak na tym tle wyglądają inne artykuły, reportaże i korespondencje? Co tu dużo ukrywać: w większości wypadków odnosi się wrażenie, że to co zostało na Zachodzie opublikowane mogło być napisane bez przyjeżdżania do Polski, na niewidzianego, bez poważnych kosztów i bez wysiłku intelektualnego. Ale komu w końcu wyrządzają tacy dziennikarze krzywdę? Przede wszystkim Zachodowi. Bo po pierwsze zaniżają ocenę osiągnięć krajów „obożu socjalistycznego” — rzecz niebezpieczna — a po drugie zniechęcają tamtejszych czytelników i podważają ich zaufanie do prasy „wolnego świata”.

George J. FLEMMING

Stopa życiowa w Polsce*

Jest to tytuł książki Bohdana Brodzińskiego, wydanej w końcu zeszłego roku przez Szkołę Nauk Politycznych w Londynie. Książka jest poświęcona analizie przemian, które nastąpiły w tym okresie w Polsce powojennej, i bierze za punkt wyjścia stan w drugiej połowie lat czterdziestych. Autor nie zajmuje się ani analizą tych przemian w stosunku do warunków przedwojennych, ani porównaniem z przemianami które zachodzą w innych krajach. Pomimo tego braku danych porównawczych, książka p. Brodzińskiego jest dla każdego, kto poważnie studiuje rzeczywistość krajową, kopalnią ujętych w ścisłe cyfry wiadomości o tym jak dziś szary człowiek w Polsce żyje i jakie są jego problemy, i codzienne troski.

Termin „stopa życiowa” jest ciągle używany; wszyscy rozumiemy co on oznacza. Gdy jednak stajemy wobec konieczności ścisłego określenia, natrafiamy na duże trudności. Stopa życiowa jest pojęciem bardziej konkretnym w stosunku do określonej grupy społecznej, której członkowie mają mniej więcej podobny poziom dochodów, podobne obyczaje oraz podobne preferencje konsumpcyjne. Jest jednak czymś trudniej uchwytnym gdy odnosimy to pojęcie do całego narodu składającego się z kompleksu grup społecznych, zróżniczkowanych pod względem ich możliwości konsumpcyjnych.

Wnioski, które z istniejących statystyk próbuje się wyciągnąć co do porównania poziomu życia w różnych krajach, muszą być

* B. Brodziński, *Stopa życiowa w Polsce w latach 1945-1963*, Wyd. Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych, Londyn 1965, str. 148.

z natury rzeczy najeżone różnymi zastrzeżeniami. Polska na przykład, jest jednym z krajów o najwyższej konsumpcji ziemniaków na głowę ludności. Statystyczny Polak konsumuje czterokrotnie więcej ziemniaków co statystyczny Amerykanin, wówczas gdy ów Amerykanin spożywa więcej niż dwukrotnie mięsa, niż Polak. Daje to pewne wyobrażenie o przeważającym stylu życia w obydwu krajach. Statystyczny Włoch natomiast spożywa zarówno mniej ziemniaków, jak i mniej mięsa, niż statystyczny Polak. Czy stąd wynika, że stopa życiowa we Włoszech jest niższa niż w Polsce?

Jeżeli agitator komunistyczny, przyznając że w Stanach Zjednoczonych na 180 milionów ludności jest 60 milionów samochodów, powiada, że są one skoncentrowane w ręku nielicznych kapitalistów, jest to oczywiście groteską. Lecz z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że w dzisiejszej Ameryce jest jeszcze sporo nędzy; i że ta nędza stanowi bardzo aktualny problem, któremu ostatnio prezydent i rząd poświęcają wiele uwagi. Jest również całkiem prawdopodobne, że pomiędzy owymi nędzarcami nie jeden jest właścicielem samochodu. Gdy jednak owemu właścicielowi samochodu zdarzy się zachorować, uzyskanie pomocy lekarskiej może być znacznie trudniejsze niż przeciętnemu Polakowi, bo w Ameryce ulgowa pomoc lekarska jest przeważnie tylko dla tego, kto dobrowolnie ubezpiecza się i regularnie płaci składki. Nędzarze zaś pod presją biedy dnia dzisiejszego nie są skłonni myśleć o jutrze, i nie należą do regularnych płatników rat ubezpieczeniowych.

Aby uniknąć tego rodzaju komplikacji oraz stanąć na gruncie możliwie ścisłych kryteriów, p. Brodziński zwięźa swój temat wyłącznie do przemian w stopie życiowej w Polsce powojennej, trzymając się przy tym zaleceń ONZ w sprawie klasyfikacji różnych aspektów stopy życiowej. W ten sposób p. Brodziński omawia wyżywienie, ubranie, warunki mieszkaniowe, warunki zdrowotne, opiekę społeczną, transport i komunikację, zatrudnienie i bezrobocie, oświatę i kulturę oraz wolności ludzkie, które dziś są w klasyfikacji międzynarodowej traktowane jako jeden z elementów stopy życiowej.

Jeżeli chodzi o żywność zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w ciągu dziesięciolecia 1949-1958 wzrosło poważnie spożycie mięsa i tłuszczów na głowę ludności: mniej więcej 50% ponad poziom 1949. Od 1958 nastąpiło jednak zahamowanie tego wzrostu, oraz wyraźny spadek konsumpcji masła i mleka na głowę ludności. Na ogół Polska, pod względem kalorycznej wartości spożycia, nie musi być zaliczana do krajów wyraźnie niedożywionych, tak jak to jest w wypadku szeregu krajów azjatyckich, chociaż Polacy konsumują mniej protein na głowę ludności niż mieszkańcy krajów zachodnich. Przeciętny Polak jednak musi odczuwać dość silnie braki w zakresie wyżywienia. Wynika to ze studiów krajowych, które stwierdzają, że na odcinkach, gdzie poziom dochodów wzrasta, ludność zużywa je przede wszystkim na poprawieniu wyżywienia. Niepokoi to władze, które dążą do

zmiany preferencji konsumentów na rzecz trwałych dóbr konsumpcyjnych (aparaty radiowe, lodówki, pralki, rowery i tp.). To nastawienie władz jest w dużym stopniu dyktowane względami na bilans płatniczy. Zwiększone zapotrzebowanie na trwałe dobra konsumpcyjne może być pokryte przez rozbudowę przemysłu, wówczas gdy poprawę wyżywienia jest trudno osiągnąć bez zwiększenia importu.

Jeżeli chodzi o odzież i obuwie, w Polsce jest stały wzrost produkcji materiałów wełnianych i bawełnianych oraz bardzo poważny wzrost fabrycznej produkcji obuwia. Produkcja tkanin jest więcej niż dwukrotnie wyższa w porównaniu z sytuacją przedwojenną. Jest to jednak przeważnie towar niższego gatunku, którego ludność nie chce kupować. Na składach więc gromadzą się zapasy „bubli”, na które nie ma nabywców.

W zakresie mieszkania Polska pozostaje nadal krajem o wyjątkowo dużym zagęszczeniu na jednostkę powierzchni mieszkaniowej: 1,8 osób na izbę, wówczas gdy w Wielkiej Brytanii 0,7, Austrii 0,9, Francji i Włoszech jedna osoba. 58% Polaków mieszka w jedno lub dwu izbowych mieszkaniach, wówczas gdy tylko 4% Anglików oraz 10% Niemców w Republice Federalnej. To duże zagęszczenie w mieszkaniach jest zresztą wspólną cechą wszystkich krajów zony sowieckiej, oprócz Wschodnich Niemiec.

Opieka społeczna, a szczególnie służba zdrowia, jest dziedziną w której dokonano poważnego postępu. Personel służby zdrowia wzrósł bardzo poważnie, jak również ilość łóżek w szpitalach. W 1946 r. było 3,7 lekarzy na 10 tysięcy ludności a w 1964 — 12 lekarzy. Pod względem stosunkowej ilości personelu służby zdrowia Polska wytrzymuje porównanie z krajami Zachodu. W tym samym roku w Wielkiej Brytanii było 10,8 lekarzy na 10 tysięcy ludności, we Francji 11, w N.R.F. — 14,9, w Holandii 11,2 w Stanach Zjednoczonych 13,1. Opieka lekarska jest nie odpłatna dla ludności miejskiej wówczas gdy wieś tylko w stopniu bardzo ograniczonym korzysta z dobrodziejstw służby zdrowia. Opieka ta nie ma więc charakteru powszechności. Pod tym względem Polska jest w tyle za Wielką Brytanią i tymi krajami kontynentu europejskiego które po ostatniej wojnie poważnie rozbudowały swój system świadczeń publicznych. Śmiertelność niemowląt została znacznie obniżona, lecz pozostaje wciąż wysoka w porównaniu zarówno z krajami zachodnimi jak również i europejskimi krajami zony komunistycznej: 55 na 1000 żywych noworodków, wówczas gdy w przodujących krajach kapitalistycznych jest około 20 na 1000. Obniżono również poważnie pokłose gruźlicy, rozpowszechnienie której zależy w dużym stopniu od stopy życiowej, a przede wszystkim od warunków mieszkaniowych. W 1950 r. było 10 zgonów na gruźlicę na 10,000 ludności, a w 1961 — 3,6.

Przeistoczenie opieki lekarskiej w rodzaj usługi publicznej jest ogólną tendencją naszych czasów. Proces ten postępuje szybciej w krajach europejskich, włączając w to kraje zony sowieckiej, niż w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie gdzie odpo-

wiednie projekty rządowe napotykają na opór ze strony towarzystw ubezpieczeniowych oraz zawodowych organizacji lekarskich. Jeżeli więc w Polsce dokonano dużego postępu w tej dziedzinie nie jest to specjalną zasługą obecnych rządów, a rezultatem prądu, który ma charakter powszechny.

W Polsce istnieje również dość rozbudowany system rent emerytalnych oraz inwalidzkich, chociaż zaopatrzenie z tego tytułu jest na wyjątkowo niskim poziomie (z wyjątkiem pewnych uprzywilejowanych kategorii pracowników). W 1964 roku z górą półtora miliona osób pobierało renty, w tym 77 tysięcy renty inwalidzkie. Przeciętna wysokość renty inwalidzkiej jest nieco ponad 400 zł. Poza tym stosunkowo poważną rolę odgrywa system zasiłków rodzinnych, chorobowych, połogowych oraz pogrzebowych, wypłacanych przeważnie przez związki zawodowe swoim członkom. W 1964 r. emerytury i renty wyniosły 16 miliardów złotych, wówczas gdy ogólna suma zasiłków ponad 12 miliardów złotych. Dla orientacji warto zaznaczyć, że oficjalne obliczenia dochodu narodowego, osiągniętego w tym samym roku, wynoszą 497 miliardów złotych w cenach bieżących.

Zdaniem p. Brodzińskiego, czynnikiem, który się ujemnie odbija na stopie życiowej jest „podzatrudnienie” siły roboczej. Jest to dobrze znany w krajach tzw. „opóźnionych” stan ukrytego bezrobocia. Oficjalne statystyki są tak skonstruowane aby możliwie zamaskować istnienie tego zjawiska w Polsce dzisiejszej. Brodziński obliczył jednak, że w 1962 r. ilość ludzi w wieku zdolności do pracy przekraczała ilość zatrudnionych o 3 miliony osób. Ilość kobiet poza gospodarstwem wiejskim zajętych wyłącznie gospodarką domową ocenia on na 2,5 miliona. Stąd wniosek że ilość ludzi bez stałego zajęcia wynosiła około 1/2 miliona osób, nie licząc ukrytego bezrobocia na wsi. Nadmiar siły roboczej w rolnictwie ocenia on, na zasadzie różnych reprezentacyjnych badań, w przybliżeniu na jeden milion. Stąd wniosek, że rozmiary bezrobocia w Polsce należy oszacować na mniej więcej półtora miliona osób.

Książka Brodzińskiego jest poważnym wkładem do analizy przemian gospodarczych, które zachodzą dzisiaj w kraju. Żeby jednak ocenić znaczenie tych przemian trzeba je wziąć nie w oderwaniu, lecz na tle procesów odbywających się w innych krajach. Podnoszenie się stopy życiowej jest dziś zjawiskiem powszechnym jeżeli chodzi o Europę i Amerykę. Widzimy to również w Związku Sowieckim, chociaż w tym ostatnim wypadku jest ono mocno zatamowane przez wydatki wojskowe oraz koszty związane z programem lotów międzyplanetarnych. Dopiero dane porównawcze mogą wykazać na jakich odcinkach Polska dorównuje innym krajom europejskim, a na jakich wlecze się w ogonie ogólnego trendu.

Jeżeli naprawdę w Polsce jest dzisiaj półtora miliona bezrobotnych i „podzatrudnionych” — jest to niewątpliwie stan lepszy, niż stan w latach trzydziestych, kiedy ta cyfra była co najmniej trzykrotnie wyższą. Lecz trzeba pamiętać że w Niemczech,

na początku lat trzydziestych było niemal 8 milionów bezrobotnych; dzisiaj zaś, przy zwiększonej gęstości zaludnienia, nie ma ani bezrobocia, ani „podzatrudnienia”; zachodzi nawet konieczność importowania zagranicznego robotnika. Jeżeli Polska, pomimo znacznego poprawienia struktury geograficzno-gospodarczej, staje wobec dawnego problemu przeludnienia agrarnego i wynikających stąd zjawisk „podzatrudnienia”, sprawa wymaga bardziej dokładnej analizy. Powstaje pytanie jak przedstawiałaby się sytuacja w Polsce dzisiaj, przy tej poprawionej strukturze, gdyby naród polski nie został obcą przemocą odcięty od tych procesów dynamicznych, które odbywają się w Europie. Wymaga to porównania trendu polskiego z trendami w innych krajach.

Dlatego też, w pełni uznając argumenty, które skłoniły p. Brodzińskiego do zwężenia tematu jego książki, należy jednak wyrazić żal, że nie ujął on tego tematu porównawczo. Trudności takiego ujęcia są w szeregu wypadków bardzo znaczne, jak to już podkreśliłem, ale te trudności nie są niemożliwe do przełamania. Każdy wskaźnik statystyczny zawiera pewien margines błędu, lecz system wskaźników daje pewne, chociaż tylko przybliżone, wyobrażenie o proporcjach. Tam zaś, gdzie chodzi o problemy dynamiki i rozwoju, nas interesują przede wszystkim proporcje. Okres powojenny przyniósł szereg studiów porównawczych w dziedzinie rozwoju gospodarczego różnych krajów. Bez tych studiów niektóre wielkie międzynarodowe akcje gospodarcze (np. tworzenie gospodarczych związków regionalnych, lub pomoc krajom opóźnionym) byłyby bardzo utrudnione. Szersze wprowadzenie danych porównawczych zapewne opóźniłoby wykończenie pracy p. Brodzińskiego, lecz ogromnie podniosłoby jej wartość dla tych, co chcą wyrobić sobie pogląd nie tylko na to jak jest w kraju, lecz również na to, jak mogłoby być i jak musi być.

Bardzo poważną wadą książki p. Brodzińskiego jest również brak indeksu. Książka mogła by się stać jednym z podręcznych źródeł informacji dla tych co badają problemy gospodarcze Polski współczesnej. Niestety brak indeksu bardzo utrudnia wykorzystanie wysiłków, jaki p. Brodziński włożył w zebranie niezbędnych materiałów i ich opracowanie. Niech nam wolno będzie przy tym wyrazić nadzieję, że ta pierwsza książka p. Brodzińskiego o statystyce Polski powojennej nie jest jednak ostatnią — i że w następnych te usterki wydawnicze będą usunięte.

Stanisław SWIANIEWICZ

Zmiany w stopie życiowej w Polsce

Nakładem Polskiej Szkoły Nauk Politycznych i Społecznych w Londynie została niedawno wydana ciekawa książka Bohdana Brodzińskiego pod tytułem *Stopa Życiowa w Polsce w Latach 1945-1963*. Książka ta zawiera szczegółowe omówienie czynników, które wpływają na zmiany w stopie życiowej oraz przeprowadza analizę roli tych czynników w Polsce. Na marginesie tej pracy chciałbym podzielić się z czytelnikami „Kultury” wynikami mojego statystycznego studium, które wyraża zmiany w ogólnej stopie życiowej za pomocą wskaźników zbiorowych. Ponieważ Brodziński nie podchodzi do zagadnienia kwantytatywnie, a raczej omawia urzędowe dane statystyczne w poszczególnych działach spożycia, podejście moje rzuca nowe światło na zmiany w polskim poziomie materialnym.

Rezultaty moich obliczeń podaję w osobnej tabeli. Unikając w miarę możliwości żargonu ekonomicznego metodę moich obliczeń można po krótko scharakteryzować jak następuje:

1. Oparłem się w obliczeniach głównie na oficjalnych statystykach polskich.
2. Uznałem stopę życiową jako funkcję spożycia przez ludność, a więc poddałem badaniu jedynie zmiany w materialnym dobrobycie.
3. Rozbiłem spożycie na trzy główne działy, a mianowicie na konsumpcję żywności, dóbr nieżywnościowych i usług.
4. W każdym z tych działów wydzieliłem konsumpcję poszczególnych grup artykułów, np. w żywności wydzieliłem zboża i ich produkty, mięso i tuszki ze zwierzęce, produkty mleczarskie i jaja, cukier i wyroby cukiernicze, używki, i td.
5. Rozwój każdej grupy artykułów śledziłem uzyskując albo całe spożycie, albo — jeżeli to było niemożliwe ze względu na brak danych — główne, lub o ile możliwości reprezentatywne artykuły.
6. Uzyskane w ten sposób serie statystyczne (wyrażone w formie statystycznych wskaźników) łączyłem używając jako składników średniej ważonej (*weights*) procentów jakie te grupy wynosiły w ogólnych wydatkach konsumentów w Polsce.
7. Za okres porównawczy, albo wskaźnik 100, przyjąłem rok 1956. Tak więc wskaźnik 44,5 na rok 1946 (patrz linia 4 na załączonej tabeli) oznacza, że w roku tym spożycie stanowiło 44,5 procent spożycia w 1956 roku, a więc było o około 55 procent poniżej przeciętnej na 1956 rok.

	I. Niezależne wskaźniki							II. Oficjalne wskaźniki GUS-u			
	1. Zymność	2. Materiały niezymne	3. Usługi	4. Niepoprawione ogólne	5. Niepoprawione na głowę	6. Poprawione	7. Poprawione na głowę	8. Stopa wzrostu wg. linii	9. Ogólne spożycie	10. Spożycie na głowę	11. Stopa wzrostu wg. linii
1938 obszar przedwojenny	84.6	51.6	133.7	77.9	62.9	80.4	64.9	—	—	—	—
1937 obszar obecny	120.8	79.9	287.5	120.4	111.0	124.3	114.6	—	—	—	—
1946	44.9	30.1	100.5	44.5	52.3	45.4	53.3	20.1	37.2	43.8	47.0 (1947-49)
1947	52.7	37.8	119.8	53.0	62.6	54.2	64.0	17.7	56.1	64.4	6.4
1948	65.3	46.0	120.7	63.4	73.6	64.8	75.3	7.7	61.0	68.5	6.0
1949	71.8	55.6	106.4	69.3	79.2	71.0	81.1	8.5	65.9	72.6	1.0
1950	80.9	64.5	86.5	76.1	85.5	78.3	88.0	1.9	67.7	73.3	1.9
1951	82.8	73.4	83.7	79.9	88.1	81.4	89.7	—	70.1	74.7	14.6
1952	83.4	74.7	87.8	81.1	87.6	82.3	87.3	—	82.3	85.6	8.1
1953	85.3	76.8	85.5	82.6	87.6	88.1	91.7	5.0	90.9	92.5	8.1
1954	90.8	82.8	90.1	88.3	91.9	88.1	97.3	4.0	100.0	100.0	8.1
1955	93.9	93.7	92.6	93.7	95.4	93.7	95.4	4.0	100.0	100.0	9.6
1956	100.0	100.0	100.0	100.0	100.0	100.0	100.0	4.8	111.0	109.6	9.6
1957	108.1	109.5	107.9	108.6	107.1	108.6	107.1	7.1	114.6	111.0	1.3
1958	111.8	118.8	112.6	114.1	110.6	114.1	110.6	3.3	114.6	111.0	4.9
1959	112.6	125.8	111.3	116.7	111.1	116.7	111.1	0.5	122.0	116.4	0.0
1960	117.7	128.0	113.5	120.6	113.3	120.6	113.3	2.0	124.4	116.4	5.3
1961	118.2	136.3	116.7	123.7	115.5	123.7	115.5	1.9	131.7	122.6	2.2
1962	121.7	143.8	119.2	128.5	118.4	128.5	118.4	2.5	136.6	125.3	3.4
1963	128.0	150.0	121.0	134.4	122.2	134.4	122.2	3.2	142.7	129.5	3.2
1964	133.7	153.8	128.1	139.6	125.3	139.6	125.3	2.5	149.4	133.6	

8. Na podstawie opublikowanych danych wprowadziłem poprawkę serii ogólnych średnioważonych wskaźników o zmiany jakościowe w produkcji materialnej.

9. Wprowadziłem poprawkę serii o zmiany ludnościowe, tzn. sprowadziłem ją do formy serii spożycia na głowę ludności. Zmiany w materialnej stopie życiowej mierzone są najlepiej tą serią.

10. Na podstawie przedwojennych i wojennych statystyk polskich i niemieckich porównałem spożycie powojenne z przedwojennym, tak w przedwojennych granicach jak i w granicach powojennych. Porównania takie dają lepsze wyobrażenie o rzeczywistych powojennych osiągnięciach polskich w dziedzinie poprawy stopy życiowej.

11. Wreszcie porównałem własną serię wskaźników z oficjalną serią GUS-u.

Wyniki uzyskane przeze mnie, jakkolwiek bardzo pracowite (nie miałym nic przeciwko zastosowaniu marksistowskiej teorii wartości, opartej na społecznie koniecznym nakładzie pracy do oceny wartości mojej tabeli), nie mogą być uważane za ostateczne, a stanowią raczej przybliżone wartości orientacyjne, które mogą być poprawione w miarę dopływu lepszych informacji. Liczby podane w załączonej tabeli mogą być traktowane jako w przybliżeniu dokładne do przecinka, a cyfry po przecinku dają zasadniczo zbędną złudę dokładności moich wyników. Zachowałem je tylko do celów porównawczych między poszczególnymi latami.

Rezultaty moich obliczeń wynikają jasno z załączonej tabeli. Ograniczę się więc do wskazania tylko kilku problemów. Przedwojenny poziom życia na jednego mieszkańca (kolumna 7 tabeli) osiągnięty został pod koniec 1947 roku w porównaniu z przedwojennym obszarem, lub dopiero w 1961 roku w porównaniu z obecnym obszarem. (W Japonii, która przeżyła podobny spadek stopy spożycia między okresem przedwojennym i powojennym jak Polska w obecnych granicach, i której rozwój był w ciągu pierwszych lat powojennych hamowany przez okupację i straty terytorialne, stopa przedwojenna osiągnięta została w 1955 roku; w Niemczech Zachodnich nastąpiło to o kilka lat wcześniej).

Po pierwszym okresie szybkiego wzrostu powojennego stopa życiowa wzrasta bardzo wolno i przez pewien czas w okresie stalinowskim nawet opada (patrz linia 8 na tabeli). Przyspieszenie wzrostu w okresie odwilży skończyło się w 1958 roku. Wtedy to nastąpiło ekonomiczne pogrzebanie Października.

Porównując trzy główne działy (kolumny 1, 2 i 3 tabeli) można zauważyć, że spożycie żywności wzrasta wolniej aniżeli spożycie innych artykułów — co jest normalnie występującym zjawiskiem towarzyszącym wzrostowi ekonomicznemu. Spożycie usług było natomiast w okresie powojennym szczególnie upośledzone, co było spowodowane z pewnością przez względy doktrynalne (hamowanie prywatnego rzemiosła, fakt, że usługi nie były uważane za „produktywne”, choroba na gigantomanii produkcyjną). Nieoficjalne usługi, które w Polsce komunistycznej rozkwitły, nie

znajdują wyrażenia statystycznego i z tego względu seria usług może być nieco zaniżona.

Wartości na wczesne lata powojenne wydają się zaniżone ze względu na ogólnie słabe statystyczne donoszenie wyników, szczególnie przez mniejsze prywatne warsztaty pracy. Część statystycznie wykazanej produkcji stalinowskiej po prostu zastępowano niewykazaną produkcją poprzednią dokonywaną w likwidowanych zakładach prywatnych. Tak więc właściwe porównanie okresów 1946-48 i 1949-53 wypadłoby z jeszcze mniejszą korzyścią dla osiągnięć lat stalinowskich.

Oparcie moich niezależnie obliczonych wskaźników stopy życiowej na wycinkowych danych oficjalnych spowodowało zawyżenie wskaźników na okres po 1948. Propagandowe nastawienie informacji komunistycznych doprowadza do pomijania milczeniem produkcji która „nawala”, i do podkreślania jedynie wyników pozytywnych. Tak więc próbki, które posiadałem do użytku były już z góry wybrane przez GUS i stąd nie mogą być uważane za w pełni reprezentatywne. Ominąć tej trudności nie mogłem z braku odpowiednich danych statystycznych. Fakt, że problem ten istnieje, jest potwierdzony przez porównanie wzrostu moich wskaźników z oficjalnymi (kolumny 8 i 11 tabeli). Podczas gdy w większości lat oficjalne wskaźniki podają szybszy wzrost niż niezależne wskaźniki, w latach 1949-50, 1957-58, 1959-60 i 1961-62 moje wskaźniki wykazują szybszy wzrost od oficjalnych. Gdyby wyniki moje rzeczywiście oddawały dokładnie rozwój stopy życiowej w Polsce, oficjalne statystyki z pewnością by je na powyższe lata ogłosiły. Nota bene, moje wskaźniki wykazują wzrost stopy życiowej między 1947-64 o 158 procent, podczas gdy oficjalne wskaźniki wykazują wzrost o 302 procent.

Porównanie obecnego spożycia z okresem przedwojennym w obecnych granicach wskazuje na powód, dla którego statystycy w Polsce pomijają przeprowadzanie tego rodzaju jakżeż oczywistych i ekonomicznie zrozumiałych porównań (druga linia na załączonej tabeli w porównaniu z ostatnią).

Na podstawie powyższych danych i na podstawie pracy Brodzińskiego ekonomisty w kraju powinni wszcząć dyskusję na temat czy osiągnięte rezultaty w podniesieniu stopy życiowej w Polsce w dostateczny sposób uprzedliwiają ciężki trud z jakim społeczeństwo polskie zdobyło te rezultaty. Jeżeli rządy komunistyczne rzeczywiście stawiają sobie za cel podniesienie dobrobytu materialnego ludności, i jeżeli chcą one przeprowadzić racjonalny rachunek zysków i kosztów, to dyskusja taka jest niezbędna. Oczywiście, jeżeli prowadzić ją będą jedynie tacy czy inni Mincowie* to trudno jest oczekiwać jakichkolwiek zmian które by doprowadziły do szybszego i łatwiejszego zaspokojenia materialnych aspiracji społeczeństwa i do oparcia gospodarki polskiej na bardziej racjonalnych podstawach. Dyskusja taka pod-

* Hilary Minc ogłosił ok. roku 1952, że Polska osiągnęła już poziom gospodarczy Włoch, i że wkrótce osiągnie poziom Francji i Anglii.

kreśliłaby jednocześnie, że porównanie polskich osiągnięć w dziedzinie podniesienia stopy życiowej z osiągnięciami w krajach niekomunistycznych wypadła dużo mniej korzystnie dla Polski aniżeli wynika to z ogłaszanych dotychczas oficjalnych danych — co zresztą większość Polaków intuicyjnie sobie dobrze uświadamia.

Bogdan MIECZKOWSKI
Associate Professor
Ithaca College, Ithaca, N.Y., U.S.A.

12 procesów młodzieżowych

Na wokandę Sądu dla Nieletnich w Łodzi wpłynęło od stycznia do maja rb. 11 spraw politycznych przeciw kołom samokształceniowym, działającym w środowisku robotniczym. Dwunasta ma wejść na wokandę. Jest to oskarżenie przeciw studentom uczelni łódzkich.

Sprawa Nr 11 dotyczyła grupy „polskiej akcji podziemnej”. Zatrzymano 32 osoby, 19 z nich wypuszczono po 24-godzinnym przesłuchaniu, 5 osób po 5-ciomiesięcznym areszcie odpowiadało z wolnej stopy, 8 oskarżonych przywieziono na rozprawę w więzieniu. Zapadły dwa wyroki: Józef Orzeszko skazany został na 2 i 1/2 roku więzienia i Michalski na 1 rok więzienia. Pozostali oskarżeni zostali albo uniewinnieni albo otrzymali niewielkie wyroki z zawieszeniem.

Oskarżeni byli w wieku od lat 16 do 20. Młodzież ta przeważnie ukończyła kilka klas szkoły średniej, 9 a niekiedy 11 lat nauczania w szkole podstawowej a następnie zawodowej. Józef Orzeszko, najbardziej wyrobiony spośród oskarżonych, jest jedynym, pochodzącym ze środowiska inteligentkiego — był on przywódcą całej grupy.

Cele młodzieży ujawnia następujący fragment rozprawy:

Sędzia (drwi z podsądnych): Czy spodziewali się obalić ustrój Polski Ludowej? albo rząd? co chcieli osiągnąć swoją dziecinną?

Orzeszko: „Nie czuliśmy się na siłach by zmienić cokolwiek w całej Polsce. Było jednak w naszej mocy zwalczać zakłamanie i wpływy rosyjskie tam gdzie żyjemy. Uznaliśmy, że trzeba robić to co jest możliwe”.

Z bezwzględnością, właściwą młodzieży, członkowie P.A.P. osądzają starszych: „Do kogo mieliśmy się zwracać” — mówi Orzeszko — „pan Prokurator przecież wie, że starsi ludzie kłamią, by ocalić posady. A co najmniej milczą. Chyba nie mogliśmy się zwracać o radę do kłamców? A w tych waszych klubach też łą. Chyba nie tam trzeba szukać odpowiedzi na nasze pytania. Odpowiedź znaleźliśmy sami. Ojciec jednego kolegi zginął w Katyniu. A drugi w latach pięćdziesiątych. Dlaczego milczy się o tych rzeczach? Dla wygody Związku Radzieckiego? Chyba tak... Wyciągnęliśmy ten wniosek i do pomocy nie potrzebowaliśmy nikogo”.

W 1956 roku powstało masę klubów młodzieżowych. Zostały jednak

szybko zdławione lub wprowadzono do nich drętą mowę. Jednak potrzeby zaspakajane przez te kluby nie przestały istnieć i to powoduje powstawanie tajnych grup.

W toku rozprawy prokurator starał się udowodnić, że grupa miała charakter chuligański gdyż między innymi usuwała gwiazdy z tzw. „pomników wdzięczności” a to mogą robić wyłącznie chuligani. Chwył ten nie dał pożądaných rezultatów: liczni świadkowie dawali jak najlepsze opinie oskarżonym.

Wśród tych poważnych i ciężkich spraw jest dużo dziecinnady. Chłopcy sporządzili sobie legitymacje. Jednemu z oskarżonych legitymacja wypadła z kieszeni w klubie fabrycznym, zauważył to miejscowy tajniak i zaczęła się inwigilacja, w ten sposób doszło do omawianej wyspy. Wśród zatrzymanych sypać zaczął Dominiak, na szczęście nie znał on wielu chłopców, gdyż grupa była zorganizowana w piątki. W czasie rozprawy Dominiak był wyraźnie zmieszany postawą kolegów i nie chciał powtarzać zeznań uczynionych w śledztwie, choć twierdził, że składał je bez przymusu.

Co czytali chłopcy: wyłącznie literaturę legalną. Nie dotarły do nich żadne wydawnictwa emigracyjne. Korzystali z książek dotyczących Drugiej Wojny Światowej — od najpoważniejszych do sensacyjnej biblioteczki „Tygrysa”. Czytali również niektóre wydawnictwa „Po Prostu”.

(KORESPONDENCJA Z KRAJU)

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:

6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Sprawy i troski

W oczach Londynu

Wodząc oczyma po trybunach White City i wypełniającym je ponad 30-tysięcznym tłumie Polaków, szukamy *common denominator*'ów RODAKA, cech wyróżniających go od ludzi tutejszych, będących zasadniczo Anglikami. Łatwiej od drugiego końca: RODACY czują się pewnie, są u siebie, trwają w euforii niebywałej w ich wycuciu długości Tysiąclecia, nie zadając sobie trudu porównania chronologii naszej historycznej egzystencji z Francją czy tuziemcami. Nieliczni zagubieni w tłumie Anglicy, nie znający panującego na stadionie języka, otwierają szeroko oczy i nastawiają uszy. Co myśleli — nie wiemy, gdyż radio, telewizja i pisma tzw. „narodowe”, o milionowych nakładach, zbyły Wielki Dzień Polaków parowierszowymi wzmiankami i nieuchronnymi fotografiami tancerzy w strojach ludowych. Służba porządkowa stadionu nie tała zdziwienia: ta publiczność była spokojniejsza i bardziej zdyscyplinowana (a nadto skłonna do łez wzruszenia!) od tłumów ściągających normalnie na stadion.

Jakież wnioski? Że zbliża się ku końcowi era zgarbionych postaci sunących w zamyśleniu, ospałym krokiem, w spłowiących *battledress*'ach. Ze króluje krępy, okrągłolicy, raczej szpakowaty niż łysiejący zażywny czterdziestolatek, aż nadto pewny siebie, zmotoryzowany, z wódki przestawiony na piwo. Że przy nim „moja pani”, bardziej od niego prowincjonalna, niewytrzymała w odchudzaniu, ubrana wyjściowo, drobno zaondulowana zgodnie z przepisami na pudełkach do domowej „trwałej”. I że dopiero oni, „nasza młodzież”, są już w pełni zachodnioeuropejscy z wyglądu, a w dodatku palący się do lodów — a tu zimno! — albo filozoficznie ciągnący *bitter lemon* (zwycięskiego konkurenta „Coca-Coli”) przez plastikową słomkę.

Tyle ładnych panienek, tysiące harcerzy, tyle dzieci... Nieoczekiwany pokaz naszego własnego wyżu demograficznego.

— Skąd to się bierze? — pyta wzruszona jejmość w kapeluszu z różowych margerytek *à la Her Majesty the Queen*.

— Przez nieostrożność, droga pani, przez nieostrożność — wyjaśnia rzeczowo stojący obok jegomość.

— I przez Stolicę Apostolską, co na *pill'e* nie pozwala — dodaje bezbożnik, źle dający sobie radę z problemem: stać, kłęzczyć, pamiętać słowa zasadniczych modlitw. Dziw, że uchwycił do końca nabożeństwa, kąkol w milenijnym łańcuchu.

— *Shut-up* — zakrzykuje go dama. — Prezes Baliński usłyszy...

Tłumy nie tylko kochały Ojczyznę ale i cierpiały za nią. Pogoda zmienna pod wyraźnym wpływem „świętych ogrodników” — Pankracego, Serwacego i Bonifacego. Przetrzymano ich widać na granicy w drodze z Polski.

— Jak na pogrzebie Marszałka — rzuca ktoś. I zaczynają się wspominki o historycznej burzy z jasnego nieba, co to wtedy...

Każdy przeżywa na swój sposób wielką narodową okazję. Przeważa chęć uświetnienia, utożsamienia się z rodacką społecznością, potwierdzenia sensu polskości i utrzymywania narodowej odrębności i tradycji. Kilkaset osób (nie licząc maszerujących sprawnie dzieci) bierze czynny udział w którymś z ogniw historycznego *pageant'u*, wielkiej kostiumowej defilady (ale nie maskarady!) przygotowanej starannie pod kierunkiem dra Leopolda Kielanowskiego, w oparciu o dobre wzory angielskie. Zaangażowani są osobiście rodzice i krewni, tropiący przy pomocy lornetek maszerujących czy tańczących potomków. Wszyscy czekają na kolejne pointy przeciągającej się zdecydowanie imprezy — coraz nowe głosy, nowe postacie, barwne tłumy na tle trybun, szarżujących podczas deszczu, jaskrawych w słońcu. Wspaniałe sylwety duchownych — nasz własny biskup Rubin prezentuje się okazale — „jak Renesansowy Książę Kościoła”. Kardynał Heenan przemawia pięknie i tak odważnie, że prasa uchylła się skwapliwie od upowszechnienia tekstu jego propolskiej wypowiedzi.

Wtajemniczeni czekali na wielką chwilę narodowego pojednania, gdy w słońcu („Witaj, majowa jutrenko!”) na oczach tłumów Prezydent Zaleski obejmie się braterskim uściskiem z generałem Andersem. Najwięksi optymiści (pani Byrowa?) czekali u bram z kwiatami, by powitać prez. Zaleskiego. Kwiaty zwiędły, optymistów zmoczyła ulewa, niewygodne przemówienia pozostały na zmiętych kartkach a okrzyki „Zgoda, zgoda, zgoda” w pozasłyszalnym kręgu. Generał Anders nie stał się partnerem braterskiego uścisku, a wiele wskazuje że nie z własnej winy i nadmiernego poszanowania zdrowia — to na pewno nie jest jego cechą. Gotów był ponoć na dopełnienie gestu, który zmienić mógł wiele. Gorzko myśleć o zmarnowanym kapitale nadziei i zaufania. Jaki był zakulisowy przebieg wypadków dowiemy się w r. 1976 z 33-ego „Zeszytu Historycznego” biblioteki „Kultury”.

Wypróbowanym emigracyjnym zwyczajem przemilczały te możliwości reprezentacyjne pisma polityczne Emigracji i poddający im ton „Dziennik Polski”. A tu wypadłoby przynajmniej sprostować, że nie decydowały ani szare eminencje ani „familie”.

A gdy tak ludek czekał — a czekać umie cierpliwie, wiadomo,

dobrze wprawiony, chmurzyło się i rozjaśniało i upusty niebieskie otwierały się nad złotoustym kaznodzieją — „ojcem Pawłem” z Powstania, księdzem Józefem Warszawskim, rzymskim Jezuitą, jakby żywcem wyjętym z obrazu El Greca, o wspaniałym timbrze głosu i oczach Apostoła. Oczy nawykłe do szarzyzny niedzielnej kościoła, uderzała reprezentacyjność naszego kleru i jego godna wydarzeń postawa. Uroczystość na stadionie była niewątpliwie aktem potwierdzającym przynależność zebranych do wielkiej społeczności chrześcijańskiej (z nieuchronną domieszką patriotyzmu nasuwającego żywe analogie z okresem manifestacji poprzedzających wybuch powstania 1863 r.).

Z narodu w diasporze rozdrobnionego rozsianiem po United Kingdom, zamieniamy się przy takich okazjach w wielką jednorodną masę wypełniającą Albert Hall, to znów ratusz Hammer-smith'u, to White City, czy wreszcie zielone łąki nad Tamizą i rododendronowe zarośla Fawley Court'u. Kim jesteśmy? Kim byli organizatorzy grup wycieczkowych zjeżdżających kolorowymi autokarami i minibusami? Kto ściągnął te tłumy? — I to w ostatniej chwili. Ksiądz z ambony? Wezwania „Dziennika Polskiego”? Kombatanci? — Wszyscy bodaj po trosze i ściśle w tej kolejności. Z tym, że u Kombatantów brać trzeba pod uwagę „szczęśliwą rękę” i rycerską odwagę decyzji, bo i wykolejony Komitet Milenijny wziąć potrafili w garść w ostatniej niemal chwili i zwoławszy gości (później, z okazji Zjazdu SPK) na oficjalną *party* przemienić ją potrafili w arcywielką okazję suto podlaną zacnym winkiem (tu jakże nie wspomnieć ze łąką Bielatowicza) i godnymi historycznej chwili przekąskami.

Dziwiło nas kiedyś, że XIX-wieczni Krzemieńczanie urządzali „biesiady” w Paryżu w latach 1860-ych, w trzydzieści lat po powstaniu. (Dziś o biesiadach głucho, ale wyszedł właśnie trzeci tom „Pamiętnika Kijowskiego”).

Ciągnie coś ludzi ku sobie z dalekich przedmieść świata i różnych rozwidleń samolotowych linii. Zjazdu takiego jak ten ostatni, milenijny, majowy, jak Londyn Londynem nie było. Po dwu stronach sali, na otwarciu obrad politycznych w Westminster Cathedral Hall'u, patrzyły na siebie tysiące lat, i tyluśmy mieli naraz generałów i ambasadorów, że właściwie nie liczyli się cywile, chyba — jak mecenas Nagórski — seniorujący zgromadzeniom. Przegadano tysiące godzin, wyeksploatowano do dna i tematy oczywiste i uboczne, naobiecowano góry sobie, innym i ludzkości w ogóle, przesuвано, ustalano i obalano granice, chodzono do „Ogniska” i na „Wagabundę”, błędzono po drastycznie przebudowanych okolicach dworca Victoria Station i umawiano się na dalsze pogaduszki w nieoficjalnym sercu polskiego Londynu — pasażu stacji kolejki podziemnej na South Kensingtonie na tle obracających się na rożnach *broiler'ów*.

Pokazaliśmy sobie a po trosze i Anglikom, że alienacja, izolacja, „sami sobie”, „sami z sobą” nie jest teorią, ani wymysłem, ale polskim niezawodnym Lsd, lekiem i narkotykiem — na tydzień.

Wietrzmy się obecnie. Wystrząsamy popielniczki. Wywołujemy kolorowe filmy z White City. Pakujemy walizki. Jedziemy na Costa Brava.

Nie wszyscy. Na opróżnionej scenie pojawiają się wytrzeźwione ze złudzeń postacie zdolne do odróżnienia okolicznościowych porywów od ich niewesołego podglebia. Po staremu — tłum oczekiwał cudu. I cudu nie doczekał. Wśród obliczających tysiące uczestników uroczystości na Stadionie byli i tacy, którzy przeciwstawiali mnogość tłumów dobrze im znanym niedoborom kluczowych instytucji kulturalnych Emigracji, ilościom prenumeratorów pism (z „Dziennikiem” włącznie), nabywców i czytelników książek polskich. Stoimy wobec zagadkowego zjawiska, zadajemy sobie pytanie: „Czym karmią się na codzień owe głowy w kapeluszach z kwiatków i owe dziarskie postacie, poczuwające się do finansowania owych symbolów zamożności?” Zdarzało się nawet, że tacy śpiący intelektualnie Rodacy przypadkiem dowiadawali się — od przyjezdnych z Kraju gości, że w Paryżu wychodzi „Kultura” a pisarz, nazwiskiem Hłasko, wydał książkę „Piękni, dwudziestoletni”. Wyręczyliśmy się ułatwioną diagnozą: „Mają dosyć patriotycznego zakłamania, frazesów i tp.”. Ale i tak nie jest, gdyż w żywym słowie owych postaci pobrzmiwają najbardziej wytarte cytaty-klisze.

Coś nawaliło. Różne są diagnozy — ale uporczywie powraca w nich motyw: nawaliła tzw. oświata dorosłych, oświata pozaszkolna, nastawiona na ułatwienie awansu intelektualnego tyśiącznym rzeszom chętnych i zdolnych półinteligentów, skazanych dziś na „Readers’ Digest” i angielskie krzyżówki.

Gdy zapytamy ich samych, typowych — a jakże licznych reprezentantów gatunku — odpowiedzą: „Zawiniła góra”. I pośpiesznie wyłączą tego czy innego z dowódców wojskowych. Ci uszli cało a nawet zamieniają się na naszych oczach w marionetki z narodowego Panteonu.

Czym zawiniła Góra? Odpowiedź najczęstsza głosi, że zbyt dłu-go i zbyt uporczywie „trwają na stanowiskach” — w postawie „Spocznij w kolanie!”.

Jeden z pilnych czytelników „Apokryfu rodzinnego” Hanny Malewskiej doczytał się w tej książce słów następujących w rozdziale pt. „Bohaterowie są zmęczeni”:

„Zauważmy też, że zawsze i wszędzie duży procent ludzi, którzy żyją z nabytego kapitału zasług, wyczerpuje swoje rezerwy gotowości. (...) Tacy ludzie, uszywnieni jeszcze swą dawną reputacją, twierdzili zwykle, że nowe wymagania chwili są wielkie i szkodliwe. A jeśli się przekonali, że inni jednak im sprostali, i że szkodliwe było raczej uchylanie się, tak przynajmniej osądziła opinia — popadali w rozkład i czasem palili sobie w łeb. A czasem się rozpijali, albo w jakiś sposób popełniali — we własnym także pojęciu — moralne samobójstwo, bądź wstępowali na drogę mistyfikacji”.

Odeszliśmy, na szczęście, daleko od czasów, w których ambicja nakazywała zawiedzionym samobójstwo albo posyłanie sekundantów. (Zastępują ich popularne w pewnych kołach listy

sollicitorów). Ale zasadniczy tenor wywodów Malewskiej w sposób zadziwiający przystaje do pewnych aspektów sytuacji emigracyjnej i ułatwia wyciągnięcie z niej wniosków. I my — jak XIX-wieczni bohaterowie „Apokryfu rodzinnego” mamy w swoim gronie „zmęczonych bohaterów” „uszywnionych dawną reputacją” — i my stoimy wobec problemu przełamania uporów i przesądów — na to, by ruszyć z miejsca.

Taki już jest tok życia, że po złotym okresie szczytowej wydajności nadchodzi pora na przejście na zwolnione obroty. Pamiećtniki Lorda Morana ukazały w sposób przejmujący kliniczny obraz tego zjawiska na przykładzie Churchill’a. Książka ta winna być lekturą obowiązkową seniorów Emigracji.

Jednym z motorów naszej działalności publicznej jest niewątpliwie strach przed narażeniem się na niezadowolenie starców. Jeśli nawet mówi się od czasu do czasu o potrzebie „odmłodzenia kadr”, „wciągnięcia młodych”, „wychowania liderów, naszych przyszłych następców” — postulat ten gaśnie wobec następnego członu rozumowania: „Niestety, nie mamy owych następców!”. Prowadzi to niekiedy do bardzo skomplikowanych sytuacji, bo następcy są i interesują się dalszym ciągiem działalności. Jest jednak rada i na to: rozpoczyna się zrzęzna i cierpliwie prowadzona kampania zmierzająca do podważenia ich prestiżu i poddania w wątpliwość motywów działania. X był w szkole kolegą brata, powiedzmy, Cyrankiewicza. Y współpracuje z „Monachium”: „w służbie wywiadu amerykańskiego”. Z — mason (bez względu na płeć). A w dodatku pisuje do „Kultury”. A „Kultura”, wiadomo, podejrzana. Reżym konfiskuje jej wydawnictwa dla zmylenia opinii. I td., i td. Ci, którzy reprezentują tzw. „doświadczenie organizacyjne” z góry wiedzą, że oni i tylko oni mają wycucie właściwego rozpoczęcia akcji. (Dlatego m.in. wypuszczono z rąk polskich wspomniały gmach „Orła Białego” na Knightsbridge: moment był nieodpowiedni). Oni także i tylko oni posiadli tajemnicę działania dla dobra narodu i sprawy polskiej. Szkoda, że nie wypracowali katechizmu dobrego Polaka, bo zdarzało się, że nie dość dobrymi Polakami byli w ich oczach b. więźniowie Oświęcimia, ex-lotnicy bojowi, czy uczestnicy Powstania Warszawskiego.

Część emigracyjnej „góry” trwa w stanie osobliwej izolacji od „dołów” — a także świata. Brak kontaktu z „dołami” sprawi, że właśnie „góra” najbardziej była zaskoczona liczebnością „dołów” na stadionie White City (a także wielu innych imprezach na prowincji). Nie było to niespodzianką dla tych, których owa „góra” tak wytrwale dyskwalifikuje, rozgoryczyła i zniechęca.

Konflikt między „górami” a „dołami” dochodzi do głosu zarówno na odcinku politycznym, gdzie pogląd „dołów” wyraża się jednomyślnie postulatem jak najszybszego zjednoczenia, jak i na odcinku gospodarki społecznej, który nabiera coraz większej wagi w wyniku nieuchronnych procesów socjologicznych i upływu czasu. I tu „doły” domagają się racjonalizacji poczynań, lepszej i nowocześniejszej gospodarki. „Nie!” — wołają ci „najdoświad-

czeńsi" — i szeptem dodają, jako argument ostateczny: „Skupianie majątku emigracyjnego jest wodą na młyn dla akcji Moczara”.

Spojrzymy prawdzie w oczy. Podejźmy do sytuacji po męsku. Rzecz dotyczy pokolenia złożonego z ludzi pełnoletnich, w większości ex-wojskowych (wśród seniorów nie stanowią oni większości!), którzy przed 20 laty zdobyli się, po należytych przemyśleniu sytuacji, na decyzję pozostania poza krajem. Ludzie ci interesują się sytuacją w kraju w stopniu nie mniejszym od seniorów, z tego choćby względu, że owa decyzja oznaczała początek ciężkiej walki o utrzymanie się na powierzchni, bez pomocy „stypendiów” i „cichych kas”, o których byłym istnieniu dowiadujemy się dotąd od czasu do czasu. Jeśli wytrwali, często w rozłące z najbliższymi, oznacza to, że traktowali swą decyzję poważnie. Zdali egzamin praktyczny z woli przetrwania i wykazali, że oporność na pokusy Reżymu jest u nich nie tylko nie mniejsza, ale może nawet większa od tych, którzy rzucają im kłody pod nogi. Pułapki Reżymu rozstawione były w swoim czasie na nich może najgęściej, a wspierały ich wymowę tragiczne wezwania krewnych.

Powiedzmy sobie także, że zarówno akcja Moczara, jak i wcześniejsze próby tego typu podejmowane *nota bene* w bardziej sprzyjającej atmosferze popaździernikowej — spaliły na panewce a upolowana zwierzyna rekrutowała się z nielicznych polityków kierujących się przerostami ambicji i wiarą, że „oni” nie dadzą się i pokażą, co potrafią i sprowadzą zasadnicze przemiany — w kraju. To właśnie „doły” zdały egzamin, trwając na stanowisku antykomunistycznym w wierności językowi, wierze i obyczajom.

Poruszyć wypadło i postawić jasno tę sprawę ze względu na wzmaganie się szeptanej propagandy kierującej się przeciw tym wszystkim, którzy chcieliby wyjść z kredowego kręgu czczych obietnic i „dojutrkowania”. Wymierzona jest ona w szczególności przeciw próbom skupienia mienia społecznego Emigracji a operuje wspomnianym wyżej argumentem „moczarowym”. Nie podobna zrozumieć, dlaczego owo „moczarowe” niebezpieczeństwo nie grozi organizacjom rządzonej przez jednostki oraz zespołom owych organizacji (często o charakterze pokrewnym) administrowanym przez zadziwiająco podobne w swym składzie prezydium i trusty. Dodać należy — dla ukazania w pełni absurdu sytuacji że jest to w obu wypadkach niebezpieczeństwo fikcyjne, gdyż na tym właśnie odcinku Emigracja zdaje egzamin, nie poddając się wpływom Reżymu. Wydawnictw proreżymowych nie czytają zarówno seniorzy jak i „podejrzani” kandydaci na ich następców.

W miarę upływu czasu i wysłuchiwanie niezliczonych dyskusji Rodaków ujawnia się coraz wyraźniej, że na odcinku gospodarczym społeczność polska w W. Brytanii domaga się:

- 1) jawnej gospodarki funduszami społecznymi,
- 2) zbiorowego zarządzania majątkiem i w konsekwencji zbiorowej odpowiedzialności za gospodarkę, jej dochodowość i wysokość procentu kosztów administracyjnych,

3) pełnej kontroli i niezależności społecznych komisji rewizyjnych oraz systematycznego publikowania szczegółowych sprawozdań,

4) działalności opartej o przepisy prawa kraju osiedlenia.

Winniśmy powiedzieć sobie szczerze, że metody działania właściwe akcji konspiracyjnej nie są najwłaściwsze — a tym bardziej wskazane i jedyne — w życiu Emigracji w r. 1966. Że powiernicy mienia społecznego mieli czas i możliwości wychowania sobie następców i rozsądnego zabezpieczenia mienia w oparciu o właściwych ludzi i właściwe organizacje. Jeśli nie uczynili tego — czas najwyższy, by podjęli właściwe kroki.

W dorobku jednostki, jak w bilansie handlowym, występuje „ma” i „winien”. Po najdłuższym życiu negatywne strony bilansu decydują o reputacji danego osobnika — a zdarza się, że przekreślić potrafią nawet dawne jego dodatnie osiągnięcia.

Czas płynie. *Quo usque tandem...*

19. VII. 1966.

m.l.d.

Emigracja z przyzwyczajenia ?

Hotel. W małym pokoiku na 5 piętrze tłum ludzi nie może się pomieścić. Łóżko, kilka krzeseł — wszystko zajęte. Siedzi się na podłodze lub stoi wokół stolika, gdzie zmasowane są butelki wina i trochę kanapek. „J” wyprawia pożegnalne przyjęcie. Za kilka dni wraca do Polski.

Nowina wywołała początkowo kolosalne zdziwienie, potem niektórzy zaczęli patrzyć na „J” ze współczuciem. Wraca. To znaczy, że odchodzi, przycu kolegów i znajomych. „J” sam ma jakby wyrzuty sumienia.

„Wiecie, rodzina, ojciec już stary, no rozumiecie...”

Próbowano odradzać, kiwając jednak z wyrozumieniem głowami, potem przestano się interesować. No cóż jedzie, jego sprawa. Ale stosunek do „J” się zmienił. Zrozumiałe: „J” się wyłącza, wychodzi z życia, tutejsze problemy przestają być jego problemami, zrywa się wspólnota. „J” jest już trochę jak dawny kolega ze szkoły: bliski, ale na zasadzie wspomnienia. On już nie „jest”, on „był”.

W czasie przyjęcia nie rozmawia się o powrocie „J” — tematy są aktualne, tutejsze — paryskie. Praca, samochód, rozrywki, no i trochę plotek. Życie biegnie swoim trybem.

„J” nie jest emigrantem. Posiada polski paszport jak i reszta

osób zaproszonych na pożegnalne spotkanie. Przyjechał do Francji z wizą turystyczną ważną na trzy miesiące, znalazł pracę, nauczył się francuskiego i od dwóch lat siedzi w Paryżu. Teraz wraca najnormalniej w świecie. Więc o co chodzi, po co te historie, zażenowanie „J”, krytyka znajomych. Czym to w końcu wytłumaczyć?



Oficjalne francuskie statystyki podają, że w samym okręgu paryskim pracuje ponad 1000 inżynierów i techników, którzy są obywatelami polskimi. Nie wlicza się w to przeróżnego typu humanistów, którzy ze względów oczywistych są o wiele trudniejsi do umiejscowienia i sklasyfikowania.

Pierwsi Polacy zaczęli przyjeżdżać w wyniku popaździernikowej liberalizacji paszportowej i od tej pory liczba ich wolno lecz stale się zwiększa. Ci, którzy są już bardziej osiedli, zapraszają kolegów lub uzyskują dla nich zaproszenia od znajomych Francuzów, i tak w kółko. Jeden ze znajomych, od czasu swego przyjazdu, to znaczy od 5 lat, ściągnął w ten sposób około 20 osób, z których 15 jest ciągle w Paryżu. Oczywiście zaprasza się osoby które potem nie zrobią kłopotu protektorom, które będą mogły jakoś się same utrzymać. „Daj sobie radę, bo inaczej zginięsz” — oto dewiza jaka panuje w polskim środowisku.

Powoli stworzyła się pewna społeczność, zbudowana z ogromnej ilości małych grup, których korzenie można znaleźć jeszcze w Polsce. Grupy te są kolosalnie zróżnicowane. Jak w „prawdziwym” społeczeństwie tworzą się od razu przeróżne hierarchie społeczne. Praca, a właściwie zajmowane stanowisko, stanowi pierwsze bardzo ważne kryterium podziału. Bo czy można porównywać zarabiającego stosunkowo dobrze inżyniera — właśnie, ci z wykształceniem technicznym stanowią pewnego rodzaju elitę — z młodym człowiekiem malującym pokoje, czy zmywającym garnki? Kreślarkę z dziewczęciem *au pair*?

Pewna pozycja finansowa otwiera zupełnie inne możliwości — week-ends, a więc przyjemność podróży własnym samochodem; pewna swoboda kulturalna — można pójść do teatru, kina czy dobrej restauracji. Ma się po prostu inny styl życia. Otwiera się świat wymarzony w dalekich: Warszawie czy Krakowie.

Inne kryterium podziału to mieszkanie. Ci, którzy są już dłużej, są bardziej zasymilowani — „ustawieni”, jak to się fachowo nazywa — rzucają tanie hoteliki i wynajmują, a nawet kupują własne studia czy mieszkania. Stabilizacja mieszkaniowa pociąga za sobą modyfikację trybu życia — zjawiają się aparaty telewizyjne, lodówki — przedmioty, które służą wygodzie życia, ale zarazem przyciągają do miejsca zamieszkania. Rzadziej się chodzi do restauracji — zaczyna się zapraszać znajomych. A jak znajomych, to z reguły ludzi żyjących na tym samym poziomie. No bo to i rozmowy łatwiejsze i tematy wspólne.

Zdumiewające jest, że można wręcz wyczuć, tak silne w kręgach zachodniej klasy średniej, poczucie potrzeby *keeping up with Joneses*. Na przykład jeden z moich znajomych kupił samochód nie umiejąc nawet prowadzić. Przez parę miesięcy prosił różnych znajomych, aby pomogli mu go przestawiać co parę godzin, gdyż mieszkał w strefie ograniczonego parkowania. Na zadane mu pytanie, po co kupował wóz jeśli go nie mógł używać odpowiedział z zupełnie serio miną: „jestem tu już 3 lata i pracując cały czas, powinienem mieć chociaż pewne minimum. Prawie wszyscy moi koledzy już mają samochody, więc ja też muszę go mieć”.

Następnych podstaw do stratyfikacji dostarcza stopień asymilacji z Francuzami, czy to poprzez zaawansowanie językowe, czy też, co jest jeszcze ważniejsze, przez integrację społeczną. Ci, którzy mają stosunki towarzyskie z Francuzami stanowią dość nieliczną, ale cieszącą się nimbem wyższości grupę.

Taka hierarchizacja nie może prowadzić do wykształcenia się pewnej społeczności narodowej. Tak więc wszelkie próby, już niejednokrotnie podejmowane, przez tworzenie klubów czy innych miejsc spotkań dla młodych Polaków, aby ich jakoś połączyć, choćby w celu samopomocy, kończyły się fiaskiem.

Ważnym elementem dezintegrującym grupę narodową jest również wnikanie w życie codzienne społeczeństwa francuskiego. Nawet nie obcując z Francuzami poza miejscem pracy, zaczyna się przyswajając automatycznie pewne właściwości francuskie, powodowane choćby poprzez fakt mieszkania w tym kraju. Ta asymilacja zaś znajduje swoje przyczyny po pierwsze w fakcie administracyjnej łatwości przedłużenia sobie pobytu, po drugie w wyniesionej jeszcze z Polski znajomości i bliskości z kulturą francuską.

Francja cierpi wciąż na niedostatek ludności. Rząd ułatwia więc uzyskanie pracy nowoprzybyłym cudzoziemcom oraz stwarza możliwości dłuższego tu pozostawania. Raz uzyskana *carte de travail* może być potem przedłużana i to niezależnie od ważności dokumentów narodowych. Oczywiście niektóre stanowiska czy zawody są zarezerwowane dla obywateli francuskich, lub osób posiadających wykształcenie tutejsze. Jest to istotne szczególnie dla prawników czy lekarzy oraz pracowników naukowych, którzy nie mogą wykładać na wyższych uczelniach bez odpowiedniego tytułu uzyskanego na uniwersytecie francuskim. Generalnie jednak rzecz biorąc, jest we Francji z pracą o wiele łatwiej niż, dajmy na to, w Anglii czy we Włoszech.

Kultura francuska miała zaś zawsze kolosalny wpływ na kulturę polską. Przecież właśnie we Francji mieszkali i tworzyli Słowacki, Mickiewicz, Norwid, tu komponował Chopin; jakże silnie była Francja w okresie ostatnich dwustu lat związana z Polską. Czyż nie uczyliśmy się wszyscy w szkole, że najwspanialszym strategiem był Napoleon? Zawsze jeździło się do Paryża, jak do Mekki naszej cywilizacji. Toteż Polacy przyjeżdżający tutaj czują się o wiele bardziej „u siebie” niż w jakimkolwiek innym kraju

Europy. A jak się już raz jest w tej paryskiej Mekce, to chłonie się jej wpływ, nawet zupełnie nieświadomie, i nie chce się jej porzucić.

Jednak obraz Francji wywieziony z Polski, to jedna rzecz, natomiast rzeczywistość paryska to druga. Ta zaś druga strona przedstawia cechy nie zawsze zauważalne od razu i często negatywne.

Otóż młodzi Polacy przyjeżdżający do Paryża i stopniowo tu się osiedlający, to prawie wyłącznie kwiat polskiej inteligencji — z wyższym wykształceniem, niejednokrotnie o wiele lepszym niż ich francuskich kolegów w tej samej dziedzinie. Wychowani w atmosferze przynależności do wyższej klasy społecznej w Polsce nagle znajdują się w środowisku francuskiej niższej klasy średniej. Czując się w Polsce predestynowanymi do zajmowania kierowniczych stanowisk, tutaj mogą osiągnąć tylko poślednie wykonawstwo, będąc niejednokrotnie pod komendą ludzi o wiele mniej teoretycznie wykształconych i oczywiście społecznie we Francji dość nisko stojących. To środowisko francuskie wywiera kolosalny wpływ na Polaków. Po pewnym, nawet krótkim okresie pobytu, można zaobserwować zjawisko fantastycznie szybkiej deklasacji — przeważnie zupełnie nieświadomej. Przez fakt braku dostatecznej znajomości języka, przez ciągłe uczucie tymczasowości pobytu — nawet gdy ta tymczasowość faktycznie nie istnieje, jedynie posiadanie obcego paszportu stawia jego właściciela w sytuacji przejściowej i czasowo niepewnej — przez obracanie się w środowisku półinteligentkim, ci młodzi polscy inteligenci zjeżdżają społecznie na łeb na szyję. Jakże często jeśli czyta się jakąś gazetę, to tylko „France-Soir”, jeśli czasopismo, to „Ici-Paris” czy „Jour de France”, jeśli się idzie do kina, to na masowe chały; teatr: prawie w ogóle nie; książki: to prawie wyłącznie kryminały. Przysłuchując się rozmowom można się często nie tylko zanudzić, ale nawet przerazić: samochody, weekendy i plotki — oto świat niejednego wchłaniającego kulturę francuską polskiego inteligenta.

Ten proces deklasacji jest oczywiście rozłożony w czasie; w pierwszej fazie krytykuje się Francuzów, generalnie porównując ich z własnym środowiskiem w Polsce. Nie zauważa się nawet różnicy środowisk. Ot po prostu Polka pracująca dajmy na to w *self-servis*'ie wyrabia sobie opinię o społeczeństwie francuskim na podstawie własnych koleżanek z pracy, czy też stosunku klientów do kelnerek.

Po pewnym czasie wszystko staje się coraz bardziej normalne. Ważny jest przede wszystkim zarobek — wyniesiony z Polski głód podróży, modnych ubrań czy samochodów musi być zaspokojony. No, a potem czas, czas robi swoje.

Szybko zmienia się światopogląd. Może największe wrażenie robi przemiana stosunku do pracy. W Polsce żyje się dzięki kombinacjom — nikt z pracy nie wyżyje, trzeba robić „fuchy”, trzeba być obrotnym; tu kombinacje nie istnieją, trzeba pracować. Czasami ta przemiana kryterium powodzenia jest wręcz

zaskakująca. Pewnego dnia jedna z byłych przedstawicielki polskiej złotej młodzieży, skarżyła mi się długo, że patron nie pozwala jej pracować ponad godzinami pracy. Tak byłem zaskoczony jej wynurzeniami, że zacząłem się pytać różnych moich znajomych, co o tym myślą. Okazało się, że prawie wszyscy biją się prawie o jakieś godziny nadliczbowe, o jakieś ekstra obowiązków. Jeden z widocznym zadowoleniem opowiedział mi, że ostatnio pracował przez dwa tygodnie po 11 godzin dziennie. Jakże daleko jesteśmy od maksyminy „czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy”.



Będąc we Francji, ci młodzi Polacy muszą się siłą rzeczy spotykać z emigracją. Stosunek do emigracji jest oczywiście różny, biorąc pod uwagę różnorodność grup emigracyjnych. Jeśli chodzi o emigrację zarobkową z północy Francji, to tutaj sąd jest właściwie prosty: obojętność, „Tamci” przyjechali na *saxy* (sic!), a w ogóle, przecież nic nie reprezentują.

Emigracja polityczna — tu jest już wiele niuansów, choć na ogół stosunek może być określony jako negatywny. Prawdopodobnie dużą rolę odgrywa tu prowadzona stale w Polsce propaganda wysmiewania emigracji, no i brak informacji i co za tym idzie zainteresowania. Nie bez wagi jest też pozycja francuska. Jeśli można we Francji w ogóle przebywać, no to lepiej już być obywatelem innego kraju — ideologia komunistyczna nie odgrywa tu żadnej roli, jest ważna przynależność narodowa — niż bezpaństwowcem, uciekinierem. Dodajmy do tego, że każdy nieomal Francuz uważa się za człowieka „lewicy”; poproszenie o azyl w wyobrażeniu większości spycha automatycznie na prawo, a więc jest jakieś nie francuskie, nie po linii, no po prostu nie wypada.

Poza tym emigracja, jako całość zorganizowana politycznie, tworzy pewną grupę społeczną, inną, nie swoją. Ta przynależność grupowa jest tym bardziej charakterystyczna, że na przykład członkowie „środowiska paszportowego”, swoi, którzy z takich czy innych powodów byli zmuszeni wybrać wolność, są wciąż akceptowani i nie podważa się ich decyzji politycznej. Oni sami zresztą wciąż trzymają się swoich, mając niejednokrotnie krytyczny stosunek do organów oficjalnej emigracji politycznej. Bariera wydaje się bardziej związana ze strukturą społeczną niż z nastawieniem politycznym.

Obserwując tę młodzież polską można by sobie zadać pytanie: czy oni sami nie tworzą nowej fali emigracyjnej? czy aby nie są potencjalnymi emigrantami „z przyzwyczajenia”?

Czasami można otrzymać bardzo interesujące odpowiedzi na tak postawione pytanie. Na przykład: rozmawiając z pewnym Polakiem, na pytanie gdzie by chciał naprawdę zamieszkać na stałe, odpowiedział mi po chwili namysłu: „Wiesz, Grenoble albo Côte d'Azur”. Młody człowiek, który jest od 7 lat we Francji po-

siada polski paszport i uważa się za obywatela polskiego całą gębą. Inny nie wyobraża sobie nawet wyjazdu z Paryża. — „Jak można wyjechać z najpiękniejszego miasta na świecie i to w dodatku miasta gdzie się najlepiej czuje”. Żona innego z moich znajomych zagroziła mężowi rozwodem jeśli by chciał zrealizować swoje zamiary powrotu do kraju. Inni wolą nie mówić na ten temat, lub mgliście zapewniają rozmówców, a może i siebie samych, o przyszłym powrocie. Znam dziewczynę, która od 3 lat wyjeżdża do Polski za 2-3 miesiące. Na pytanie jak można sobie tak godzić polskie obywatelstwo i stały pobyt zagranicą otrzymałem odpowiedź: „A Amerykanie którzy są w Paryżu, to co?, są przecież tacy co tu mieszkają dziesiątki lat”. Hm, polscy Amerykanie...

A co na to władze ludowe? Otóż w tym wypadku PRL wykazuje zaskakujący realizm. Istnieje mianowicie specjalny paszport — jedyny chyba w swoim rodzaju na świecie — tak zwany paszport konsularny. Dla Polaków stale mieszkających zagranicą. Takich obywateli traktuje się jako expatriantów i każe się im prosić o wizę w razie chęci przyjazdu do Polski (sic!). Odmowa wizy jest oczywiście zawsze możliwa, wtedy powstaje sytuacja paradoksalna: posiadacz polskiego paszportu jest skazany na banicję przez własny rząd, jest niepożądany i nie może wjechać do własnego kraju.

Paszport konsularny jest marzeniem wszystkich, pozwala bowiem wyjechać na wakacje do Polski, mieszkając i pracując stale na Zachodzie. Znam młodą parę, która od kilku lat zbiera pieniądze na kupno willi w Polsce. Aby tam mieszkać? Ach nie, to przyszły *maison de campagne*. Już wakacje w Polsce to nie-słychana frajda. „Jesteś jak zachodni turysta, wszyscy skaczą koło człowieka. Można się w końcu czuć milionerem i to we własnym kraju”.

Zachodni turysta to dobre określenie. Władze konsularne biorą je też dosłownie i żądają od Polaków-turystów specjalnych opłat hotelowych, choć wszystkim wiadomo, że petenci mają domy rodzinne w tejże Polsce, do której jadą na wakacje.

Wakacyjne wyjazdy do Polski nie mogą być jednak traktowane jako stała więź z krajem. Tam się jedzie na wakacje — prawdziwe życie jest jednak tutaj, we Francji. Tamto to są kontakty, miłe ale sporadyczne. Takie jak na przykład obchód Millennium w Notre-Dame, gdzie można było zauważyć dużą grupę młodych Polaków. Lecz czy to dowodziło zaangażowania religijnego? a może postawy prokościelnej? Chyba nie.

Konflikt Państwo-Kościół jest odbierany bardzo różnie. Są bezpardonowi zwolennicy kardynała Wyszyńskiego albo Gomułki, ale ci są na ogół bardzo nieliczni. Fakt życia we Francji i czerpania wiadomości o Polsce ze źródeł francuskich powoduje pewnego typu interpretację. Z jednej strony chciałoby się, aby problem został rozwiązany na sposób francuski, to znaczy: separacja Kościoła od Państwa, konkordat, no i co najważniejsze: stosunki normalne i pokojowe. Z drugiej strony widoczny jest

pewien wstyd wywołany przez wystąpienia rządu. Francuzi, rozśmieszeni pogoniami milicji za samochodem wiozącym obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, szykanowaniem procesji czy też ograniczeniami wizowymi, robią sobie dowcipy na temat Polski. To boli, to żenuje, więc atakuje się Kościół, nawet za fakt wywoływania możliwości zawstydzienia. Często miałem wrażenie, że to nie sytuacja w Polsce jest ważna, ale właśnie miejscowe uczucia, uczucia ludzi narażonych na żarty Francuzów. Egoizm — na pewno, ale to właśnie jest realne tutaj.

Na ogół krytykuje się zarówno Wyszyńskiego jak i Gomułkę — oni bowiem personalizują cały konflikt. Co znowu jest charakterystyczne, że ta personalizacja i interpretacja całej sprawy idzie w ślad za prasą i opinią francuską.

W ogóle polityka jest słabą stroną tej grupy polskiej. Oczywiście wszyscy krytykują rząd i ustrój, to normalne. Komunizm jednak nikomu nie wydaje się przeszkadzać. Raczej sytuacja ekonomiczna jest najbardziej wytykana. Komunizm jako taki schodzi na dalszy plan — bardziej się mówi o partii komunistycznej francuskiej, krytykując ją z pozycji człowieka, który wie, który już przeżył to, co im się wydaje, że chcą. Komunizm w Polsce — a to co innego. „Jestem przeciwny, ale nie otwarcie, bo to mogłoby mi zaszkodzić potem” — oto typowa odpowiedź. Potem? co to znaczy? To potem jest absolutnie niezdefiniowalne, ale istnieje. Jest.

Poza konfliktem Wyszyński-Gomułka, reszta polityki schodzi na bardzo odległy plan. Pewien młody człowiek, który jest w Paryżu od 5 lat, nie wiedział nawet kto to jest Moczar, ba nie miał pojęcia o konfliktach istniejących w łonie bloku komunistycznego. Skończył w Polsce wyższe studia!

Polityką lepiej się nie zajmować. Jeśli coś z tego wyniknie, to tylko coś złego — oto filozofia życia. To co się dzieje we Francji, jest już bardziej dyskutowane, chociaż również nie przekracza poziomu bardzo przeciętnego Francuza. Jak mi wytłumaczył pewien inżynier: „To co ONI we Francji robią dotyczy MNIE bezpośrednio. Wiesz: podatki, szosy i td. Natomiast reszta — wisi mi”. Tak więc stara filozofia miwisizmu znajduje także i tutaj swoje zastosowanie.

Ten brak zainteresowania sprawami politycznymi nie przesądza jednak w pewnych wypadkach utraty tradycyjnego, polskiego patriotyzmu. Ojczyznę stale pozostaje Polska, choć staje się ona trochę bardziej mityczna. Och, cóż to szkodzi! Czasami przypomina mi to zdanie przypisane przez Curzio Malaparte, Henrykowi Dąbrowskiemu w książce „Technique du coup d'état”: *Je suis toujours disposé à mourir pour mon pays, mais pas à y vivre*. Znam ludzi, którzy z rozczuleniem śpiewają stare piosenki wojskowe i partyzanckie, którzy potrafią godzinami wspominać polskie przewagi, którzy gotowi by byli wszystko dla Polski zrobić, ale którzy na wzmiankę o powrocie dostają wręcz zimnego dreszczu. Na uwagę, że należałoby może coś w Polsce zrobić na lepsze, że należałoby powiedzieć swoje zdanie, potraktowano mnie

jak wariata: „źle mi tu? Mam paszport, *carte de séjour*, spokój i jest mi dobrze” — taką usłyszałem odpowiedź.

Wydaje się że taka jest opinia całej tej społeczności. Czasami wypowiedziana, czasami odczuwana tylko, czasami nieświadoma, ale silna, ach jakże silna!

Kończąc te moje obserwacje chciałbym, aby były one podstawą do dyskusji. Artykuł mój — oparty na osobistych refleksjach jest bowiem bardziej szkicem dyskusyjnym, niż dokładnym przedstawieniem problemu, którego ścisłe omówienie wydaje się zresztą w tej chwili chyba niemożliwe.

J. B. de WEYDENTHAL

BIBLIOTEKA "KULTURY"

SERIA "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT DZIESIĄTY

(Wrzesień 1966)

zawiera m.in. prace:

Wacława LEDNICKIEGO: *Rosyjsko-Polska Entente Cordiale 1903-1905.*

Wacława JĘDRZEJEWICZA: *Wojna przewencyjna z Niemcami.*

Edwarda PUACZA: *Powstanie Warszawskie w Protokółach PKWN. oraz działy: RECENZJI I POLEMIK.*

Str. 240

Cena 15 F (22/-; dol. 3.00)

PRENUMERATORÓW „ZESZYTÓW” PROSIMY O ODNAWIANIE ABONAMENTU NA ROK 1967 RAZEM Z ODNAWIANIEM ABONAMENTU „KULTURY”.

Najnowsza historia Polski

Wojna i pokój (III)

Post scriptum do rozdziału poprzedniego

Tak więc traktowana była Polska przez Lenina, Trockiego i Stalina jako ziemia niczyja, szlak tranzytowy, przez który nieśmiała armia czerwona na zachód „rewolucję z zewnątrz” — pomijając zgoła wolę ludności.

W artykule poprzednim powołałem się na wyraz tej woli dany przez ludzi i warstwy społeczne, od krańca do krańca, z Polską Partią Socjalistyczną włącznie; ale wbrew mej metodzie zaniedbałem oświetlić ten obraz z punktu widzenia Moskwy. W jej oczach wszystko to nie było ważne. Uchwalono tam przecie, że tylko partie komunistyczne są uprawnione do wyrażania woli ludu.

Istniała ta partia w Polsce — chuderlawo wprawdzie — i miała swe naczelne przedstawicielstwo uznane przez Moskwę. Znani mi byli ci ludzie; wiedziałem gdzie są i co robią. Niektórzy aż do końca wojny przebywali w kraju, oczekując na „wyzwolenie” przez Tuchaczewskiego, kilku innych ciągnęło w ślad za jego armiami. Wszyscy najwybitniejsi z nich zginęli. Ale nie z rąk „okrutnej polskiej defensywy”. Z tych wyszli zdrowo i cało. Nie doczekawszy się pana Stalinowej wolności w Warszawie, poszukali jej w Moskwie, gdzie znaleźli się pod koniec wojny lub po zawarciu pokoju. Oto lista tych, których osobiście znałem: M. Horwitz-Wałęcki, M. Koszutska-Kostrzewa, A. Warski-Warszawski, J. Ryng-Heryng, J. Leński-Leszczyński, J. Unslicht-Jurowski. Znaleźć można w „Małej Encyklopedii Powszechnej” (Państw. Wyd. Nauk., Warszawa, 1959) ich życiorysy z podaniem dawnych zasług rewolucyjnych, czołowych stanowisk w Pol. Partii Kom. od 1918 r. — i ilość lat więzienia w Sowieckiej Rosji. Zaś zdanie końcowe we wszystkich wypadkach brzmi jednakowo; przepisu-

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

ję je dosłownie: „Skazany na podstawie fałszywego oskarżenia, pośmiertnie zrehabilitowany”.

Czyż to nie warte zastanowienia? Jeśli władca Moskwy, uznanych przez się za *jedynie uprawnionych przedstawicieli woli ludu polskiego*, „wyzwolił” w ten sposób — czy nie jest to dostateczny dowód, że nic go ta wola nigdy nie obchodziła? *Quod erat demonstrandum*.

Trzy fronty

Pierwszym i głównym był front wojenny, gdzie czekała Polskę nieunikniona rozprawa zbrojna. Drugim — dyplomatyczna obrona naszych postulatów i praw w Wersalu i stolicach zachodnich. Trzecim — niestety — była ostra rozterka wewnętrzna, zagrażająca osłabieniem naszych sił na obu poprzednich.

Trzeba znać konstrukcję najwyższych władz państwowych, uchwaloną przez sejm ustawodawczy 22 lutego 1919 r., aby rozumnie ocenić zarówno zakres odpowiedzialności, jak i możliwości działania tych władz.

Wiedzą to historycy, ale nie wszyscy publicyści i literaci zdają się wiedzieć — więc cytuję tzw. „Małą Konstytucję”:

„Władzą suwerenną i ustawodawczą w państwie polskim jest sejm ustawodawczy, ustawy ogłasza marszałek sejmu z kontrasygnaturą prezydenta ministrów i odnośnego ministra fachowego. Naczelnik Państwa jest przedstawicielem państwa i *najwyższym wykonawcą uchwał sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych*. Naczelnik Państwa powołuje rząd w pełnym składzie *na podstawie porozumienia z sejmem*. Naczelnik Państwa oraz rząd są odpowiedzialni przed sejmem za sprawowanie swego urzędu. Akty państwowe Naczelnika Państwa wymagają podpisu odnośnego ministra”.

Te 5 zdań, nasuwających odmienne możliwości interpretacyjne, co też następowało, miało wystarczyć państwu, toczącemu wojnę na kilku frontach już w chwili kiedy je uchwalano.

Piłsudski, który w obu powierzonych mu funkcjach był tylko „najwyższym wykonawcą uchwał sejmu” suwerennego, mógł być jako Naczelnik Państwa ograniczyć się tylko do reprezentacji, pozostawiając sprawy polityki wewnętrznej i dyplomacji rządowi, nie przed nim lecz przed sejmem odpowiedzialnemu od chwili gdy został mianowany. Czy mógł jednak jako Naczelnny Wódz pozostać tylko wykonawcą postanowień, wynikłych z rozgrywek między rządem a sejmem w sprawach prowadzenia wojny?

Chodziło przecie nie tylko o decyzje operacyjne na polu walki; ząbebiały się one ciągle o „front drugi”, na Zachodzie, skąd potrzebowaliśmy niezbędnie pomocy w zaopatrzeniu w sprzęt wojskowy; tam też zapaść miały decyzje o granicach Rzeczypospolitej, dostatecznie rozległych dla przyszłego bezpieczeństwa; zahaczało to z kolei o podstawowe wytyczne naszej polityki państwowej.

Rzecz prosta, to wszystko uzgadniać musiał Naczelnny Wódz z

rządem: czynił tak z reguły i pomyślnie; ale doprowadziło to wkrótce — choć raczej niespodziewanie — do walk na froncie wewnętrznym, między nim oraz rządem z jednej strony, a sejmem z drugiej.

To prawda że Naczelnny Wódz działał z pełną inicjatywą, że wywierał skuteczny wpływ i otrzymywał poparcie dla swych zamierzeń ze strony kolejnych rządów, a w razie oporów w sejmie — były one przezwytyczane. Osiągał to jednak nie przez swój status prawno-konstytucyjny, lecz przez argumentację o nieodpartej sile przekonywującej. Jednym słowem — dzięki swej potężnej indywidualności. Rozciągał się jego wpływ, jak wkrótce zobaczymy, również na dyplomację, gdyż przedstawiciele państw obcych, a także szefowie misji specjalnych, zorientowali się bez trudu w kluczowej wadze jego postaci, tym bardziej że aż do końca obrad Kongresu Wersalskiego i później Rady Najwyższej — premier, czy minister spraw zagranicznych przebywać musiał w Wersalu lub Paryżu. Niewielkiej jednak trzeba wyobraźni aby rozumieć jak wiele wymagało to wysiłku, pracy myślowej i po prostu — czasu.

Front drugi, a polityka federacyjna

Gdy w kwietniu 1919 r., Piłsudski uznał za konieczne odrzucenie frontu bolszewickiego znad Bugu na bezpieczniejszą odległość od Warszawy i linii Wisły — ku czemu operacją kluczową był głęboki wypad na Wilno — w jego zamiary wtajemniczony był szef rządu Paderewski, jeszcze przed wyjazdem do Wersalu, gdzie jego obecność była niezbędna. Uzgodniono też było między nimi związanie tej operacji z deklaracją polityki federacyjnej. Jeśli Paderewski miał co do wyprawy wileńskiej wątpliwości, to tylko w obawie czy nie jest zbyt ryzykowna i czy się uda. Po pomyślnym jej zakończeniu, odezwę Naczelnego Wodza „do mieszkańców b. W. Księstwa Litewskiego” przyjął Paderewski entuzjastycznie i skonstratował nadzwyczaj przychylną reakcję ze strony Wilsona, a nawet wpływowych osobistości angielskich w Wersalu. Oto najważniejsze wyjątki z jej treści:

„Wojsko polskie, które ze sobą przyprowadziłem dla wyrzucenia panowania gwałtu i przemocy, dla zniesienia rządów krajem wbrew woli ludności — wojsko to niesie wam wszystkim wolność i swobodę. *Chcę dać wam możność rozwiązania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych tak, jak sami sobie życzyć tego będziecie, bez jakiegokolwiek gwałtu lub nacisku ze strony Polski*. Dlatego, pomimo że na waszej ziemi grzmiały jeszcze działa i krew się leje — nie wprowadzam zarządu wojskowego, lecz cywilny, do którego powoływać będę ludzi miejscowych, synów tej ziemi”.

Określając w zakończeniu odezwy zadania zarządu cywilnego — zapowiada Naczelnny Wódz „ułatwienie ludności wypowiedzenia się co do losu i potrzeb *przez swobodnie wybranych przedstawicieli*” (na podstawie tajnego, powszechnego, bezpośredniego, bez

różnicy płci głosowania). Do obowiązków zarządu cywilnego zaliczał Naczelnny Wódz: zapewnienie ładu i spokoju, otoczenie opieką wszystkich bez różnicy wyznania lub narodowości.

Zapowiedzi odezwy wileńskiej Piłsudskiego, tak uderzającą odbiegały od praktyki sowieckiej sprzed kilku miesięcy, kiedy czterwona armia, posuwając się na zachód w ślad za Niemcami, narzucała wszędzie ustrój komunistyczny podległy Moskwie — że musiało to porównanie przemówić za Polską w Wersalu. Gdyby nie to, że nadeszła ta wiadomość niemal jednocześnie z wieścią o tak głębokim posunięciu się wojsk naszych poza „ściśle etnograficzne granice Polski”, spowodowałoby ono nie tylko groźne protesty, ale nawet sankcje karne ze strony Rady Najwyższej mocarstw zachodnich. Nic też dziwnego, że Paderewski zadeklarował natychmiast pełną swoją i rządu solidarność z Naczelnym Wodzem.

Wydawało się jasne, że zasada federacji była jedynie przekonywującą formą odparcia gwałtownie wysuwanych przeciwko nam oskarżeń o imperializm i do uzyskania zgody, choćby warunkowej, mocarstw zachodnich na obejmowanie przez nas terytoriów kresowych Rzeczpospolitej.

Zadziwiające więc było, że R. Dmowski, mimo swej tezy, że Polska etnograficzna ostać by się nie mogła jako państwo małe, okrojone do granicy na Bugu i Sanie — jak nas uporczywie w Wersalu okroić chciano — nie widział że Piłsudski i Paderewski wybrali jedyną drogę, która mogła jego własne tezy zrealizować w warunkach XX wieku i w dominujących nastrojach Wersalu, Paryża, Londynu i Waszyngtonu.

Nie trafiała bowiem do przekonania opinii publicznej Zachodu motywacja postulatów polskich, którą poprzednio wysuwał Dmowski; była to motywacja inkorporacyjna, nie biorąca pod uwagę woli ludności na obszarach między Bałtykiem a Morzem Czarnym.

Tymczasem wbrew Paderewskiemu, zaangażowanemu już otwarcie w program federacyjny, Dmowski wydał instrukcję do Warszawy, aby podlegające jego wpływom kluby parlamentarne wystąpiły przeciw odezwie Piłsudskiego i uchwałyły inkorporację ziem b. W. Księstwa Litewskiego do Państwa Polskiego. Instrukcji tej posłuchano. Już w tydzień po odezwie Naczelnego Wodza — powziął Sejm większością uchwałę sprzeczną z odezwą. Oczywiście, wszystkie rządy zachodnie znały suwerenne uprawnienia Sejmu, wiedziały, że mocen on jest przekreślić krok Naczelnego Wodza i rządu. Natychmiast też Wilson dał wyraz swemu rozczarowaniu i zawodowi w rozmowie z Paderewskim. Ten ostatni uznał sytuację za groźną i powrócił niezwłocznie do Warszawy. Zastał tu stan rzeczy posunięty jeszcze dalej; ta sama większość sejmowa powzięła wręcz absurdalny już zamiar wyrażenia wotum nieufności rządowi „odpowiedzialnemu za odezwę Naczelnego Wodza”, z wyłączeniem tylko osoby Paderewskiego. Ten absurd, niemożliwy dlań do przyjęcia, Paderewski zdołał odparować; potrzebował jeszcze dalszych kilkunastu dni czasu aby uchwałę sej-

nową z dnia 28 kwietnia skierować z powrotem na obrady komisyjne, uzyskać tam uchwałę potwierdzającą zasadnicze wytyczne deklaracji Piłsudskiego, po czym, poparwszy na plenarnym posiedzeniu Sejmu świetnym przemówieniem wnioski komisji spraw zagranicznych, otrzymał aprobatę dla polityki Naczelnego Wodza i rządu.

Paderewski miał obfity arsenał argumentów, aby przekonać przywódców prawicowych klubów Sejmu o katastrofalnych skutkach ich uchwały kwietniowej. Wiedzieli też oni dobrze, że Paderewski ma zarówno w Wersalu, jak w otoczeniu prez. Wilsona stosunki bliższe i lepsze niż Dmowski: gdy więc osobiste perswazyje poskutkowały, Paderewski zapewnił sobie wnioski komisji spraw zagranicznych zredagowane tak, aby ponad wszelką wątpliwość podtrzymały wileńską odezwę Piłsudskiego. Mając to za pewnienie, w przemówieniu na plenum sejmowym mówił już do świata zewnętrznego:

„Zarzut imperializmu podniesiony został przeciw nam od dawna i właśnie przez te trzy imperializmy, które nas zgubiły, łupiły i poćwiartowały. Dziś ten zarzut podnoszą właściwie tylko ci, którzy po polską ziemię najskwapliwiej wyciągają swe chciwe ręce... Nadeszła chwila aby oto w tej izbie rozległ się głos wielki i potężny, głos polskiego ludu, zadając kłam stanowczy tym wszystkim kłamstwom zagranicznym”.

Sejm posłuchał jego apelu. Wnioski komisji spraw zagranicznych zostały uchwalone 23 maja 1919 r. Oto podstawowe z nich wyjątki:

„Sejm uznaje zasadę samostanowienia o sobie narodów b. W. Księstwa Litewskiego, wypowiedzianą w odezwie Naczelnego Wodza z 22 kwietnia”. Stwierdzały dalej dążenie Polski „do umożliwienia narodom tych ziem wypowiedzenia się co do losów swych własnych i stosunku swego do państwa polskiego”; dalej że wyraz prawno-państwowy tej łączności odpowiadać ma prawu każdego narodu decydowania o swoim losie; że Rzplita „nie zmierza do włączenia w skład państwa polskiego tych ziem na mocy jednostronnej uchwały ciała ustawodawczego Polski”.

Co do sprawy ukraińskiej, Sejm „nie mając zamiaru sprzeciwić się dążeniu Ukraińców do stworzenia własnej państwowości na terytorium państwa rosyjskiego” daje wyraz przekonaniu, że Małopolska Wschodnia „musi należeć do państwa polskiego” z tym „że ludności ruskiej w granicach Rzplitej będą dane takie same prawa, jakie dane będą ludności polskiej na Ukrainie”.

Osiągnął więc rząd Paderewskiego i Naczelnik Państwa zwycięstwo, które pozwoliło Paderewskiemu wrócić do Wersalu z odzyskanym w pełni autorytetem. Co więcej — dało to podstawę naszym przyjaciółom na Zachodzie do występowania w prasie i parlamentach w obronie Polski przed zarzutami imperializmu. Następnie Piłsudski stwierdzał, że dopiero od tego czasu zaczęła się możliwość jakichkolwiek rozmów z przedstawicielami państw sprzymierzonych na temat polskiej polityki wschodniej. Od tej też chwili — ponad wszelką wątpliwość — zainicjowana przez

Piłsudskiego polityka była już *wykonaniem uchwał Sejmu*, zgodnie z postanowieniem „Małej Konstytucji”.

Aż do końca wojny, zarówno w debatach Izby Gmin, jak i w prasie angielskiej, ci którzy odpierali ataki na Polskę, powoływali się na Piłsudskiego i Paderewskiego oraz na fakt *zatwierdzenia ich polityki przez Sejm dn. 23-ego maja*. Tak było w czasie „ofensywy pokojowej” i późniejszej wyprawy kijowskiej. Od końca maja zelżało trzymanie nas za poły na wschód od Bugu i w Galicji Wschodniej. Jeszcze w kwietniu zabraniano nam używać tam armii Hallera; wkrótce potem musieliśmy przerwać z tego powodu naszą ofensywę wobec sprzeciwu Rady Najwyższej mocarstw sprzymierzonych i groźby wstrzymania wszelkiej pomocy. Ale już w czerwcu pozwolono nam tę operację skończyć, oraz wprowadzić polską administrację cywilną w całej Galicji Wschodniej; wszystko to było wprowadzone pod znakiem tymczasowości i z warunkiem późniejszego plebiscytu — jednak umożliwiało taktykę faktów dokonanych, utrwalonych przez pełne zwycięstwo w 1920 r.

Tak więc program federacyjny — niezależnie od swego maksymalnego zasięgu — przynosił korzyść zarówno na wschodzie dla wojny, jak i na zachodzie dla dyplomacji.

Mimo to na froncie trzecim, wewnętrznym, opozycja przeciw niemu po przegraniu w najwyższej instancji — w Sejmie suwerennym — nie ustawała; podjęto walkę prasową, wiecową, plotkarską. Powróć do tego później, chronologicznie bowiem przyszło — i minęło — inne zagadnienie.

Sprawa Dienikina

W ciągu lata i wczesnej jesieni 1919 r. antybolszewickie formacje rosyjskie osiągnęły poważne sukcesy w walkach z armią czerwoną; szczególnie „siły zbrojne południa Rosji”, pod dowództwem gen. Dienikina. Dienikin miał przy sobie radę polityczną złożoną z przedstawicieli stronnictw od socjal-rewolucjonistów aż do reakcyjnych monarchistów; uznawał jednak zwierzchnictwo adm. Kołczaka, który proklamował się jak gdyby regentem imperium rosyjskiego i powołał „rząd tymczasowy”.

Wówczas to, będąc u szczytu powodzenia, w przededniu zajęcia Kijowa, gdy wojska jego parły głębokimi zagonami w kierunku Moskwy, aż do Orła, Woroneża i Kurska — zwrócił się Dienikin do Naczelnego Wodza wojsk polskich z propozycją poparcia jego działań.

Korzystał on z pełnego protektoratu politycznego W. Brytanii, jej pomocy finansowej i hojnego zaopatrzenia we wszelki sprzęt wojenny. W Taganrogu przebywały angielskie misje — wojskowa oraz polityczna — z Wysokim Komisarzem rządu brytyjskiego na czele.

W tym stanie rzeczy Naczelnny Wódz i rząd polski uznali za konieczne — wobec doniosłego znaczenia stanowiska Anglii we

wszystkich sprawach Polski dotyczących — nawiązać pertraktację z Dienikinem. Wysłane zostały do Taganrogu dwie misje: wojskowa z gen. Karnickim i mjr. sztabu gen. Przeździeckim oraz polityczna z min. J. Iwanowskim, członkiem rządu Paderewskiego z ramienia P.P.S. Tak różna obsada personalna była rozmyślna. Gen. Karnicki był człowiekiem o poglądach konserwatywnych, zawodowym oficerem b. armii carskiej. Niezależnie od tego, że zadaniem Iwanowskiego było zbadanie nastawienia politycznego białych Rosjan w Taganrogu, zaś Karnickiego rozeznanie tam sytuacji wojskowej — dawało to możliwość naświetlenia tamtejszej sytuacji z dwóch odmiennych punktów widzenia.

Nadesłane we wrześniu przez nich raporty były zgodne. Gen. Karnicki stwierdzał, że nie podobna oczekiwać od zaawansowanych na razie operacji armii białej trwałego sukcesu; że jej jednostki walczące, szczególnie piechota, mają marną wartość bojową, słabą dyscyplinę, niemiłosiernie plądrują zajęte przez się tereny ku rozgoryczeniu miejscowej ludności; że Dienikin nie rozporządza dostatecznymi rezerwami i dotychczasowe sukcesy zawdzięcza jedynie wydatnemu zaopatrzeniu w sprzęt wojenny przez Anglików. W jego dalszych relacjach oświetlenie stosunków w sztabie wojsk Dienikina było skrajnie pesymistyczne.

Jerzy Iwanowski, znający równie dobrze Rosję, podkreślał w swym sprawozdaniu stan krańcowego skłócenia w politycznej reprezentacji „białych” oraz bezwzględną przewagę elementu reakcyjnego, monarchicznego, dominację hasła restauracji Rosji „jedynoj i niedielimoj”; postulaty Polski wykraczające poza granice Bugu i Sanu uważano za „megalomanię” i „rabunek własności rosyjskiej”, zaś samą kwestię jej niepodległości niechętnie uznawano „w zasadzie”, z pozostawieniem decyzji przyszłej konstyтуancie rosyjskiej; miała to więc być decyzja jednostronna.

Te sprawozdania znajdowały całkowite potwierdzenie w raportach placówek P.O.W. na terenie zajęтым przez białych. Mówiły one, że gdziekolwiek przyszli na miejsce czerwonych biali, byli początkowo witani przychylnie choć z nieufnością ze strony chłopów, ale wkrótce potem, gdy przychodził terror i masowe represje, nieustępujące bolszewickiej czczewyczej, oraz bezwzględne rekwizycje — nastrój ludności zwracał się ostro przeciw nowemu porządkowi. Nie wróżyło to nic dobrego już w najbliższej przyszłości. Wkrótce też, wdawszy się w jednoczesną walkę nie tylko z armią czerwoną, lecz i z siłami niepodległościowymi ukraińskimi — miał Dienikin na całym niepodległościowym frontem walki z bolszewikami — zbrojne bunty ludności miejscowej, stwarzające stan zupełnej anarchii.

Jeśli chodzi o polityczną stronę sprawy — jasne było, że zwycięstwo Dienikina i Kołczaka przyniosłoby Polsce — nawet w razie uznania jej niepodległości — granice w których ostać by się nie mogła.

Nic dziwnego więc, że zagadnienie łączenia się z Dienikinem

nie wywołało sporu na froncie wewnętrznym. Nie tylko bowiem Piłsudski, Paderewski oraz jego następca Skulski, ale i Dmowski — po zakończeniu obrad wersalskich i znając nastawienie Rady Najwyższej mocarstw sprzymierzonych — wiedzieli dobrze, że w razie restauracji białej Rosji takie właśnie rozgraniczenie między Polską a Rosją znajdzie całkowite poparcie Zachodu.

Nie budził też żadnych wątpliwości czysto wojskowy aspekt sprawy. Naczelny Wódz znajdował zupełną jednogomyślność wśród swych bezpośrednich współpracowników w Ministerstwie spraw Wojskowych i w Sztabie Generalnym.

Za główne i najpilniejsze zadanie uważano przygotowanie się do nieuniknionej rozprawy na froncie wschodnim, do czego była niezbędna gruntowna reorganizacja armii. A nie było to łatwe i wymagało znacznego czasu. Trzeba mieć na uwadze że, w momencie omawianym, odradzająca się Rzplita liczyła sobie 10 miesięcy i tyleż jej siła zbrojna, rozwijająca się z poprzednich formacji ochotniczych, od 11 listopada 1918 r.; że przez pierwsze 8 miesięcy, do zakończenia walk w Małopolsce Wschodniej i podpisanie przez Niemcy Traktatu Wersalskiego, wojsko rosło w warunkach improwizacji — inaczej być nie mogło — i każdy ledwie sformowany batalion, bateria, czy szwadron był natychmiast porywany do boju. Od dwu miesięcy dopiero można było przeznaczyć więcej amunicji dla celów ćwiczebnych, gdyż przedtem ciągle jej brakło na frontach; powołane już setki tysięcy rekruta dalekie były jeszcze od gotowości bojowej. Wreszcie dotychczasowe walki toczono były na małym stosunkowo obszarze; trzeba było się przygotować do operacji na rozległym, tysiąc kilkaset kilometrów liczącym froncie. Zadanie to powierzone zostało gen. K. Sosnkowskiemu, ale nawet przy jego nadzwyczajnym talencie organizacyjnym i niebываłej wydajności pracy — wymagało szeregu miesięcy.

Wojna domowa w Rosji dawała ten czas niezbędny.



Jakiż był wówczas stosunek mocarstw zachodnich do tej sprawy? Gdy we wrześniu 1919 r. Paderewski wyjeżdżał do Paryża, pewne było, że propozycja Dienikina — która była znana rządowi angielskiemu — będzie przedmiotem rozmów bądź ze strony premiera brytyjskiego, bądź też stanie na porządku obrad Rady Najwyższej. Istotnie nastąpiło jedno i drugie.

Piłsudski porozumiał się z Paderewskim, jak stawiać sprawę. Dnia 14 września Paderewski został zaproszony na konferencję z Lloyd George'm i złożył mu oświadczenie ustalone poprzednio z Naczelnym Wodzem. Mianowicie, że Polska mogłaby podjąć w pełnej skali operacje przeciw Rosji Sowieckiej i wystawić w tym celu armię półmilionową *na wiosnę 1920 r., jeśli by mocarstwa sprzymierzone zechciały Polsce udzielić niezwłocznej pomocy w należytych uzbrojeniu i zaopatrzeniu takiej armii.* Lloyd George zainteresował się oświadczeniem Paderewskiego, zapytał

o kosztorys tej pomocy, który też został w globalnych cyfrach podany. Premier angielski uznał propozycje polskie za realne (*reasonable*) i nadające się do przedstawienia Radzie Najwyższej.

Paderewski tegoż dnia wieczorem nadał szyfrem sprawozdanie z tej rozmowy dla Naczelnego Wodza. Otrzymałszy je od wiceministra Spraw Zagr., W. Skrzyńskiego, i przeczytawszy uważnie, Piłsudski powiedział do obecnych przy tym Szefa Sztabu, gen. St. Hallera, I. Matuszewskiego i Wieniawy-Długoszowskiego: „Pan Ignacy — może dla skrótu telegraficznego — wymienia Moskwę jako bezpośredni cel naszej ewentualnej akcji. Zarówno pod względem strategicznym jak politycznym wyprawa na Moskwę byłaby nonsensem. Bolszewicy, wzorem mądrego Kutuzowa uchylą się w głąb, mogą nawet oddać Moskwę, szarpiąc potem moje linie komunikacyjne i nekając partyzantką. Zaś politycznie — cóż ja siedząc w Moskwie mogę zrobić? Moskale pozostaną Moskalami...”

„Ale — gdyby Paderewskiemu udało się wydobyć pełne uzbrojenie i zaopatrzenie dla półmilionowej armii, to już ja będę wiedział gdzie uderzyć tak, aby musieli przyjąć decydującą rozprawę bez zwłoki”.

Tymczasem okazało się, że zainteresowanie Lloyd George'a wsparciem Polski nie przetrwało 24 godzin; już następnego dnia, 15 września, Rada Najwyższa odrzuciła projekt polskiej operacji ofensywnej przeciw Rosji Sowieckiej; tym samym upadło też udzielenie armii polskiej potrzebnej pomocy w uzbrojeniu i zaopatrzeniu. Sprzeciw nastąpił ze strony Francji, reprezentowanej przez Clémenceau i Foch'a. Clémenceau oświadczył „że najgorszą rzeczą byłaby próba podbicia Rosji siłami polskimi. Gdyby brytyjskie lub francuskie siły podjęły tę operację, byłoby wiadomo, że działają w interesie Europy, ale powierzenie tego wojskom polskim pobudziłoby całą Rosję do oporu”. Taki sam pogląd wypowiedział marsz. Foch. Lloyd George nie nalegał, a gdy na następnym posiedzeniu Rady Najwyższej Paderewski domagał się ustalenia planów alianckich, ponieważ Polska — nie mając własnego przemysłu wojennego i środków materialnych — nie może trwać bez końca w biernym pogotowiu bez pomocy mocarstw, otrzymał odpowiedź ze strony Clémenceau, przy zgodzie Lloyd George'a, że mocarstwa sprzymierzone nie mają zamiaru ani prowadzić wojny, ani zawierać pokoju z Rosją Sowiecką. Wkrótce też wyjaśniło się, że Stany Zjednoczone opowiadają się jeszcze mocniej niż Francja za ograniczeniem Polski do biernej postawy obronnej.

Wspomniana przez Clémenceau alternatywa użycia — zamiast polskich — wojsk francuskich czy angielskich była czystą fikcją; można zatem przypisać stanowisko zajęte przez Radę Najwyższą tylko mylnej ocenie widoków „białych” sił rosyjskich. Niewątpliwie w połowie września — w kilkanaście dni po zdobyciu przez Dienikina Kijowa — uwierzono w Paryżu w zdolność „białych Rosjan” do obalenia władzy sowieckiej, a znając sto-

sunek Kołczaka i Dienikina do sprawy polskiej — nie chciano i nie uważano za potrzebne wzmocnić sił Polski, traktując ją tylko jako czynnik podrzędny w walce z bolszewizmem. Tak wyglądała pierwsza faza „sprawy Dienikina”.

Ten stan rzeczy trwał przez dwa miesiące. W listopadzie jednak, prawdopodobnie na skutek poważnego już zachwiania pewności siebie w Taganrogu — przyszły do Piłsudskiego ponowne propozycje ofensywnego współdziałania, poparte bardzo silnie z Londynu przez Lloyd George'a i Churchilla.

Przybył z Taganrogu do Warszawy gen. Briggs, szef brytyjskiej misji wojskowej przy Dienikinie, przyjaciel i b. zwierzchnik słynnego gen. Carton de Wiart, szefa angielskiej misji wojskowej w Polsce. W swej książce „Happy Odyssey” (Londyn 1950, przedmowa W. Churchilla), gen. Carton de Wiart tak o tym pisze:

„Briggs został przysłany, aby skłonić mnie do namówienia Piłsudskiego aby przyłączył się do tej ofensywy. Wziąłem Briggsa z sobą do Piłsudskiego by przedstawić mu sytuację i prosić go osobiście o współdziałanie. W czasie rozmowy mogłem zaobserwować, że na Piłsudskim nie zrobiło najmniejszego wrażenia to, co Briggs mu mówił. — Po odejściu Briggsa — Piłsudski powiedział że Dienikin nie zdoła dojść do Moskwy, ale co gorsza będzie wkrótce przeparty z powrotem do Czarnego Morza. Wobec gwałtownych postępów Dienikina wydawało się to wręcz fantastyczne, ale sąd Piłsudskiego rzadko zawodził i miałem takie zaufanie do niego, że zameldowałem to natychmiast do ministerstwa wojny”.

„Gdy przybyłem do Londynu dla złożenia sprawozdania, Winston Churchill, który był wówczas ministrem wojny, zaprosił mnie na śniadanie. W tym śniadaniu brali udział tylko pani Churchill i J. Scott, jego sekretarz. Zetknąłem się wtedy z Churchillem po raz pierwszy. Pochlebiała mi nieźmiernie myśl o omówieniu z tak wielkim człowiekiem tak ważnej w tym momencie sytuacji. Churchill chciał, abym nakłonił Polaków do przyłączenia się do ofensywy Dienikina, ale ja powtórzyłem mu przestrożę Piłsudskiego; pamiętam że pani Churchill powiedziała wówczas: „Lepiej posłuchaj gen. de Wiart”. Spiesznie zaznaczyłem, że daję opinię nie swoją, lecz Piłsudskiego, od którego nigdy błędnej opinii nie słyszałem. W przeciągu kilku tygodni okazało się, że Piłsudski był dobrym prorokiem, ponieważ Dienikin znalazł się z powrotem nad Czarnym Morzem”.

Zdawałoby się, że dla gen. de Wiart jego kolega Briggs powinien być miarodajnym rzeczoznawcą sytuacji wojennej na południu Rosji, a jednak ma on większe zaufanie do oceny jej przez Piłsudskiego i do jego przewidywań. Co więcej — ob staje przy tym wbrew osobistym naleganiom Churchilla, który przecież jest dlań nie tylko formalnym autorytetem jako minister wojny; Carton de Wiart chylił przed Piłsudskim czoło jako przed wielkim człowiekiem. Mamy i na to odpowiedź w jego książce. Píše on w lat piętnaście po śmierci Piłsudskiego:

„Od tego czasu było mi dane zetknąć się z wieloma wielkimi mężami tego świata, ale Piłsudskiemu należy się faktycznie wysokie miejsce między nimi, jeśli chodzi o jego zmysł polityczny — niemal szczytowe”.

W kilka tygodni po rozmowie Piłsudskiego z wojskowymi wy-

ślannikami angielskimi, przybył do Warszawy sir H. I. Mackinder, Wysoki Komisarz rządu brytyjskiego w Taganrogu, skierowany przez Lloyd George'a dla dalszych nacisków na Piłsudskiego. Mimo że jego misja była raczej spóźniona, bo bolszewicy odebrali już Dienikinowi Kijów, Mackinder został — w połowie grudnia — dwukrotnie przyjęty przez Naczelnika Państwa. Piłsudski skorzystał ze sposobności, że może mówić z człowiekiem który nie jest ślepyim wykonawcą dyspozycji Lloyd George'a; Mackinder był bowiem wybitnym parlamentarzystą, co mu dawało znaczną niezależność; co więcej, był to jeden z wyjątkowych w Anglii znawców stosunków w naszej części Europy; geopolityk i etnograf, znał też historię przedrozbiorowych czasów Rzplitej i wiedział, że ludność obszarów na wschód od ścisłej etnograficznej Polski ani nie była, ani nie jest rosyjska. Rozumiał podłoże historyczne programu federacyjnego — którym się szczególnie zainteresował — i jego doniosłość dla ułożenia przyszłych stosunków między Polską a Rosją, w razie obalenia rządów bolszewickich; oceniał należycie znaczenie sprawy ukraińskiej. Pytał też ze swej strony o zdanie Piłsudskiego co do rozpoczętej właśnie przez Lenina „ofensywy pokojowej” i o rzekome plany polskiej „wyprawy na Moskwę”. Na to wszystko otrzymał szczere odpowiedzi i wyjaśnienia, które — jak się potem okazało — były dla niego przekonujące. Mamy bowiem opublikowane w dokumentacji brytyjskiej polityki zagranicznej (D.B.F.P., Tom III) sprawozdania z jego misji w Taganrogu i wizyty w Warszawie. Okazuje się z nich, że po powrocie z Warszawy, 10. I. 1920 r., nakłaniał on Dienikina do rewizji dotychczasowej polityki wobec Polski, która uniemożliwiała uzyskanie wydatnej pomocy militarnej ze strony polskiej, krótko mówiąc — poparł całkowicie stanowisko Piłsudskiego. Zaś w sprawozdaniu z rozmów warszawskich powtarzając ponowne przestrogi Piłsudskiego przed liczeniem na zwycięstwo Dienikina, stwierdził od siebie, że Piłsudski ma nadzwyczajną „współśłowiańską” wnikliwość i realizm w ocenie sytuacji Rosjan (21. I. 1920 r.).

Sir H. I. Mackinder uznał politykę wschodnią Rzplitej — tak jak ją wyłożył Naczelnik Państwa — za słuszną i uzasadnioną. Tak samo jak w wypadku Carton de Wiart'a — jego uznanie dla Piłsudskiego nie było impresją przejściową. W pół roku później, po zdobyciu Kijowa, otumanieni przez propagandę bolszewicką socjaliści i liberałowie angielscy przypuścili wściekły atak na „zaborczy, reakcyjny, imperializm polski”, bijąc szczególnie w Piłsudskiego. Odpowiadał im, 20 maja 1920 r., w Izbie Gmin Mackinder; wskazywał, że człowiek który stoi na czele państwa polskiego ma za sobą przeszłość socjalistyczną i rewolucyjną; że właśnie zaufanie i poparcie mas pracujących jest głównym źródłem jego wpływów. Mówił do Izby: „Nie jest on na pewno reakcjonistą... według mego przekonania dopóki Piłsudski zachowuje swe potężne stanowisko w Polsce będzie on siłą działającą przeciwko imperializmowi...”.

Wybiegłem zbyt daleko w przyszłość. Jednak warte jest zastanowienia, że obaj wysłannicy rządu angielskiego, którym zlecono interwencję u Piłsudskiego na rzecz Dienikina — mimo niepowodzenia swej misji — składają raporty wręcz przeciwne z postawionym przez Lloyd George'a i Churchilla celem; zaś dla Piłsudskiego zachowują na stałe najgłębsze uznanie. Musiały więc jego argumenty mieć wagę niepospolitą.

Zresztą, jak się okaże, sprawa ta nie spowodowała obrazy ze strony angielskiej, ani innych mocarstw sprzymierzonych. Ciekawe jest też, że właśnie w grudniu 1919 r. przybyli do Warszawy, aby się porozumieć z Piłsudskim, przedstawiciele tego odłamu Rosjan, z którym jedynie porozumienie było możliwe: demokratów i socjal-rewolucjonistów; rozpoczęły się układy, a wkrótce potem organizacja ochotniczych formacji rosyjskich przy armii polskiej.

Skoro zaś w Polsce sprawa była, jak się rzekło, bezsporna — zrozumieć trudno skąd i po co odezwała się w naszej literaturze emigracyjnej jakaś czkawka.

Mam przed sobą spisane przed 10 laty wspomnienia z rozmowy z Naczelnikiem Państwa na ten temat w październiku 1922 r.

„Nazywają mnie ryzykantem — mówił Piłsudski — ale każde ryzyko ma swoje granice. Opowiada Dienikin, że przez atak na odcinku mozyrskim mogłem odciągnąć od niego 40 tysięcy wojsk sowieckich; czyli — patrząc od naszej strony — mieliśmy ściągnąć te 40 tysięcy na siebie. I trzeba by było użyć przeciw nim co najmniej tyle samo i to nie świeżego rekruta, lecz wojska dobrze zaprawionego już w polu — a tego miałem w jesieni 1919 r. nie wiele więcej. Stanowiło ono niezbędne ramy kadrowe dla tych setek tysięcy żołnierza z poboru, który nie umiał jeszcze strzelać. Aż do końca lipca armia nasza wyglądała jak łamiągówka; częściowo tylko podzielona na regularne pułki i dywizje, przeważnie na grupy i grupki, porywane wciąż na różne strony, uzbrojone w najrozmaitsze rodzaje armat i karabinów, tak że było nielada zadaniem dosyłanie odpowiedniej amunicji tam gdzie trzeba. W tych warunkach miałem przerwać reorganizację i rzucić się w operację manewrową w kierunku Moskwy — i to w zimie; a żołnierz miał wiatrem podszyte płaszcze z łyka war- tych materiałów „ersatzowych” ze składów po Niemcach i Austriakach. Wszyscy wiedzą o sprzymierzeńcu Rosji wobec każdego ataku — mrozie. Ale ma ona też innego sprzymierzeńca w wojnie obronnej — przestrzenie. Można dać w nie głębokiego nura i znaleźć się w położeniu jeszcze gorszym, im dalej się zaszło. Połykają siły wojska coraz głębsze etapy; wisi ono na rzadkiej sieci dróg, a przy naszych zapasach amunicji, a nawet żywności, katastrofą się może stać każdy pociąg, każdy łańcuch taborów, który nie dojdzie na czas. Nie — jeszcze szereg miesięcy czasu i bez porównania lepsze zaopatrzenie musiałem mieć dla swoich sił, aby takie ryzyko znalazło się w granicach rozsądku. A dalej — miałem iść w akcji pomocniczej dla głównej siły — białych Rosjan — o których wartości miałem fatalne informacje już od

czasu wiosennych walk o Odesę; nie tylko ze źródeł naszych, ale i od Francuzów, przez gen. Henrys'a, szefa misji wojskowej. Pod koniec roku potwierdziły się one całkowicie. Wreszcie Lloyd George, który jeszcze w grudniu na mnie naciskał, w styczniu 1920 zrobił nowe odkrycie, że nie przez Dienikina lecz przez handel z Rosją wiedzie droga do obalenia bolszewizmu. Wszystko razem stało się nonsensem, o którym szkoda gadać. Większe trudności stanęły na naszej drodze”.

Bogusław MIEDZIŃSKI

(dokończenie nastąpi)

SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego A. Pomorski

Rp.
Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)
Persantin 75 dragées (NIEMCY)
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966
Podpis i stempel lekarza Dr. Med. K. Kratowski

P.S. Doradzam załatwić
przez TAZAB w Londynie, bo
wykona natychmiast!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

New York, 100 East 10th Str. N.Y.3.
Tel.: ALgonquin 4-4161.

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM CXXVI

BARBARA TOPORSKA

SIOSTRY

Eksperymentalna powieść, będąca debiutem w prozie literackiej Barbary Toporskiej — dziennikarki, publicystki i poetki.

Str. 216.

Cena 13,50 F. (dol. 3,00; 20 sh.)



TOM CXXVII

MAREK HŁASKO

PIĘKNI, DWUDZIESTOLETNI

Powieść autobiograficzna, której fragmenty drukowane były przed kilku miesiącami w „Kulturze” wywołując wielkie zainteresowanie czytelników.

Str. 216.

Cena 13,50 F. (dol. 3,00; 20 sh.)



TOM CXXIX

BORYS LEWIŃKIJ

POLITYKA NARODOWOŚCIOWA W ZSSR

w okresie Chruszczowa

Przekład z niemieckiego Mieczysława Zarzyckiego
POSŁOWIE WSEWOŁODA HOŁUBNYCZEGO

Str. 312.

Cena 16,50 F. (dol. 3,50; 24/6)

O religii bez namaszczenia

Polityka, Kościół, Ewangelia

W odczuciu opinii publicznej tak na Zachodzie jak i w kraju obecny konflikt między Kościołem a państwem jest nade wszystko konfliktem politycznym. Także w odczuciu protagonistów obu stron jest to starcie dwóch obozów, dwóch ideologii o przyszły kształt polskiej rzeczywistości. Takie starcie zaś w ogólnie przyjętym znaczeniu tego terminu jest faktem politycznym. Nie zmienia tego faktu oświadczenie Kardynała Prymasa, że „nie może być próby sił między siłami duchowymi i materialnymi”. Jest to pewne uproszczenie, bo siły którymi dysponuje Kościół (choćby masy ludzkie) nie są wyłącznie duchowe; z drugiej strony obóz komunistyczny nie jest pozbawiony wartości i sił, które nie są wyłącznie materialne. To oświadczenie Kardynała stanowi jednak próbę wyjścia poza fakt czysto politycznej konfrontacji i uwypuklenia jej głębszego wymiaru i głębszych wartości, o które w tej konfrontacji idzie — wartości właśnie duchowych i w ostatecznej analizie religijnych. To również jest celem niniejszego artykułu.

Fakt, że Kościół w Polsce liczy się jako pewna siła polityczna nie jest sam w sobie niczym złym. Kościół, jeśli ma spełnić swą misję, nie może się odwracać od świata i musi być zaangażowany w świat i to oznacza, między innymi, również zaangażowanie polityczne. Chodzi tylko o to, by to było zaangażowanie właściwe. Z grubsza widzę trzy typy politycznego zaangażowania Kościoła. W jednym Kościół wychodząc z założenia o wyższości władzy duchownej nad świecką rości sobie prawo do budowania i zwalania tronów, a przynajmniej do manipulowania potęgami tego świata w interesie owej władzy duchownej. Ten typ politycznego zaangażowania, na szczęście, należy już w dużej mierze do przeszłości¹. Sam Kościół jednak jako instytucja hierarchiczna

1. Gdy np. arcybp Kominek w przemówieniu na uroczystościach milenijnych w Częstochowie stwierdza „Nie chcemy Kościoła politycznego”, to przypuszczalnie ma na myśli tylko ten pierwszy typ politycznego zaangażowania. Nie sądzę, by arcybp Kominek mógł negocjować drugi lub wyrzekać się trzeciego typu politycznego zaangażowania, o których poniżej.

nie przestał przez to być *sui generis* politycznym podmiotem. Jest przeto nieuniknione, że Kościół jako instytucja występuje w pewnych sytuacjach w charakterze politycznego kontrahenta, który jako jeden podmiot polityczny prowadzi rokowania i zawiera układy z innym podmiotem politycznym, z państwem. To jest drugi typ politycznego zaangażowania Kościoła, całkiem uzasadniony, w którym Kościół zabezpiecza sobie formalnie pewne minimalne czy optymalne warunki wykonywania swej misji.

Ale istnieje i trzeci typ zaangażowania politycznego, najmniej oczywisty i zwykle tak nie określany, bo jest to rodzaj zaangażowania najwłaściwszy, którego Kościół nie może się wyrzec pod groźą sprzeniewierzenia się swojemu zasadniczemu posłannictwu. Jest to zainteresowanie, o ile możności *czynne* zainteresowanie, jakie Kościół wykazuje dla walki o wszelkie pozytywne wartości, indywidualne i społeczne, takie jak wolność, sprawiedliwość, pokój — i to nie tylko w odniesieniu do, czy w interesie, swoich własnych wiernych, ale w interesie wszystkich ludzi. Bo godność ludzka poganina, muzułmanina czy komunisty jest taka sama jak godność ludzka chrześcijanina i *ich* wolność, sprawiedliwość i pokój mają taką samą wartość o oczach Bożych. Są to wartości moralne, niemniej walka o te wartości ma charakter polityczny. Ten typ politycznego zaangażowania Kościoła reprezentują encykliki społeczne papieży, „Pacem in Terris” Jana XXIII, akcja pokojowa Pawła VI na rzecz pokoju w Wietnamie i jego podróż do ONZ. Jego teologiczne podstawy i zarys problematyki na dzień dzisiejszy rysuje soborowa konstytucja „O Kościele w świecie współczesnym”, pierwszy bodaj tego rodzaju dokument w dziejach Kościoła.

W Polsce jako państwie komunistycznym niedozwolona jest oficjalna opozycja, lecz *jakaś* opozycja jest warunkiem normalnego funkcjonowania dojrzałego wolnego społeczeństwa. Kościół jest jedyną ogólnonarodową organizacją, która jest niezależna od dyrektyw partii rządzącej. W tych warunkach jest rzeczą całkiem naturalną, a nawet nieuniknioną, że Kościół stał się ośrodkiem, dokoła którego skupiają się wszystkie elementy opozycyjne, nawet jeśli nie mają nic wspólnego z katolicyzmem. (NB. w obecnym stadium sporu Kościół-Partia nawet wielu ludzi z intelektualnej lewicy partyjnej sympatyzuje ze stanowiskiem Kardynała Prymasa). Przypuszczalnie Kościół, nawet gdyby się chciał opędnąć od swoich poza-wyznaniowych sojuszników, nie mógłby tego uczynić. I wydaje się, że z punktu widzenia swej misji i *właściwego* zaangażowania politycznego nie powinien nawet tego czynić, bo jeśli broni swobód i praw jednostek, nie powinien tylko bronić swobód i praw swoich wiernych, ale wolności w ogóle. Jeśli zatem Kościół jest zmuszony przez okoliczności spełniać rolę nieoficjalnej opozycji politycznej, to dobrze że ją spełnia, choć jest to oczywiście rola w stosunku do jego zasadniczej misji uboczna.

Zasadniczą misją Kościoła jest szukanie Królestwa Bożego; wolność, indywidualna i społeczna, jest tylko warunkiem wstęp-

nym, koniecznym lecz niewystarczającym, do umożliwienia tego szukania. To jego posłannictwo jest powszechne (katolickie), zwraca się zatem zarówno do wierzących jak niewierzących, zarówno do katolików jak komunistów. Z tego powodu, gdyby nawet obecna konfrontacja polityczna zakończyła się pełnym zwycięstwem Kościoła (co nie jest prawdopodobne w obecnej sytuacji światowej), takie zwycięstwo nie byłoby równoznaczne ze spełnieniem jego apostołskiej misji. Polityczne zwycięstwo Kościoła znaczyłoby bowiem, że jego pokonani wrogowie pozostaliby poza Kościołem, bynajmniej nie pogodzeni z jego potężną teokracją. Bo taki polityczny triumf niósłby ze sobą dodatkowe niebezpieczeństwo usztywnienia własnej wewnętrznej struktury Kościoła, a tym samym podważenia lub zniszczenia wolności, o którą Kościół teraz walczy.

Takie zwycięstwo, na szczęście, z obiektywnych powodów Kościołowi nie grozi. Choć istnieją wewnątrz niektórych fortec kościelnych tendencje do klerykalnej dyktatury, które sprawiają, że groźba wewnątrz kościelnej teokracji w Polsce nie jest tylko teoretycznym niebezpieczeństwem. Tym bardziej nie należy sobie życzyć takiego politycznego zwycięstwa Kościoła.

Natomiast należy sobie życzyć i należy się modlić o jego duchowe zwycięstwo. Co to znaczy? To znaczy, że należy się modlić by Kościół potrafił pozyskać sobie (jak to się w pewnej mierze w tej chwili dzieje) miłość i współpracę wszystkich ludzi dobrej woli: również niewierzących, obojętnych, agnostyków, komunistów, którzy tym samym o tyle znajdują się bliżej wiary. Oczywiście nie da się tego osiągnąć przez zbyt wyłączną troskę o obronę i rozkwit swojego „stanu posiadania”. Walcząc o te rzeczy, o swoje prawa i swoje instytucje, Kościół przedstawia się opinii publicznej (w kraju i za granicą) jako przede wszystkim polityczna fakcja i każde zwycięstwo w tej dziedzinie wywołuje tyleż niechęci i zawiści poza obrębem Kościoła, ile wywołuje zadowolenia wśród jego własnych szeregów. To są pyrrusowe zwycięstwa na krótką metę. Oczywiście, uprawnienia i instytucje kościelne (parafie, zakony, szkoły, szpitale, seminaria, punkty katechetyczne, wydawnictwa) — to wszystko są rzeczy ważne. Są to środki sprawowania apostołskiej działalności; ale też są to *tylko* środki, które nie mogą przesłaniać celów, którym mają służyć. Muszą one służyć celom, które są niejako poza-kościelne; życiu, które jest *poza* parafią, *poza* szkołą, *poza* seminarium; twórczości, która nie jest twórczością specyficzną „katolicką” czy religijną. Działalność zbyt wyłącznie „religijna” zbyt często pozostawia odłogiem rozległe dziedziny świeckiego życia, które są codziennym szlakiem po którym ludzie zmierzają do Boga. To te dziedziny właśnie wołają wielkim głosem, by zapanaowało w nich Królestwo Boże: nauka, technologia, literatura, polityka, ekonomia społeczna, a nade wszystko sprawiedliwość społeczna. Tymczasem we wszystkich tych dziedzinach rej wiodą ludzie stojący raczej z dala od Kościoła... i komuniści. Prawda, że w Polsce komuniści zawładnęli całą bazą materialną, na któ-

rej opierają się te formy działalności. Ale w jakim stopniu Kościół wykazuje choćby zainteresowanie dla tych dziedzin? Przeważająca jest postawa pewnej obojętności, zwłaszcza jeśli chodzi o postawę oficjalnego Kościoła. Odnosi się wrażenie, że to co nie jest specyficznie religijne nie interesuje Kościoła, jak gdyby Bóg nie był Stwórcą całego świata, a tylko jego religijnego wycinka. Ileż to energii wkłada się w obwożenie po Polsce kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej! A ile energii włożono na przykład w sprawę rozprowadzenia po kraju myśli encykliki „Mater et Magistra”?

Rzecz jasna, wcale nie chodzi o to, by Kościół zrezygnował ze swych tradycyjnych instytucji, ze swego i tak już uszczupłego stanu posiadania i stał się Kościołem wyłącznie „duchowym”. Alternatywą politycznego zwycięstwa Kościoła nie jest polityczna kapitulacja. Komunizm (doktrynalny i praktyczny, tak jak reprezentuje go PZPR) ma niewątpliwie cele totalne i dąży do całkowitego podporządkowania sobie Kościoła i, gdyby to było możliwe, do całkowitego jego zniszczenia. Nie jest celem niniejszego artykułu przypomnienie metod jakimi partia tej walkę prowadziła i prowadzi z użyciem brutalnej siły i nadużyciem obowiązującego prawa państwowego. I nie jest też zamiarem piszącego z odległości bezpiecznego Zachodu głosić potrzebę „normalizacji” za wszelką cenę. Jak się rzekło wyżej, dobrze jest, że Kościół stanowi w Polsce pewną siłę polityczną i jest w stanie bronić swojej wolności — i nie tylko swojej. Tylko z tej pozycji można prowadzić ewentualny dialog polityczny, który nie byłby równoznaczny z kapitulacją.

Ale nie chodzi tylko o polityczny dialog (w formie na przykład wznowionych posiedzeń Komisji Mieszanej), w którym przedstawiciele rządu i episkopatu wytyczaliby jakieś nowe linie demarkacyjne uprawnień Kościoła i Państwa. To jest tylko najbardziej powierzchowny aspekt problemu politycznego współżycia Kościoła z komunistycznym państwem. Właściwe rozwiązanie problemu, zgodne nie tyle z interesem Kościoła co z jego posłannictwem, leży dużo głębiej, jest znacznie trudniejsze, bardziej skomplikowane, ale bynajmniej nie niemożliwe. Jest na pozór paradoksem (ale tylko na pozór), że takie głębsze rozwiązanie byłoby również zgodne z interesem państwa, czy raczej z jego swoistym posłannictwem. To co naprawdę Boże, nie może nie być w czymkolwiek interesem. Prawda, że ludzie źli albo niemądry będą zawsze krzyżować Kościół, ale tego nie czynią tylko komuniści. Kościół krzyżują również jego własni wierni; bywa, że krzyżują go jego własni pasterze.

Problem stosunku Kościoła do Państwa jest w tym głębszym ujęciu tylko częścią problemu stosunku Kościoła do współczesnego życia, tak jak zarysowała go konstytucja soborowa „O Kościele w świecie współczesnym”. Jest rzeczą zmienną i pocieszającą, że próby wysondowania tego głębszego problemu są istotnie w Polsce podejmowane. Najbardziej zmiennym tego rodzaju krokiem było słynne Orędzie biskupów polskich do bis-

kupów niemieckich i zawarte w nim słowa przebaczenia. To był heroiczny gest — jak heroiczny, o tym świadczy anty-kościelna nagonka, jaką Orędzie wywołało. Ale mimo tej kampanii był to gest, który po pierwszym wstrząsie (prawdziwe chrześcijaństwo zawsze jest wstrząsające) niesłuchanie podniósł autorytet Kościoła. Bo Kościół w tej deklaracji, primo, wyszedł poza ograniczony krąg własnych interesów wyznaniowych i narodowych i uczynił gest o znaczeniu międzynarodowym; secundo, wbrew wszelkim politycznym kalkulacjom i wbrew nawet własnemu interesowi odważnie proklamował trudne chrześcijańskie przykazanie miłości, także w stosunkach międzynarodowych i także wobec nieprzyjaciół. Był to oczywiście dokument w pewnym sensie polityczny, właśnie w sensie który wyżej określiłem jako najwłaściwszy i niezbędny typ politycznego zaangażowania Kościoła; a zatem nie jako próba manipulowania sytuacji międzynarodowej w interesie Kościoła czy jego sprzymierzeńców (jak mu to zarzucają przeciwnicy Orędzia), ale jako przyczynek do rozwiązania międzynarodowego problemu w duchu przykazań chrześcijaństwa.

Z tym wszystkim wydaje mi się, że przy całej wielkości swego zamierzenia Orędzie nie było jednak dokumentem bezbłędnym i całkowicie wolnym od pewnych względów partykularnopolitycznych. Komuniści zinterpretowali je jako próbę ściślejszego związania Polski z Zachodem przeciwko Wschodowi (czyli właśnie jako przejaw „manipulacyjnej” polityki Kościoła). Zarzut o tyle nieuzasadniony, że w orędziu skierowanym do zachodniego sąsiada to podkreślenie historycznych związków Polski z Zachodem (stanowiących zresztą historyczny fakt) było rzeczą jak najbardziej naturalną, a nawet nieuniknioną. Ale ten zarzut byłby zupełnie pozbawiony ostrza, gdyby Kościół polski zwrócił się i do wschodniego sąsiada z podobną propozycją ułożenia stosunków na zasadzie miłości i zwiększenia zaufania. Nie ma wprawdzie na wschodzie katolickiej społeczności dostatecznie wielkiej, by mogła być właściwym i znaczącym adresatem takiego równoważącego orędzia. Ale istnieje tam wielka prawosławna Cerkiew Rosyjska, bynajmniej nie martwa i bynajmniej nie całkiem przez władzę komunistyczną opanowana. Wcale niekoniecznie zresztą musiałyby się takie zbliżenie rozpocząć od jakiegoś fundamentalnego orędzia; chodziłoby raczej o skromne przyjazne kontakty. Na pewno istnieje sposób, w jaki potężny Kościół Katolicki w Polsce mógłby przyjść z pomocą Cerkwi Rosyjskiej, równie chrześcijańskiej przeciwie, bez równoczesnego wzbudzania podejrzeń że jest to akt subtelnej politycznej dywersji. Tymczasem odnosi się wrażenie, że Kościół polski odwrócił się z pogardą nie tylko od wschodniego bezbożnictwa, ale i od wschodniego chrześcijaństwa. Nie słyszeliśmy o żadnych próbach rozmów biskupów polskich z obserwatorami z ramienia Patriarchatu Moskiewskiego na Soborze, a gdy w zeszłym roku nowy prawosławny metropolita w Warszawie obejmował swoją stolicę, żaden biskup katolicki nie był na tej uroczystości obecny.

A tymczasem coraz głośniej w katolickim świecie nie tylko o dialogu ekumenicznym z innymi wyznaniem chrześcijańskimi, ale i o możliwości dialogu Kościoła z komunizmem i katolicyzmem z marksizmem. Jak dotychczas kontakty oficjalne (ze strony katolickiej kard. Koenig, Msgr. Casaroli i Msgr. Willebrands) zdają się zbyt wyłącznie dotyczyć tylko przywrócenia pewnych uprawnień biskupom i instytucjom katolickim w krajach Wschodniej Europy — czyli dotyczą znów tylko własnego interesu Kościoła. Ale dochodzi do dialogu i na głębszej i bardziej bezinteresownej płaszczyźnie; przykładem choćby konferencja katolików i marksistów, która odbyła się w maju zeszłego roku w Salzburgu z udziałem O. Karla Rahnera i Rogera Garaudy.

A w Polsce? Dziś w okresie chronicznego napięcia między Kościołem a państwem mało kto pamięta, że Kościół polski był pionierem w dziedzinie tego katolicko-komunistycznego dialogu — i to w czasie gdy poza Polską nikomu się o tym nie śniło. W roku 1950 kard. Wyszyński zawarł po raz pierwszy Porozumienie z rządem komunistycznym (formalnie obowiązujące po dziś dzień, choć wielokrotnie przez stronę komunistyczną złamane). Zawarł je Prymas Polski przy pełnym zakłopotaniu i podejrzliwości milczeniu Watykanu. Po raz drugi zawarł, czy raczej odnowił, to samo porozumienie po wyjściu z więzienia w grudniu 1956 roku. Prawda, że oba te porozumienia miały charakter raczej politycznych układów, w których Kościół, występując nie tyle w swoim charakterze apostołskim co politycznego kontrahenta, zabezpieczał sobie pewne uprawnienia, które uważał za niezbędne do prowadzenia swej misji. Próbowałem wyżej wykazać niewystarczalność tego rodzaju układów z punktu widzenia apostołskiego posłannictwa Kościoła. Niemniej oba te układy, gdyby zostały dotrzymane przez stronę komunistyczną, mogły być stać się zaczątkiem głębszego porozumienia i współpracy. Wydaje się, że kard. Wyszyński, zwłaszcza po Październiku, świadomie do takiego głębszego porozumienia i współpracy dążył. Tak czy owak pozostaje faktem, że Prymas Polski był pierwszym w świecie dostojnikiem Kościoła Katolickiego, który próbował modnego dziś dialogu z komunizmem. Jest ironią losu, że ten podówczas bez mała „czerwony” kardynał dziś ma opinię najbardziej nieprzejednanego wroga komunizmu i opinię kościelnego autokraty. Sparzywszy się dwukrotnie, Kardynał najwidoczniej obawia się (nie bez słusznej racji), że każdy nowy *modus vivendi* okaże się nowym komunistycznym oszustwem i punktem wyjścia do dalszej erozji stanu posiadania Kościoła w Polsce.

Dziś za zwolennika dialogu w łonie polskiego episkopatu uchodzi arcybiskup Kominek — jak się wydaje w brew obecnemu stanowisku Prymasa. Komuniści próbują dziś wyzskać tę różnicę zdań do wbicia klina i rozbicia jedności Episkopatu². Ktokolwiek choć trochę rozumie realia i ducha polskiego katolicyz-

2. Por. artykuł „Walka czy normalizacja” w „Życiu Warszawy” z 8 czerwca br.

mu, ten musi sobie zdawać sprawę jak niesłychanie naiwne i beznadziejne są tego rodzaju usiłowania. Mogą bowiem i powinny istnieć w Kościele, choćby nawet w łonie tego samego episkopatu, różnice zdań czy to w sprawie politycznej postawy Kościoła jako instytucji i zbiorowości czy co do metod najlepszego wypełnienia jego duszpasterskiego posłannictwa. Dlatego moim zdaniem nie ma najmniejszego powodu, by nie przyznawać, że pewna różnica zdań między Prymasem Polski a arcybiskupem wrocławskim czy innymi biskupami istnieje. To wcale samo w sobie nie podważa jedności Kościoła w Polsce i różnica zdań nie wyklucza absolutnej lojalności jednego dostojnika Kościoła wobec drugiego. Arcybiskup Kominek w Częstochowie nie po raz pierwszy i w Warszawie nie po raz ostatni deklarował swą lojalność wobec Księdza Prymasa.

Arcybiskup Kominek najwyraźniej pragnie dialogu. „*My, katolicy polscy*, — powiedział w wywiadzie udzielonym w maju br. francuskiej rozgłośni „Europe Nr 1” — *my, katolicy polscy, jesteśmy za dialogiem; rozmawiamy zapewne za mało z komunistami, a oni za mało rozmawiają z nami. I tu leży problem*”. Arcybiskup zdaje sobie sprawę, że na to potrzeba dobrej woli z obu stron. Usiłuje jak gdyby zachęcić do tej dobrej woli, stwierdzając że zwłaszcza od czasu Soboru różnice między katolikami a komunistami zmniejszają się coraz bardziej i że jest dostrzegalny wzrost dobrej woli po obu stronach. Wierzy że polski katolicyzm „masowy” przekształca się w katolicyzm wyższego rodzaju (*plus élevé*) i bardziej tolerancyjny; dając jak gdyby wyraz swym wątpliwościom co do dobrej woli drugiej strony, wyraża nadzieję, że komunizm w Polsce będzie ewoluował w tym samym kierunku.

Wydaje się jednak, że arcybiskup wrocławski nie ma na myśli tylko politycznego układu między Kościołem a państwem, pewnego rodzaju „małżeństwa z rozsądku”. Nowym elementem w podejściu arcybiskupa Kominka jest gotowość uznania przez Kościół, że „socjalizm” (w przyjętej w kraju delikatnej nomenklaturze oznacza to właściwie komunizm) zawiera pewne pozytywne wartości, wobec których Kościół nie może i nie chce pozostać obojętny. Mówił o tym wywiadzie dla „Europe Nr 1”, ale jeszcze wyraźniej wystąpiło to w jego przemówieniu na Jasnej Górze dnia 2 maja: „*Jesteśmy świadkami narodzin nowej cywilizacji, nowej uprzemysłowionej Polski z jej techniką i kulturą masową i przewidujemy, że będzie to Polska coraz bardziej zso-cjalizowana. Ale nie ograniczamy się tylko do obserwowania tego rozwoju, my mu otwieramy ramiona i przyjmujemy go, patrzymy nań bez obaw. Nie obawiamy się przyszłości*”.

Nie należy oczywiście widzieć w tych słowach zapowiedzi bliskiej już harmonii we współżyciu katolicyzmu z komunizmem w Polsce. Sposób, w jaki te słowa arcybiskupa Kominka zostały wyzskacone przez prasę partyjną jako próba poróżnienia go z Kardynałem Prymasem (por. cytowany wyżej art. w „Życiu Warszawy” z 8 czerwca) stanowił kubeł zimnej wody na głowy

entuzjastów. Niemniej wydaje mi się, że cytowane wypowiedzi arcybiskupa wrocławskiego oznaczają próbę znalezienia platformy porozumienia na głębszej płaszczyźnie w postaci uznania pewnych wartości, które są wspólne komunizmowi (w jego humanitarnym aspekcie) i chrześcijaństwu (w jego treści prawdziwie ewangelicznej). Faktem jest że komunizm przyniósł Polsce wiele zła i cierpienie, ale nie można też nie uznać że usunął również wiele zła i niesprawiedliwości, które istniały w przedwojennej Polsce i przeciw którym występował w swych pismach młody podówczas ks. prof. Wyszyński. Nie tylko komunizm zresztą reprezentuje pewne wartości pozytywne, na pozór czysto świeckie, ale w gruncie rzeczy również religijne, wobec których Kościół zbyt długo zdawał się obojętny. Wiadomo, że pierwsza encyklika społeczna Kościoła Katolickiego, „Rerum Novarum” Leona XIII, była o przynajmniej 50 lat spóźniona. Cały ruch sprawiedliwości społecznej, którym żył wiek XIX i XX, wymknął się z rąk Kościoła i właściwie dziś dopiero Kościół próbuje z trudem to wiekowe zaniedbanie nadrobić. Prawda, że jeśli chodzi o „uczynki miłosierne co do ciała” niemniej jak o „uczynki miłosierne co do duszy”, to Kościół może się powołać na swój wielki ruch misyjny ostatnich kilkuset lat. Misjonarz katolicki nie tylko uczył prawd wiary, ale również leczył, karmił i wychowywał. Ale wielkim brakiem całej tej działalności było, że miała ona charakter wyznaniowy i cele wyznaniowe w pierwszym rzędzie, a charakter charytatywny, cel niesienia bezinteresownej pomocy potrzebującym był jak gdyby tylko dodatkiem. Dzięki temu walkę o godność małego, sponiewieranego człowieka podjęła dopiero Rewolucja Francuska (przy wszystkich swych okropnościach) i dziś wszelkie ruchy emancypacyjne, akcja pomocy dla głodnych narodów, wszelkie „Oxfamy”, walka z *apartheid*, medycyna charytatywna obywają się bez Kościoła, są prowadzone przez nie-chrześcijańskie mimo Kościoła, a czasem nawet wbrew Kościołowi. Osobiście jestem przekonany, że cały ten współczesny humanizm (wraz z humanistycznym komunizmem) wszystkie swe pozytywne treści czerpie ostatecznie z Ewangelii, z dzieł Chrystusa, Ewangelii i dwu-tysiącletniej pracy wychowawczej Kościoła całego tego współczesnego humanizmu po prostu by nie było. Właśnie dlatego, że tyle z jego wartości ma wydzwięk tak uderzająco chrześcijański. „Ilekroć podaliście kubek wody jednemu z tych maluczkich w Imię Moje, Mnieście uczynili”. Iluż tych współczesnych agnostyków to właśnie robi, nie zdając sobie sprawy z czyjego natchnienia to robią i że to czynią właśnie w Imię Jego. Jedyną drogą, która może sprawić że zrozumieją Komu podają kubek wody i w Czym imieniu, jest stwierdzenie przez Kościół że to co czynią jest czynem Chrystusowym, poprzec ich w tym czynie i działać razem z nimi. Takie bezinteresowne współdziałanie o wiele bardziej podnosi autorytet i skuteczność apostołskości działalności Kościoła aniżeli zbyt wyłączna dbałość o swoje instytucjonalne środki działania i swoje uprawnienia vis-à-vis świeckiego państwa.

Ale wróćmy do sytuacji w Polsce. Arcybiskup Kominek, jak mi się wydaje, przerzuca właśnie punkt ciężkości z owych targów i walk o prawa Kościoła na zaniedbaną dotychczas sferę, w której pewne cele komunistyczne mają również niezaprzeczonego walor chrześcijański. Istnienie tej sfery wspólnych wartości więcej niż cokolwiek innego rokuje nadzieję na wyjście z impasu, w jakim obecnie znalazły się stosunki między Kościołem a państwem w Polsce.

Oczywiście ta sfera ewentualnego porozumienia i współdziałania jest ograniczona, bo chrześcijaństwo i komunizm (ten ostatni tym razem w swoim anty-humanitarnym aspekcie) mają również cele diametralnie sprzeczne. Jeśli dialog potrafi kiedykolwiek tę przepaść zawęzić i cele przybliżyć, to jest to kwestia dość dalekiej przyszłości. Obok sfery współpracy zatem musi pozostać sfera napięcia i ewentualnych starć. Nie może być współpracy za wszelką cenę i Kościół współpracując w realizacji jednych wartości musi do upadłego bronić innych wartości chrześcijańskich, którym komunizm zagraża.

I tutaj, wydaje mi się, arcybiskup Kominek nie jest dosyć ostrożny. Nie tyle obawiam się, że w dążeniu do porozumienia byłby gotów poświęcić coś z istniejących uprawnień Kościoła w Polsce, ile o to że w dążeniu do rzetelnej współpracy może przeoczyć jakąś istotną chrześcijańską wartość. Właśnie pod tym względem jego interpretacja Orędzia do biskupów niemieckich (którego był jednym z głównych współautorów) wydaje mi się zbyt ugodowa. Zarówno w swym wywiadzie radiowym udzielonym hamburskiej „Panoramie” (11 stycznia 1966) jak i w wywiadzie udzielonym korespondentowi „Europe Nr 1” (12 maja br.) arcybp. Kominek podkreślał, że przebaczenie za zbrodnie niemieckie jest uwarunkowane okazaniem przez Niemców skruchy. Dla tych co nie okazują skruchy nie ma przebaczenia. Pozornie jest to w najlepszej zgodzie z katechizmem. Wiadomo, że żal za grzechy jest absolutnym warunkiem uzyskania przebaczenia w konfesjonale. Ale tym, który przebacza w konfesjonale jest Bóg i tu „przebaczenie” znaczy właściwie „odpuszczenie grzechów”. Istotnie, bez skruchy nie ma odpuszczenia grzechów. Gdy jednak człowiek przebacza człowiekowi to nie odpuszcza mu grzechów; to ludzkie przebaczenie może znaczyć tylko że skrzywdzony próbuje nie żywić do swego krzywdziciela urazy i że nie życzy mu zła (poza zadośćuczynieniem, o ile zadośćuczynienie jest złem). Udzielenie takiego przebaczenia jest obowiązkiem chrześcijanina zawsze i we wszystkich okolicznościach, jakkolwiek trudne ono może być psychologicznie, nawet gdy krzywdziciel nie okazuje skruchy. Tak Chrystus przebaczył swoim oprawcom. Przebaczenie chrześcijańskie jest zatem bezwarunkowe.

Nie chcę oczywiście twierdzić, że arcybiskup Kominek, uzależniając przebaczenie od okazania skruchy, tym samym głosi że wolno chrześcijaninowi kogokolwiek nienawidzić czy życzyć mu zła. To mu na pewno nawet przez myśl nie przeszło. Raczej — jak sądzę — arcybiskup Kominek pragnął dać wyraz myśli

że przebaczenie zbrodniarzom hitlerowskim nie jest równoznaczne z rezygnacją z zadośćuczynienia za zbrodnie, a tym bardziej nie jest równoznaczne z samo-rozbrojeniem. W inny sposób dał wyraz tej myśli w wywiadzie dla „Europe Nr 1” stwierdzając, że przebaczenie udzielone w Orędziu jest przebaczeniem religijnym a nie politycznym. Niemniej sformułowanie „Bez skruchy nie ma przebaczenia” jest raczej nieszczęśliwe, gdyż sprawia wrażenie jak gdyby chrześcijański biskup rozgrzeszał uczucie nienawiści wobec wroga. Istotne i niepokojące jest, że to sformułowanie, udzielone pod naporem antykościelnej nagonki w związku z ogłoszeniem Orędzia, wygląda na ustępstwo na rzecz komunistycznej kampanii pod hasłem „Nie przebaczymy”. Dlatego nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w tym przypadku, w próbie złagodzenia napięcia między Kościołem a partią, istotna wartość chrześcijańska została narażona na szwank.

Jasne jest, że gdziekolwiek jest naruszane pierwsze i największe przykazanie miłości, Kościół musi być absolutnie bezkompromisowy. Ale i na odwrót: gdziekolwiek to najbardziej chrześcijańskie przykazanie jest realizowane, choćby przez bezbożników i choćby w najuboższej mierze, tam Kościół musi pochwalać i współdziałać. Istnieje zatem sfera walki ze światem i sfera współdziałania ze światem; istnieje sfera walki z komunizmem i sfera współdziałania z komunizmem. Zasada to, przynajmniej, straszliwie ogólna i straszliwie trudna, a jednak z chrześcijańskiego punktu widzenia jedynie możliwa i przecież rokująca pewne nadzieje. Starłem się wykazać zarówno w jakiej mierze ta zasada jest obecnie w Polsce stosowana i w jakiej niedość jeszcze stosowana. Jestem przekonany, że na tej drodze leży prawdziwe zwycięstwo Kościoła czyli spełnienie w coraz większej mierze jego nadprzyrodzonej misji. Walka o uprawnienia, jakkolwiek konieczna we właściwej mierze, ma tendencję do izolowania Kościoła za obronnym murem, poza którym zbyt często pozostawia zawiść i nienawiść. Natomiast współdziałanie w realizacji przykazania miłości, tak samo jak walka o respekt dla tego przykazania zjednuje mu miłość wszystkich ludzi dobrej woli, nawet formalnie pozostających z dala poza Kościołem. Są tego w Polsce znamienne przykłady i ta miłość owiec nie z jego owczarni więcej niż cokolwiek innego jest glorią Kościoła Polskiego w roku jego tysiąclecia. I kto wie, czy ich miłość dla Kościoła głoszącego miłość nie jest dla tych ludzi równoznaczna ze chrztem pragnienia.

Antoni POSPIESZALSKI

Kronika kulturalna

„Życie żyjące w wszechżywej przyjaźni”

(KRASIŃSKIEGO LISTY DO JERZEGO LUBOMIRSKIEGO)

Kiedy w rezultacie znanej awantury w uniwersytecie siedemnastoletni Krasiński musiał wyjechać z Warszawy, w ciągu pierwszych siedmiu tygodni pobytu zagranicą napisał, jak sam obliczył, z górą osiemdziesiąt listów do rodziny i przyjaciół. Ta pasja epistolarna nigdy go już nie miała opuścić. Gnany nerwowym niepokojem stale zmieniał miejsca pobytu. Nie ma w literaturze polskiej drugiego równie koczowniczego pisarza. W tych warunkach potrzebę intymnego kontaktu z bliskimi, podzielenia się z nimi wrażeniami, wywiedzenia się o ich losy, pożalenia się na swoje biedy zaspakał niezmiernym pisaniem listów.

Na wartości tej korespondencji poznano się szybko. Pierwszy jej blok wyszedł drukiem w dwanaście lat po śmierci poety, w r. 1871. I odtąd, z wyjątkiem lat przedpaździernikowych, nie ma dziesięciolecia, które by nie przynosiło nowych tomów listów Krasińskiego. Ale dopiero ogłoszenie w latach trzydziestych trzech tomów *Listów do Delfiny Potockiej* uświadomiło nam wyjątkową cenę tej spuścizny epistolarnej. Listy do Delfiny są bowiem w takim stopniu jak żadne inne spowiedzią i pamiętnikiem. Egzaltowanie kochanej „Beatrice” miały one w długich miesiącach rozłąki stwarzać złudzenie obecności kochanka. Stąd w tych sztafetach miłosnych dzieli się Krasiński z Delfiną wszystkim co dla niego istotne: wrażeniami z lektury, refleksjami politycznymi, sprawozdaniem ze spotkań z ludźmi, filozoficzno-religijnymi spekulacjami. Wszystko to znalazło swój wyraz w prozie czasem drażniącej egzaltacją, nadużyciem superlatywów, ale jakże bezpośredniej, nerwowej, żywej, jak świetnie wprowadzającej w romantyczny klimat, nie mówiąc już o bogactwie jej dokumentarnej informacji. Ileż ostrego światła rzucają one np. na Mickiewicza w Rzymie 1848 roku.

Niektóre strony tej korespondencji to najlepsza proza, jaka wyszła spod pióra Krasińskiego. Najlepsza właśnie dlatego, że nie ma literackiego szlif. Krasiński był boleśnie świadom tego,

że w sposób bardzo niedoskonały panuje nad mową wiązaną. Wymownym i zabawnym świadectwem tego są relacje Odyńca z jego *Listów z podróży* o lekcjach rytmiki, udzielanych Krasińskiemu w Szwajcarii 1830 r. Mimo tych lekcji rytmika jego wierszy jest często rąbana, martwa w swej regularności. I dlatego to, uciekając się z konieczności, zwłaszcza w większych kompozycjach, do mowy niewiązanej, Krasiński na siłę ją „poetyzował”, wpadając jakże często w sztuczność, w monotonię patetyczności. Od tego śmiertelnego grzechu na dobrą sprawę wolna jest tylko *Nieboska*. Ocaliła ją tendencja do zwartości, lakonizmu wypowiedzi.

Otóż proza epistolarna Krasińskiego na odwrót podbija swoją spontanicznością. Często irytuje histerią, naciskaniem wszystkich pedałów z lada błahej przyczyny, czasem wikła się w niepoprawnej składni, nie unika ryzykownych nowotworów, ale przy tym jaka potrafi być żywa, lotna, sprawna, jak bogate są jej rejestry emocjonalne. Pamiętne słowa, jakie napisał do Sołtana na wiadomość o śmierci Mickiewicza, — „on był dla ludzkiego pokolenia i miodem, i mlekiem, i żółcią, i krwią duchową, my z niego wszyscy”, — to chyba najpiękniejsza formuła syntetyczna, w jaką ujęto rolę Mickiewicza w kulturze polskiej. A oto jeden z licznych sądów krytycznych, rozsianych w tej korespondencji, opinia o *Balladynie* z listu do Romana Załuskiego z 13 maja 1840 r.:

„Jest to najpiękniejszy *midsummer-night's dream*, najprześliczniejsza epopea, ale nie homeryczna jak *Pan Tadeusz*, tylko ariostowska, sama z siebie żartująca, pryskająca na wszystkie strony fantasmagorią, kapryśna, swawolna, a zawsze i wszędzie przyciągająca, wijąca się w górę jak Goplana, by się roztopić i zniknąć, aż ci, co patrzyli a teraz już nie widzą nic, tęsknić muszą na zawsze!”

Dlatego to dziś, kiedy uwiędły laury *Przedświtu* i *Psalmsów przyszłości*, coraz wyraźniej widać, że Krasiński wielki pisarz to nade wszystko autor *Nieboskiej* i właśnie listów.

Losy obeszły się z tą korespondencją dość przekornie. Dochoowało się jej dużo, ale niekoniecznie to, na czym by nam najbardziej zależało. Centralne miejsce w *corpus epistolaris* Krasińskiego zajmują listy do Delfiny Potockiej. Otóż z tego olbrzymiego zespołu zdołano wydać przed wybuchem wojny, i to nie bez drastycznych cięć, tylko mniej niż połowę, po rok 1848 włącznie. Reszta zaprzepaściła się w zawierusze wojennej. Szczególnie wiele wolno się też było spodziewać po listach Krasińskiego do ojca, i z racji bardzo niezwykłego stosunku, jaki się ułożył między ojcem a synem, i dlatego że i ojcu Krasiński zwierzał się chętnie. Listy te, nie doczekawszy się wydania, poszły z dymem pożaru Biblioteki Krasińskich. Szczęśliwym trafem zachowała się w odpisie w Krakowie najwcześniejsza ich partia, aż po lato 1832 roku. Te *Listy do ojca* z wzorową precyzją wy-

dał trzy lata temu Pigoń. Bardzo to cenny dokument biograficzny. Ale też ta zachowana partia korespondencji urywa się w momencie, kiedy jej autor ma wszystkiego lat dwadzieścia i sporo z niej to tylko listy do „drogiego Papy” młodego chłopca, który jeszcze nie czuje się w korespondencji pełnoprawnym partnerem. Żaden z tych wczesnych listów nie może się mierzyć z pełną gorzką pasją diatrybą krytyczną na temat polskiej tradycji historycznej z listu do ojca ze stycznia 1836 r., która jest godnym polskim odpowiednikiem sławnego *Listu filozoficznego* i która dochowała się, wydrukowana w monografii Kallenbacha (i przedrukowana przez Pigionia w „Dodatku” jego tomu), czy z subtelnie wycieniowaną, finezyjną charakterystyką psychologiczną przyszłej żony poety, Elizy Branickiej i jej siostry z listu z lata 1841 r., szczęśliwie zachowaną w odpisie i teraz dopiero wydaną.

Poza tym dochowana i ogłoszona dotychczas korespondencja bardzo nierównomiernie rozkłada się chronologicznie. Najwięcej jej z ostatniego dwudziestolecia życia Krasińskiego, zwłaszcza z lat czterdziestych. Był już wtedy znakomitością, sławnym mimo starannie kamuflowanego autorstwa pisarzem, stąd też listy jego zbierano i przechowywano. Z najbardziej twórczych lat młodości takiej dochowanej korespondencji jest dużo mniej. Tutaj po dziś podstawowym źródłem informacji jest wymiana listów z Henry Reeve'm. Jest ona szczególnie cenna nie tylko dlatego, że jest najlepszym wprowadzeniem w Krasińskiego z lat *Nieboskiej*. Jak żaden inny zespół listów ma ona dramatyczny charakter, jest fascynującym dokumentem starcia się dwóch bardzo różnych temperamentów i różnych zasad postępowania. Konflikt ten tym łatwiej nam śledzić, że jest to dwugłos, dochowały się bowiem listy obu przyjaciół-antagonistów. Ogłoszona w języku francuskim z górą sześćdziesiąt lat temu korespondencja ta jest dużo mniej znana, niżby na to zasługiwała, i dobrze się stało, że zapowiedziano wydanie jej przekładu polskiego w opracowaniu St. Treugutta.

Świeżo zaś otrzymaliśmy nowy wielki blok ineditów: tom 232 nieznanych dotychczas listów do Jerzego Lubomirskiego w opracowaniu Zbigniewa Sudolskiego¹.

O istnieniu tej korespondencji prześlakiwano już lat temu bez mała sto z okazji śmierci Lubomirskiego w r. 1872. Jeden z jej listów, którego oryginał jest dziś zagubiony, ogłosił w r. 1912 Gubrynowicz. Ale potem zabawiła się ona z badaczami w chowanego. Nie udało się dotrzeć do niej Wł. T. Wisłockiemu, kiedy przygotowywał swoje studium o Lubomirskim, ogłoszone w roku 1928. Wypłynęła na światło dzienne przy inwentaryzacji, przeprowadzonej w Ossolineum w latach ostatniej wojny. Wypłynęła, aby znowu się zagubić i nie znalazła się wraz ze zbiorami Ossolineum we Wrocławiu. Okazało się, że przez przeoczenie zostawio-

1. Krasiński, *Listy do Jerzego Lubomirskiego*. Opracował i wstępem poprzedził Zbigniew Sudolski, Warszawa, P.I.W., 1965, s. 797 i 3 nl.

no ją we Lwowie, gdzie wreszcie Sudolskiemu udało się ją wytropić. Jeśli się pamięta, że jeszcze trzydzieści lat temu oczyszczano listy Krasińskiego z wszelkich drażliwych materyj, których tutaj jest akurat sporo, to może i dobrze się stało, że dopiero teraz doczekała się druku.

Wydanie opracowane jest bardzo starannie. Wydawcy udało się odcyfrować znakomitą większość aluzyj i kryptogramów. W przypisach hojnie przytacza się bądź ustępy z ogłoszonej już korespondencji Krasińskiego, bądź ze znalezisk rękopiśmiennych Sudolskiego, które rzucają światło na sprawy poruszane w listach. Tom przynosi więcej, niż zapowiada tytuł, bo ma jeszcze bogaty „Aneks”, w którym zamieszczono dwa nieznanne wiersze Krasińskiego, adresowane do Jerzego Lubomirskiego, dwadzieścia listów poety do matki i siostry jego przyjaciela, dwa listy do innych adresatów (tu właśnie znalazł się ów wspomniany wyżej fragment listu do ojca z charakterystyką Elizy Branickiej), trzy listy Jerzego Lubomirskiego do Krasińskiego i wreszcie trochę materiałów rękopiśmiennych, są wśród nich i bardzo cenne, dotyczących ślubu i uroczystości weselnych Krasińskiego oraz jego stanu zdrowia. Wydawca zaopatrzył swoje wydanie nie tylko w staranne indeksy, ale i w calendarium podróży Krasińskiego za ostatnie dwudziestolecie jego życia, objęte korespondencją.

Jak widzimy, uraczono nas hojnie. I jeśli coś można wydawcy zarzucić, to że w komentarzach swoich przedobrzył. W jednym np. z listów (s. 24) Krasiński wspomina babkę Jerzego Lubomirskiego. Wydawca z racji tej przelotnej wzmianki nie tylko informuje nas, że to była ks. Dorota z Jabłonowskich Czartoryska i cytuje, co pisał o niej w swych pamiętnikach gen. Wł. Zamoyński, ale jeszcze częściej nas wiadomościami, za kogo powychodziło zamaż pięć jej córek. Kiedy indziej (s. 530) Krasiński dostarcza poprzez Lubomirskiego informacji jego siostrze o Wandzie Tyszkiewiczównie. W przypisku zaś nie dość że zreferowano nam późniejszą historię matrymonialną tej damy, ale dorzucano jeszcze przy okazji wiadomość, za kogo wyszły zamaż jej siostry. Tego rodzaju informacje nasuwają podejrzenie, że autor traktował swoją publikację jako pretekst do przemycenia w przypiskach namiastki *Złotej księgi szlachty polskiej*. Można by też znakomicie skrócić w przypiskach do poszczególnych listów informację o podróżach Krasińskiego, skoro się opracowało ich calendarium, do którego ciekawy czytelnik może zawsze sięgnąć. Trafiają się też niedociągnięcia w objaśnianiu obcych słów i zwrotów. „Dałem — pisze Krasiński — Ludmili wieczór na wodzie z kwiatami, lampami, lodami, granitem” (s. 28). Do słowa „granitem” mamy komentarz: „Nie wiadomo, co poeta określa tym wyrazem”. Wiadomo: „granita” to po włosku lody owocowe. Na s. 130 mamy następujący cytat francuski, który podają tu dokładnie tak, jak został przytoczony: „M(onsieu)r (wyraz nieczytelny) vous êtes orfèvre”, co objaśniono w przypisku ni w pięć ni w dziewięć „Panie, jest pan jasnowidzem”. Krasiński

władał dobrze francuskim. Napisał on „Monsieur Josse, vous êtes orfèvre”, „jest pan złotnikiem, panie Josse”. Jest to cytat z *Miłości lekarzem* Moliera, który stał się w języku francuskim przysłowiowy w znaczeniu „pan udziela interesujących rad”.

Wszystko to jednak drobiazgi. Dzięki Sudolskiemu otrzymaliśmy listy do Jerzego Lubomirskiego w bogatej oprawie wydawniczej, która świetnie uprzęta przed czytelnikiem trudności lektury i znakomicie ułatwia wyzyskanie sugestyj i nowych informacji, jakie korespondencja ta przynosi.

A są one liczne i różnego rodzaju.

Stosunek do przyjaciół to jedna z najsympatyczniejszych cech charakteru Krasińskiego. Karty jego listów do przyjaciół pełne są serdeczności, troskliwości i uczynności, tym bardziej ujmującej, że nigdy nie natrętnej, zawsze dyskretnej. W ostatnich dwudziestu latach życia Krasińskiego Jerzy Lubomirski stał się najbliższym z jego przyjaciół. Należeli do tej samej klasy społecznej. Obaj byli egzaltowani, nerwowi, amoroso nastroszeni, stąd mający wzajemne pełne zrozumienie dla swoich przygód miłosnych. Raz po raz też w listach Krasińskiego przychodzi do głosu tęsknota za przyjacielem i raz po raz natrafiamy w nich na prośby, błagania, zaklęcia, aby Lubomirski przyjechał spotkać się z nim. Ubrane są one w słowa, których nie powstydziliby się tkliwy kochanek.

Przyjaźń do Lubomirskiego znalazła wyraz nie tylko w listach, ale też i w po raz pierwszy tu ogłoszonych wierszach. Nie wolne od szumnej retoryki, podbijają jednak czytelnika swoją żarliwością. Jeden z nich zatytułowany jest znamienne *Do Orcia*. Lubomirski był o pięć lat młodszy od poety i stosunek Krasińskiego doń nacechowany był początkowo ojcowską opiekuńczością. Drugi z nich to ewokacja wspólnej wycieczki na Sycylię u progu przyjaźni, w r. 1839. Kończy się on takimi akcentami:

*Nie czując ciała, wzrokiem utopieni
W niebo i morze, z anielska prawdziwie
Wpłynęliśmy razem — szczęśliwi, szczęśliwie,
Bo tak miłości porwani nawątem,
Że nam już wszystko było ideałem!
Przyszłość, obecność, wszystkich trafów ścieki
I brzeg, i fala, i ludzie, i wieki!
A nade wszystko naszych obu jaźni
Życie żyjące w wszechżywej przyjaźni!
Pamiętasz?*

Gdybyśmy nie znali nazwiska adresata, gotowi byłibyśmy przypuścić, że to jakiś nieznan wariant *Przedświtu* i że wiersze te adresowane są do Delfiny Potockiej.

O stosunku Lubomirskiego do Krasińskiego wiemy dużo mniej. Ale nie ma wątpliwości, że była to przyjaźń odwzajemniona, równie górna i emfatyczna w wyrazie. „Zygmunt jest moim jeniuszem wieczności”, pisał w r. 1839 w swoim dzienniku.

W r. 1859 przyjechał do Paryża do łóża umierającego przyjaciela i przez trzy tygodnie opiekował się nim. I jemu to konający Krasiński dyktował swoje zwierzenia.

Tak więc listy do Jerzego Lubomirskiego to korespondencja gorąca w temperaturze i intymna. Daje też ona dobry wgląd w życie osobiste Krasińskiego. Natomiast materii intelektualnej, dyskusyj filozoficznych, politycznych i literackich stosunkowo w niej mało, dużo mniej niż w innych blokach korespondencji. Jeśli idzie o politykę, łatwo to zrozumieć. Lubomirski był słowianofilem, zwolennikiem austrosławizmu. Studiował w Pradze, uczestniczył w praskim zjeździe słowiańskim 1848 r., wykonywał dziwną pisownię, wspólną dla wszystkich języków słowiańskich. A Krasińskiemu słowianofilstwo było z gruntu obce. Wyraźnie nie chciał w korespondencji poruszać spraw, które by go musiały dzielić z przyjacielem. Jest w tej korespondencji kilka kwaśnych ale dyskretnych uwag na temat słowianofilskich ciągów Lubomirskiego, a poza tym o sprawy polityczne zahacza Krasiński tylko wtedy, kiedy wie, że przyjaciel jego będzie z nim współgrał. Jedną z tych uwag jest szczególnie zgrzytliwa. Jest to gwałtowny atak na Węgrów z racji wybuchu wojny o niepodległość Węgier w 1848 r.: „Węgry mają w krwi to samo co Moskale — mongolszczyznę! Są tyranami z urodzenia” (s. 662). *Passons*.

Jest też w tej korespondencji sporo martwych miejsc. Krasiński regularnie informował swego przyjaciela o ruchach na szachownicy europejskich stolic i kurortów polskiej arystokratycznej sosjety. Jest tu też dużo, bardzo dużo skarg na choroby. Zna się je na pamięć już z innych listów poety. Wywołuje współczucie przemieszane z irytacją, tak natrętnie domaga się Krasiński współczucia adresata.

Jak każdy hipochondryk, miał on swoje teorie medyczne. Niektóre z nich są przeosobliwe i czyta się je jak relacje o folklorze lekarskim Maorysów. Oto co miał do powiedzenia o grypie:

„Grypa to fatalna choroba, nie własną istotą, ale ciągłością swoją, czasem 6 miesięcy siedzi w organizmie, jak raz się wkradnie doń — niby to już zniknęła, a za lada odmianą powietrza wyskakuje na powrót i dręczy. Tajemne ma ona z hemoroidami związki — hemoroidy ją sobą karmią i utrzymują. — Wiedz o tym” (s. 525).

Sporo miejsca w korespondencji tej zajmuje też osobliwa komedia matrymonialna pod tytułem: Krasiński swatem. Walory jej są nie tylko anegdotyczne. Unaocznia ona szczególnie wyraziście, jak organicznie Krasiński był wrośnięty w swoją sferę, jak bardzo mimo gestów buntu i słów nieraz ostrej krytyki żył w świecie jej pojęć obyczajowych.

W lecie 1841 r. wystosował do Lubomirskiego energiczną epistołę, namawiającą przyjaciela do bogatego ożenku:

„Jerzy,żeń się — oto pierwsze bicza ukręcenie, a żeń

się nie w sobności Twojej, ale przedsobności Twojej kwoli, tj, bogato, potężnie! Małżeństwo miłością nie jest. Inne pole miłości — ja o niej nie śpiewam w tym liście” (s. 94).

Znalazł już dla niego odpowiednią kandydatkę: „16-letnia, śliczna, dowcipna, pełna ruchu i życia — zowie się Katarzyna Branicka. (...) Pamiętaj Jerzy, że Ci dobrze radzę — 8 milionów posagu i śliczne dziewczę”.

Żeby to jeszcze na tej propozycji poprzestał. Ale opakował ją we wzniośle morały, w których najprawdopodobniej trzeba widzieć echa napomnień, z jakimi podówczas szturmował doń jego własny ojciec:

„Słuchaj, o słuchaj tylko słów moich, rozumu mego! Masz dług zaciągnięty u umarłych, z którycheś powstał, a który winienes zapłacić nieurodzonym, którzy z Ciebie powstaną — i to nie mówię li o cielsku tylko, mówię o duchu!” (s. 95).

Lubomirski był nie od tego, zwłaszcza że znajdował się w trudnościach finansowych, ale wszystko rozbijało się o zdecydowaną wrogość matki i obojętność panny. Krasiński długo nie dawał za wygraną, nawoływał do ostrożności w działaniu, do niezrażania się odmowami, piorunował na Branicką, obmyślał dyplomatyczne chody, parował wrogie przyjacielowi plotki. Cała komedia ciągnęła się przez trzy lata. Ostatecznie panna postanowiła innemu konkurentowi pomóc w wywiązaniu się z „długu zaciągniętego u umarłych” oraz obowiązków wobec „ducha” i wyszła za mąż za Adama Potockiego.

O odpowiednią partię dla przyjaciela Krasiński nie przestał się troszczyć i później. W r. 1851 pisał do jego matki: „Tyszkiewiczówna ostatnia już poszła za mąż — z tej więc strony wszystkie upadły zamiary. Jedną już tylko warta jego panna w Polsce pozostała, a tą Iza, córka księcia Adama. Ale trza by w Jerzym pośpiechu, bo inni na nią czyhają” (s. 674). *Weyssenhoffa Soból i panna* to powieść rewolucyjnie śmiała w poglądach na małżeństwo w porównaniu z tymi, jakie tu znalazły sobie wyraz.

Sprawa swatów Katarzyny Branickiej miała dla Krasińskiego jeszcze i inny, bardzo osobisty aspekt. Cytowany wyżej list do Lubomirskiego, w którym po raz pierwszy proponował mu małżeństwo, datowany jest 5 sierpnia 1841 r. W dwa tygodnie później, 20 sierpnia, pisał do ojca o swoim spotkaniu z Elizą i Katarzyną Branickimi. Pisał list ten już wtedy, kiedy wiedział, że ojciec wybrał mu Elizę za żonę. Charakteryzował obie panny. W Elizie cenił „umysł szeroki, pełen powagi, pracy, głębokości”, jej silną wolę i cierpliwość, ale zarzucał jej brak wdzięku, temperamentu, spontaniczności. Kto go naprawdę zainteresował, to młodsza jej siostra, Katarzyna. „Istna Hiszpanka”, pisał o niej,

co było nie lada komplementem, bo na romantycznej giełdzie miłosnej Hiszpanki, głównie dzięki Mérimée'emu, notowane były bardzo wysoko. Dawał do zrozumienia, że panna jest nim zainteresowana. I konkludował:

„(...) ale moją naturę Kasi natura przyciąga. W tamtej nigdy się nie zakocham, choćbym chciał, a rad bym, bo by to zaraz przykrość mego położenia zamieniło w szczęście. W tej zaś mógłbym, choć nie chcę”. (s. 681).

List ten to arcyciekawy dokument psychologiczny. Nie jest on niczym innym jak petycją do ojca: jeśli już mają być miliony Branickich, to dlaczego nie z Kasią? Świadczy ten list, że opór Krasińskiego wobec decyzji ojca był miękki, niż się to potocznie przypuszcza. I świadczy też, że główną przyczyną oporu była nie tyle — jak to się sądzi na podstawie listów do Delfiny! — chęć dochowania wierności ubóstwianej Beatrice, ile po prostu fakt, że kandydatka, wybrana przez ojca, nie podobała mu się.

Jak widzimy, spotkawszy się z pannami Branickimi, Krasiński w pierwszej chwili przejął na siebie wobec Lubomirskiego rolę, jaką ojciec odgrywał wobec niego, i wspaniałomyślnie chciał przyjacielowi narać tę z sióstr, która mu się bardziej podobała. A zaraz potem sugerował ojcu, że jeśli już musi być Branicka, to czemu nie starać się o rękę tej, która jest ładniejsza, żywsza, bardziej przypada mu do serca. Jego imbroglia sercowo-matrimonialne było jeszcze bardziej powikłane, niż się to dotychczas sądziło.

Ostatecznie w dwa lata później, w sierpniu 1843 r., stanął na kobiercu ślubnym z Elizą Branicką. Ślub ten stał się początkiem *ménage à trois*, który skandalizował ludzi i wtedy, i długo potem. Jeszcze dziś brzmi mi w uszach, jak w sali Kopernika Ignacy Chrzanowski grzmiał swym pięknie modulowanym głosem: „Typowe arystokratyczne błoto”. Otóż na historię tego małżeństwa i romans z Delfiną listy do Jerzego Lubomirskiego rzucają snop nowego światła. Rzucają dlatego, że to on przede wszystkim był powiernikiem Krasińskiego w sprawach sercowych.

Lubomirski służy Krasińskiemu jako *postillion d'amour* do Delfiny. Przez niego idą do ukochanej kwiaty, prezenty. Na jednym zwłaszcza, zamówionym zaraz po ślubie z Elizą, Krasińskiemu szczególnie zależy. Jest to bransoletka, składająca się z dwóch krzyżów, dwóch wieńców cierniowych, dwóch gwoździ i z napisem przy szmaragdzie u zapięcia „Na rękę Twoim, co w sercu moim”. Jest z tego pomysłu wyraźnie dumny i nie ma świadomości błazenady takiego rozmieniania na symbolikę miłosno-jubilerską symboli męki Chrystusa.

Lubomirskiemu wywała się też Krasiński na dręczącą go zazdrość. Zazdrość o przeszłość Delfiny, o Chopina, i zazdrość o nowych wielbicieli. Na moment zaczyna podejrzewać także i swego powiernika. Jedyny to zgrzyt w dziejach przyjaźni poza tym,

jak wynika z korespondencji, nie zamęczonej w ciągu dwudziestu lat żadnymi nieporozumieniami. Zazdrość tę Beatrice podsycyła. Korespondencja przynosi nam kapitalną w swym romantycznym sztafażu i mimowolnym komiźmie scenę spotkania z jednym z takich wielbicieli, pół Francuzem, pół Portugalczykiem, markizem Souza-Botelho. Krasiński jest u Delfiny, kiedy markiz przyśła służącego z prośbą o pożyczanie — Dantego. W kilka minut potem zjawia się sam, nie anonowany. Zjawia się bo miał wizję, widział Delfinę w trumnie. Krasiński poczuł się Otellem, ale postanowił się pohamować:

„Uważasz, w pierwszej chwili jak się dowiedziałem, że on tu, zdjęło mnie coś na kształt: „Desdemona, have you prayed to-night”. To trwało z kwadrans, ale ten kwadrans w piekło pamiętany będzie. Pojmujesz przyjęcie mnie Suzą, mnie marzącego od trzech dni raj szczęścia i pokoju, ale Suza wtem nadszedł, wtedy pojąłem, że ją zgubię przed ludźmi tu, jeśli będę gwałtowny. Stałem się najgrzeczniejszym i najzimniejszym człowiekiem. Jezuita trzymał eter w rękę i co chwila zęby nim smarował — nieznośny — nie długo jednak siedział, a diablo się zdziwił mnie widząc, diablo, rękę Ci. Teraz, prawda, ja w jego rękę, ale kpię, bylebym ją ocalił i wyrwał ze splotów tego węża” (s. 141).

Najwięcej nowego korespondencja ta łącznie z materiałami, zebranymi przez Sudolskiego, przynosi do dziejów małżeństwa Krasińskiego. W szczególności w nowym świetle pokazuje żonę jego, Elizę. Na dobrą sprawę dopiero teraz możemy się w niej zorientować. Jest różna od tej, jaką się ją zazwyczaj wyobraża, bardziej skomplikowana. W „Aneksie” przedrukowano jej list do matki z opisem uroczystości, jakimi witano nowożeńców w Opinogórze. Pisany zabawną francuszczyzną arystokratycznych dam („une grace rustique des krakowiaki”, „il leur a rendu leur kwitki”) jest on doskonale konwencjonalny. Gra rolę szczęśliwej panny młodej, zachwyconej splendorami przyjęcia. Ani słowa skargi. Pisze o uznaniu, jakim mąż jej cieszy się w okolicy. Uderzyć tylko musi, że dużo więcej miejsca od męża zajmuje w tym raporcie „le bon beau-père”, gen. Krasiński.

A powodów do skarg by nie brakło. Jak wiadomo, Krasiński nie krył się początkowo z okazywaniem żonie niechęci. W listach do Delfiny, pisanych już po ślubie, nazywał ją „ta panna”. Określenie to pojawia się i tutaj, w listach do Lubomirskiego. W miesiąc po ślubie umarł nagle ojciec Elizy. Krasiński donosi przyjacielowi, że nawet w takiej sytuacji nie może się zdobyć na powiedzenie żonie słowa pociechy i żąda współczucia — dla siebie: „sądź, co to musi być za okropne położenie moje”. Ale mimo tej niechęci nie zapomina o „długu zaciągniętym u umarłych”. W rok po ślubie przychodzi na świat pierwsze dziecko.

Eliza postanowiła robić dobrą minę do bardzo złej gry. Starała się zdobyć męża powolnością, zgodą na kontynuowanie ro-

mansu z Delfiną. Sama nawiązuje z nią kontakt. I taktyka ta przynosi owoce. Akcenty niechęci w listach znikają. Poeta zaczyna pisać o niej z respektem.

Z końcem 1845 r. Krasiński jedzie na dłuższy pobyt do Nicei, do Delfiny. Żona wybiera się w tę podróż z nim, godząc się na jakże upokarzającą sytuację. Ale wyjeżdża, ukrywając przed mężem, że jest znów w ciąży. Chciała wyraźnie zademonstrować wobec męzowskiej *maitresse en titre*, że jest żoną nie od parady. Kiedy ciąża się wykrywa, Krasiński jest przerażony i żali się przyjacielowi na swój los:

„Od 7-miu miesięcy kryła Eliza, że znów ma powić dziecię. Dopiero to się wykryło w tych dniach jej wyznaniem! Pojmiesz, że skała padająca mi na głowę, mniej by mnie bólu sprawiła. Pojmiesz, jak mi źle!” (s. 413).

Na dwa tygodnie przed rozwiązaniem Delfina wyjeżdża do Nicei, odprowadzana przez Krasińskiego do Cannes. Tak Eliza Krasińska odniosła swój pierwszy tryumf nad groźną rywalką.

Choć obie panie starały się być wobec siebie uprzejme, a nawet udawały serdeczność, taki pobyt we troje dla nikogo nie byłby rzeczą łatwą, co dopiero dla człowieka o wrażliwości Krasińskiego. Buntuje się Delfina, obrzuca kochanka „obelgami i skargami”, zapada „w stany ducha (...) piekielne”. A i Elizie granie jej roli nie przychodziło łatwo. Jeden z następnych listów z Nicei z wiadomością o chrzcie dziecka przynosi następujące wyznanie:

„Eliza już wstaje i chodzić zaczyna. Od dni pięciu słowam jednego nie wyrzekł do niej i ona też zaczyna zapadać w melancholię. Zabijaliśmy się nawzajem od lat trzech na wszystkie sposoby i jakżeż nie mieliśmy się zabić — dziwi mi tylko, żeśmy tak długo konali!” (s. 427).

W jednym z następnych listów znowu czytamy, że Eliza „co raz chorsza na nerwy i smętniejsza na duchu”. Nieszczęśliwe pożycie małżeńskie staje się tematem plotek towarzyskich. Ojciec się gniewa.

Dopiero na takim tle nabiera właściwej wymowy wstrząsająca scena, opisana w liście z 28 lutego 1847 r. Przeczytawszy w jednym z francuskich pism artykuł o zażywaniu eteru, postanowił spróbować takiego doświadczenia na sobie. Zrobiło ono na nim wielkie wrażenie. Zdawało mu się, że przeżywa proces własnego umierania. A śmierć zawsze go fascynowała. Jeden to z centralnych motywów jego twórczości. Kiedy zaś przekonał się, iż doświadczenie to nie pozostawiło po sobie przykrych następstw, w trzy dni później postanowił ponowić je. Zrobił to w obecności Elizy. Gdy już wwąchał swoją porcję eteru, zaczął krzykiem wzywać śmierci, aby go zabrała, a potem wymyślać śmierci od tchórzów, że nie przychodzi. Było w tym sporo pozerstwa, właś-

nie dlatego że było to już drugie doświadczenie, kiedy doskonale wiedział, co tu wchodzi w grę, i że odbyło się przy świadku.

A świadek?

„Eliza, która przytomna (tj. obecna) była, zaczęła szlochać i Boga na kolanach prosić, by mi dał, czego chcę, by mi śmierć dał” (s. 454-455).

Krasiński prosto wytłumaczył sobie reakcję żony: była tak pod sugestią jego słów, że zahipnotyzowana nimi po prostu stała się tylko echem jego życzeń. Nie zrozumiał, na szczęście, strasznej wymowy tej sceny, tego że żona modli się o jego śmierć.

A może i miał pewne wątpliwości? O tych swoich doświadczeniach z eterem bowiem po krótko pisał do szeregu przyjaciół. Obszernie opisał je jeszcze tylko Delfinie. Obszernie i bardzo górnio: „W takich to stanach duszy pewno prorokowali prorocy”. Ale niesamowitą reakcję żony wolał w liście do Delfiny przemilczeć, choć wspomniał ją też, pisząc do Stanisława Koźmiana.

Na śmierć męża przyszło Elizie czekać jeszcze dwanaście lat. Krasiński w ciągu tych lat zdążył się rozczarować do Delfiny. Muza Chopina i Beatrice *Przedświtu* stała się z kolei natchnieniem malarza, Delaroché'a. Atrybuty anielicy, kobiety-ideału i kobiety-przewodnika przelał teraz rozgoryczony poeta z Delfiny na żonę. W późnym, z 1857 r., wierszu *Do mojej Elizy* kajał się:

*A jednak w niwecz przemarniłem życie
Dlatego tylko, że nie kochał ciebie.*

Górny i szumny to wiersz. Pani Krasińska jest tu przyrównana do Dziewicy Orleańskiej. Autor zwraca się do niej:

*O bądź mi odtąd przewodniczką bytu!
O bądź mi odtąd piękna ideałem!
Truciznym życia napił się do sytu,
A za to tylko że cię nie kochałem!*

Prościej — i mocniej — wyraził to samo w wyznaniu, podyktowanym Lubomirskiemu na niecałe dwa tygodnie przed śmiercią, 11 lutego 1859 r.:

„Głupi, zmarnowałem życia połowę, najlepszą straciłem, zużyłem siły, duszę i zdrowie na to, by fałsz, próżność i pychę znaleźć tam, gdzie widziałem anioła, a miałem tego właśnie przy sobie i pod boki moim, i zapoznałem go, aż nareście odkryć go musiałem!!!

Tak jest, Jerzy, i takim aniołem jest Eliza” (s. 630).

Promowana na anioła i muzę wierszem oraz prozą Eliza Krasińska ten dyplom na anielicę szybko po śmierci męża zwróciła. Wiosną 1860 r. wysłała ponownie zamąż za Ludwika Krasiń-

skiego ze starszej linii Krasińskich, ale młodszego od niej o lat trzynaście (liczył sobie w momencie ślubu lat 27), dzielnego gospodarza i zamiłowanego hodowcę koni. W ostatnich miesiącach życia poety Ludwik Krasiński objął w zarząd jego majątki. Wiadomo też, że otrzymał on wtedy od poety kilka listów w „tonie stanowczym”. Sudolski notuje w związku z tym przypuszczenie, że listy te dotyczyły nawiązującego się romansu Elizy i Ludwika Krasińskich. Naturalniej — i miłosierniej — będzie przyjąć, że listy te miały za temat jakieś nieporozumienia natury gospodarczej i że Krasiński o nawiązującym się romansie jego żony z zarządcą jego majątków (o ile romans taki w ogóle już wówczas się nawiązywał) nic do śmierci nie wiedział.

Przyjaciele poety byli oburzeni zamążpójściem wdowy, i to tak rychłym. Sudolski przytacza list do Lubomirskiego Włodzimierza Czackiego, późniejszego kardynała. Jak byśmy Krasińskiego samego z za grobu słyszeli! Ta sama fortissimo liryczna i patetyczna proza:

„Co za smutek okropny musiał pozostałych wiernych Bogu schwycić z upadkiem aniołów strąconych! Taki dziś nas rozdziera! Ta, co aniołem przez lat 15 była wniebowziętemu naszemu, już aniołem w nas nie jest. Ze szczytu piękna i prawdy zapadła w otchłań brzydoty i fałszu! Stało się więc! Jest już Ludwikową” (s. 632).

Tryumfowała Delfina Potocka.

Wiktor WEINTRAUB

Viva poesia y poesia

Nie mieliśmy do niedawna pisma poświęconego całkowicie poezji. Teraz, jak przystało na naród w diasporze, mamy nagle dwa: miesięcznik *Poezja*, który od grudnia ub.r. wychodzi w Warszawie i kwartalnik *Oficyna Poetów*, którego pierwszy numer ukazał się w Londynie w maju. Oba wydawnictwa mają zresztą długą historię: projekt *Poezji* przewijał się przez komitety partyjne przez kilka lat; zanim doszło do druku *Oficyny*, zbierano materiały dla *Metafory* (jak sama nazwa wskazuje, miał to być organ białogwardzistów awangardowych na emigracji), potem zapowiedziano *XX Wiek*, ale skończyło się na poezji.

Do redakcji *Poezji* weszło dwóch poetów i eseistów starszego pokolenia (Przyboś, Międzyrzecki), czterech poetów średniego i młodszego pokolenia (Karpowicz, Herbert, Buczkówna, Grześczak), jeden krytyk literacki (Ro-

goziński), a stanowisko redaktora naczelnego objął znany polonista Jan Zygmunt Jakubowski. Odpowiednio szeroki zakres mają materiały, jakie ukazały się dotychczas w ośmiu numerach: wiersze od Jastruna, Sterna i Zagórskiego po debiuty Jana Salamona i Rafała Wojaczka; przekłady z poezji francuskiej, amerykańskiej, greckiej, hiszpańskiej i inn., eseje o wybranych zagadnieniach w poezji Kochanowskiego, Szarzyńskiego, Norwida, artykuły dyskusyjne o poetyce współczesnej; także obszerny dział informacyjny not i recenzji.

Poezja zapowiada się na stateczne, zbalansowane pismo zawodowe poetów, którego byt jest zapewniony na długie lata. Czy dobrze jest, że poeci dostali „swoje” pismo? Kto je prócz samych poetów i polonistów będzie czytał? Nie zaszkodzi chyba jednak, jeśli takie zawodowe wydawnictwo uswiadomi aspirującym poetom i ogółowi czytelników, że poezja jest nie tylko kwestią natchnienia (każdy, kto pisze, wierzy, że jest natchniony), ale że jest też rzemiosłem, umiejętnością, techniką. Poeci ze swej strony winni nie dać się uwieść przekonaniu, że poezja jest zawodem jak architektura czy prawo — w kraju, w którym literatom przysługują etaty na równi z przedstawicielami innych zawodów o taką pomyłkę nie trudno — i nadal ogłaszać będą swoje utwory w innych pismach. Zresztą, dlaczego nawet ograniczać się do fachowych organów tradycyjnej kultury humanistycznej? Po kilka wierszy (nie więcej!) w periodykach poświęconych astrofizyce, buchalterii czy agronomii, pomogłoby poezji zawitać pod strzechy.

W przeciwieństwie do *Poezji*, solidnie mieszczańskiej firmy, po której nie można spodziewać się skandali i rewolucji, *Oficyna Poetów* robi wrażenie obrazoburczego, skrajnie nowatorskiego organu czołówki artystycznej. Nie ma tu starannie dobranej ciała redakcyjnego. Ba, nie wiadomo nawet kim jest redaktor naczelny! Może go w ogóle nie ma? Materiał w pierwszym numerze robi trochę wrażenie, jakby był wysypany z worka.

Numer prezentuje czterech poetów (Iwaniuka, Leszczę, Ławrynowicza, Chabrowskiego), ale tylko trzech zaszczytzeni zostali notą bio-bibliograficzną; dwie noty są czysto sprawozdawcze, ale trzecia podkreśla, że autor ogłasza „celne artykuły”, że „dał się poznać... szeregiem znakomitych tłumaczeń”. Bardzo niechlujna jest korekta i opracowanie techniczne artykułu Jolanty Zielińskiej.

Może najciekawiej wypadły wiersze Leszczy, który walczy z polską mitologią i martyrologią („dobosz”, „piosenka wiarusa”) i opiewa odpompatyczną, groteskową nieco rzeczywistość w „przepisie na kiszienie ogórków”:

módlmy się
do kiszzonego ogórka
o zdrowie

.....
kiedy w łóżku
na gwoździach
kwili zmęczony ból

kiedy śni się
kwaśna dola
pełna jelit kiszonych ogórków

kiedy dopiero
zaczyna się misterium
fermentacji

Wiersze jego zyskałyby jednak na efektywności, gdyby je poddał ostrzejszej redakcji i więcej uwagi poświęcił oszlifowaniu dość surowego materiału.

W wierszu Ławrynowicza dedykowanym Jurkowi S. (Sicie?) czytamy:

młodość
pamiętaj
także ma swój koniec

opuść
stęchłe pokoje
i uroczystych błaznów

.....
nie chodź
do dżungli świata

rozszarpią cię
tygrysy

strzępów nikt
nie rozpozna

powiedzą
umarł

Trudno jest dziś otworzyć pismo emigracyjne, w którym nie byłoby wierszy O. Chabrowskiego. Zazwyczaj jest to nieobowiązujące ćwierkanie w rodzaju

po długich nocach i wstrząsach wiosny
doleciały ptaki z poprzedniego lata
słońce łukiem na środek stawu
róże z poprzedniego czerwca
w ogrodzie przekwita biały bez

ale zdarza się też interesujący wiersz jak „Oberwanie słońca” czy „Światowid” — cóż, kiedy ten ostatni czytaliśmy już w *Kulturze* dwa lata temu!

Z prozy najambitniejszą pozycją w *Oficynie* jest „Norwid i Hopkins” Zielińskiej i dlatego tym dobitniej kompromituje całe pismo i dowodzi wspomnianej już opieszałości redakcji: takie dzieło nie przeszłoby w *Poezji*. Jak można się domyślać z licznych odnośników do uczonych prac i znanych autorów, autorka przestudiowała twórczość Hopkinsa i literaturę o nim, ale nie może dać sobie z tym materiałem rady i sama nie bardzo wie, do kogo swe uwagi skierować. Najpierw więc uderza w ton *Wiadomości* i hollywoodskich życiorysów „wielkich artystów”: „Mały Gerard Manley (Hopkins), chłopiec wąty i delikatny liczył pięć lat, kiedy dwudziestosiedmioletni Cyprian Gerard (Norwid) przybywa do Paryża, aby studiować i tworzyć — pisać, rysować i rzeźbić — w ośrodku ówczesnej kultury europejskiej”. Wtra-

ca żenujące apologie dla zaspokojenia obaw maluczkich, którzy w poezji Hopkinsa i Norwida mogą się zgubić. A więc „styl Hopkinsa niewątpliwie wymaga od czytelnika uwagi i przykuwa uwagę”, „poezja Norwida wymaga twórczego współdziałania z autorem”; i wreszcie „ktoś złośliwy mógłby wyszukać przykładowe fragmenty z obu autorów i pytać, który z nich jest bardziej skandalicznie niezrozumiały”. Owszem, mógłby.

Podobne frazesy spotykamy, gdy w swym gimnazjalnym wypracowaniu autorka porównuje Norwida i Hopkinsa. Informuje więc że „jest u obu poetów duży ładunek zarówno uczuciowy jak myślowy”, że „to poeci-myśliciele”, stwierdza trochę nieporadnie że „u obu poetów znajdujemy asentymentalizm, ale żarliwość uczucia”, i wreszcie rewelacja: „u obu życie osobiste znajduje wyraz w twórczości”. Autorka szafuje również spozrzeniami o „lirycie intelektualnej”, „filozofii”, „moralności”, „epistemologii”, ale w żaden sposób ich nie uzasadnia. Poezję o „dużym ładunku myślowym” tworzono na długo przed XIX w. i samo stwierdzenie znanego powszechnie faktu, że Hopkins i Norwid pisali podobnie, nie jest interesujące: takie rzeczy można tylko pokazać drogą dość wyczerpującej analizy, na którą należało znaleźć miejsce w artykule liczącym ok. 6.500 słów w kwartalniku poświęconym bądź co bądź poezji i jej zagadnieniom.

Jeżeli praca Zielińskiej nie udaje się ani jako popularny felieton ani jako esej krytyczny, nie przedstawia ona też niestety jakiejś szczególnej wartości naukowej, gdyż mimo aparatu naukowego, którym się afizuje, autorka okazuje niechlujstwo i zwykłą ignorancję. Cytuje więc fragment *Promethidionu* (bez podania źródła i jakby to był cytat prozą) na dowód, że Norwid „dzielił z Hopkinsem uwielbienie dla muzyki”. Tymczasem Norwid włożył te słowa w usta człowieka, którego stosunek do muzyki potępia jako płytki i nieprzemyślany. Zielińska pisze „Zauważono już podobieństwa w stylu poetyckim Norwida i Eliota, ale są oczywiście i inne analogie. Norwid, Eliot i Hopkins dostrzegają niewspółmierność między rozwojem cywilizacji a zakresem i poziomem reakcji moralnych”. Owszem, te inne analogie już też zauważono (por. *Norwid Żywy* (1962) str. 125-126). Zielińska zdaje się też nie wiedzieć, że Hopkins jest reprezentowany w antologii Mayewskiego pt. *Czas niepokoju* (1958).

Ale prawdziwą gaffą jest oczywista nieznajomość eseju dra Pietrkiewicza „Introducing Norwid” w *Slavonic Review*, w którym autor starał się zaprezentować Anglikom poetykę Norwida poprzez analogię z twórczością Hopkinsa. A więc temat, który pokrywa się prawie bez reszty z pracą Zielińskiej, mając jednak tę wyraźną przewagę, że nie ogranicza się do ogólników („Norwid, jak Hopkins, odrzuca szablon i łatwizny”) pod które podciągając można każdego godnego uwagi poetę, lecz próbuje wyłowić istotne punkty styczności obu poetów.

Redakcja *Oficyny Poetów* będzie musiała włożyć wiele wysiłku, aby dojść do poziomu *Poezji*. Pewne rzeczy są oczywiście ponad siły *Oficyny*: nie ma biura przyjęć, nie ma sekretarek, nie ma pensji dla komitetu redakcyjnego, nie ma szczodrych honorariów dla autorów, nie ma budżetu, który pozwalałby jej wypuszczać co miesiąc sto stron druku. Ale właśnie dlatego, że *Oficina* nie jest instytucją powołaną do życia dekretem rządu, lecz jeszcze jednym osiągnięciem tej zasłużonej dla poezji londyńskiej placówki wydawniczej, winna okazać większą swobodę inicjatywy, winna wprowadzać ferment, eksperymentować. *Wiadomości* są od dawna przytulkiem dla emigra-

ejnych grafomanów, Zbigniew Grabowski nie zdradza zainteresowania twórczością poetycką, które cechowało poprzednich redaktorów *Kontynentów*. W tych warunkach na *Oficyne* spada obowiązek świecenia przykładem. Ale pisma nie robią się same. Bednarczykowie wzięli na siebie dużą odpowiedzialność: dalsze numery ich kwartalnika pokażą, czy zdają sobie oni dostatecznie z tego sprawę.

(jot)

Komunikaty

Do

p. Prezydenta Augusta Zaleskiego, p. Generała Władysława Andersa, p. Generała Tadeusza Bora-Komorowskiego, p. Ambasadora Edwarda Raczyńskiego i przedstawicieli polskich ugrupowań politycznych na obczyźnie!

P E T Y C J A

ZWAŻYWSZY,

że niewola Narodu pod obcym jarzmem stanowi naszą najgłębszą troskę, i że naczelnym naszym nakazem wobec Ojczyzny jest nieustanne domaganie się wszelkimi dostępnymi drogami przywrócenia Polsce, przyznawanych dzisiaj wszystkim ludom, a nawet pierwotnym szczerom, podstawowych praw człowieka i prawa samostanowienia o własnym ustroju społecznym i państwowym;

że rozdzwięk, trwający od kilkunastu lat, w Kierownictwie wolnej części Narodu na obczyźnie, który mimo, że nie podaje w wątpliwość jedności zasad i wspólnego celu, wyrządza całemu społeczeństwu wielką krzywdę, bo utrudnia mu zjednoczenie wszystkich swych sił, wartości i wpływów, dla akcji niepodległościowej;

W imię morza krwi polskiej, przelanej na całym świecie za wolność i wiarę;

W imię Narodu, pozbawionego wolności słowa i wobec obojętności świata na jego prześladowanie, wzywamy naszych przedstawicieli do puszczenia w niepamięć wszelkich nieporozumień i zaniechania sporów, wynikłych z różnic formalnych dowolnej wykładni Konstytucji w okolicznościach, których nie można było przewidzieć;

ODWOŁUJEMY się

do p. Prezydenta Zaleskiego, p. Generała Andersa, p. Generała Bora-Komorowskiego i p. Ambasadora Raczyńskiego z pełnym zaufaniem, że świadomości swej odpowiedzialności przed społecznością polską na obczyźnie i całym Narodem, nie dopuszczą, aby drugie Tysiąclecie naszego chrześcijaństwa i dziejów Rzeczypospolitej, rozpoczęło się w wewnętrznej rozterce i wzajemnej nieufności i, idąc za tradycjami 3 Maja, w oparciu na całym społeczeństwie,

dokonają upragnionego powszechnie pojednania i zjednoczenia wszystkich naszych poczynań we wspólnej, zgodnej służbie dla Polski.

(—) Aleksander Dzieduszycki (—) Janina Melichar
(—) Wiktor Poznański (—) Józef Wysocki
(—) Stefan Zamojski

W nadziei, że powyższa petycja jest zgodna z wolą i życzeniem całego społeczeństwa, przedkładamy ją z prośbą o poparcie przez złożenie własnego i zebranie dalszych podpisów, oraz zwrot pod adresem:

SEKRETARIAT PETYCJI,
167, ROYSTON COURT, KENSINGTON PLACE, LONDON, W.8.

APEL BIBLIOTEKI POLSKIEJ W LONDYNIE

Biblioteka Polska w Londynie prowadzi od r. 1945 rejestrację wydawnictw polskich i dotyczących Polski ogłoszonych poza Krajem po dn. 1. IX. 1939. Wyniki tej rejestracji ogłaszane są w bibliografii emigracyjnej, której trzy wydane dotąd tomy przyniosły opisy 13920 druków z lat 1939-1963.

Biblioteka stara się o egzemplarze opisywanych druków i gromadzi je w oddzielnym księgozborze udostępnianym tylko i wyłącznie w naukowej Czytelnicy Biblioteki. Obejmuje on około 80% wydawnictw objętych rejestracją tj. ponad 10.000 tytułów.

Równoległe gromadzone są wydawnictwa periodyczne i seryjne, a więc dzienniki, tygodniki, miesięczniki, kwartalniki, roczniki, kalendarze oraz druki ulotne (odezwy) oraz tzw. dokumenty życia społecznego (sprawozdania, statuty i tp.). Biblioteka gromadzi zarówno druki w ścisłym znaczeniu tego słowa jak i wydawnictwa powielane, kierując się przekonaniem, że będą one cennym materiałem naukowym lub socjologicznym dla przyszłych historyków naszych czasów.

Interesują ją również wszelkie wydawnictwa ogłoszone przez Polaków w językach obcych oraz przekłady z jęz. polskiego a nadto tzw. polonica (druki dotyczące Polski lub Polaków).

Mimo usilnych starań część wydawniczej produkcji Emigracji wymyka się rejestracji bibliograficznej. Dotyczy to w szczególności wydawnictw ogłaszanych przez organizacje społeczne i kulturalne a przeznaczonych dla określonej grupy odbiorców, a więc np. kół pułkowych, drużyn harcerek, wychowanków szkół, mieszkańców pewnego obszaru, parafian pewnej określonej parafii i tp.

Kierowani troską o gromadzenie pełnej dokumentacji naszych czasów, zwracamy się z prośbą o przekazywanie do zbiorów Biblioteki wydawnictw będących świadectwem aktywności Emigracji we wszelkich dziedzinach i na wszelkich poziomach — od popularnych do czysto naukowych.

Prośba ta dotyczy zarówno wydawnictw ukazujących się obecnie, jak i dawniejszych, zwłaszcza z okresu wojennego. Interesują nas w szczególności wydawnictwa wojskowe i kombatanckie z całego świata, w tym: gazetki obozowe, jednodniówki, odezwy i tp. Jak wynika z ogłoszonego przez Bibliotekę katalogu czasopism w wielu wypadkach dochowały się tylko luźne numery pism, które ukazywały się przez czas dłuższy na Bliskim Wschodzie, w Niemczech czy nawet w obozach na terenie W. Brytanii. Interesują nas przeto nawet luźne numery czasopism rzadszych.

Dla uniknięcia zapytań podajemy, iż Biblioteka posiada pełne komplety

czasopism takich jak „Dziennik Polski”, „Polska Walcząca”, „Skrzydła”, „Wiadomości”, „Orzeł Biały”, „Kultura”, „Myśl Polska”, „Robotnik” (londyński). Poważne braki wykazują natomiast roczniki „Polaka w Indiach”, „Dziennika Żołnierza” (wyd. w Szkocji), „Parady”, „Listów z Londynu”, „Jestem Polakiem” i tp.

Wszelkie dary kwituje się odwrotnie i po skatalogowaniu udostępnia w Czytelnicy Naukowej. Pełne roczniki czasopism są w miarę możliwości budżetowych oddawane do oprawy. Racjonalnie ogrzewane magazyny zapewniają właściwe warunki przechowania zbiorów.

Przesyłki i korespondencję kierować należy na adres: The Polish Library, 9, Princes Gardens, London, S.W.7.

POLSKI INSTYTUT NAUKOWY

Dnia 30 kwietnia 1966 r. odbyło się Walne Zebranie Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Yorku, na którym wybrano Zarząd w następującym składzie:

Prof. Teodor Abel
Prof. Zbigniew Brzeziński
Dr Jan Fryling
Prof. Mieczysław Giergielewicz
Prof. Feliks Gross
p. Aleksander Janta

Prof. Jerzy Krzywicki
Prof. Ludwik Krzyżanowski
Prof. Stanisław Mrozowski
p. Rudolf Rathaus
Prof. Tadeusz Romer
Inż. Damian Wandycza

Spośród wybranych do Zarządu — Walne Zebranie wybrało:
na Prezesa Instytutu: Profesora Stanisława Mrozowskiego
na Wice-Prezesa: Profesora Feliksa Grossa

Walne Zebranie powołało również Radę Instytutu w osobach:
Amb. Jan Ciechanowski p. Jan Librach
Inż. G. J. Damsz Prof. Roman Michałowski
p. Wiesław Domaniewski Inż. Tadeusz Sendzimir
Prof. Teodor Domaradzki p. Wanda Stachiewiczowa
Prof. Walter Drzewieniecki Prof. Wienczystaw Wagner
Dr Aleksander Korczyński p. Józef Wittlin
Prof. Ludwik Kos-Rabcewicz Prof. Bogdan Zaborski
Zubkowski Dr Bernard Ziffer
Prof. Arnold Zureher

Na I-szym posiedzeniu Zarządu, w dniu 20 maja br. wybrano:
na Dyrektora Instytutu: Inż. Damiana Wandycza
na Sekretarza Generalnego: Profesora Ludwika Krzyżanowskiego
na Skarbnika: Profesora Teodora Abła
Wyżej wymienieni, wraz z Prezesem i Wice-Prezesem oraz delegatem Zarządu, w osobie dra Jana Frylinga, stanowią Komitet Wykonawczy.
Wybrano również Komisję Nominacyjną w składzie:
Prof. Daniel Buczek
Prof. Wacław Jędrzejewicz
Dr Bernard Ziffer
Redaktorem kwartalnika Instytutu Naukowego: THE POLISH REVIEW został ponownie Prof. Ludwik Krzyżanowski.

ŚWIATOWY KONKURS DLA DZIECI I MŁODZIEŻY NA PRACE MALARSKIE, RYSUNKOWE, GRAFICZNE I WYCINANKI — 1965/1966

Konkurs Światowy dla Dzieci i Młodzieży Polskiej poza Krajem na rysunki, malarstwo, grafikę, wycinanki oraz inne prace zorganizowany przez Polską YMCA zgromadził 458 prac, nadesłanych przez 304 uczestników z Brazylii, Kanady, Konga, Nowej Zelandii, Australii, Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch, San Marino i Stanów Zjednoczonych.

Sąd konkursowy wyróżnił i nagroził prace w trzech grupach. Za prace wybitne w pierwszej grupie na temat prozy i poezji pisarzy polskich nagrodzeni zostali: *Ewa Sekalska* z Australii, *Krystyna Somkiewicz* z Londynu i *Tomek Ziarski* ze Szkocji. W grupie tej wyróżniono prace *Wandy Chmiel* z Australii, *Henia Ciesielskiego* z Nowej Zelandii, *Ewy Czajor* z Australii, *Leszka Syskiego* z USA i *Ani Ziolkowskiej* z Anglii. W grupie II, prac na tematy związane z Milenium Polski Chrześcijańskiej za prace wybitne otrzymali nagrody: *Krystyna Somkiewicz* z Londynu, *Leszek* i *Witold Syscy* z USA; wyróżniono zaś prace: *Jana Zubrzyckiego* — Australia, *Basi Cichońskiej* — Londyn, *Luizy Świrszczyńskiej* — Republika San Marino i *M. Sztumpfa*, *W. Kulikowskiego*, *A. Wiejaka*, *T. Perzynskiego*, *A. Fenglera*, *A. Pszkita*, *M. Emisarskiego*, *R. Górniewicza*, *A. Lipińskiego*, *E. Kryszczyka* z Anglii oraz *J. Solaciuka* z Nowej Zelandii.

Sąd konkursowy postanowił utworzyć trzecią, odrębną grupę prac na tematy dowolne; w niej *Witold Zahorski* z Włoch otrzymał nagrodę za prace wybitne z podkreśleniem wyjątkowego poziomu, zaś prace nagrodzone wykonali: *A. Leśniewski*, *W. Lisicki*, *P. Krochmalcki* i *P. Dyrzynda* z Anglii, wyróżniono zaś prace: *M. Sobczaka*, *W. Milewskiego*, *W. Sztumpfa*, *K. Kubińskiego* i *S. M. Finna* z Anglii.

Za udział w Konkursie każdy uczestnik otrzyma pamiątkowy dyplom.

Z nadesłanych prac sąd konkursowy wybrał 213 na wystawę. W dniu 5 czerwca br. w sali Polskiej YMCA w Londynie prof. Marian Bohusz-Szyszko dokonał otwarcia wystawy selekcyjnej prac; w imieniu jury mgr. Ludwik Bojczuk ogłosił wyniki konkursu oraz omówił charakter prac i zapowiedział w imieniu organizatorów, że po zakończeniu wystawy w Londynie prace zostaną wysłane do Szkocji, Francji, USA i Kanady.

Całość materiału nadesłanego na konkurs udostępniona zostanie do badań pedagogicznych i socjologicznych.

NOWY ZARZĄD ZWIĄZKU PISARZY POLSKICH NA OBCZYŹNIE

W roku 1966-67 skład Zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie przedstawia się następująco:

Prezes — Zygmunt Bohusz-Szyszko.

Wice-Prezisi: Władysław Guenter (sprawy wydawnicze) i Teodozja Lisiewicz.

Sekretarze: Barbara Mękarska-Kozłowska i Krzysztof Rowiński.

Skarbnik — Franciszek Wysłouch.

Redaktor biuletynu Zw. P. — (wydawany będzie 3-4 razy do roku) — Zygmunt Kotkowski.

Referat prasowy i organizacja wieczorów literackich i dyskusyjnych — Stefan Legeżyński i Jan Ostrowski.

Opieka i pomoc koleżeńska — Adolf Fierla.

Komisja Rewizyjna — Józef Bujnowski, Józef Garliński i Józef Żywina.
Sąd Koleżeński — Aleksander Bregman, Marian Kukiel, Mieczysław Lisiewicz, Juliusz Sakowski, Napoleon Sądek i Ignacy Wieniewski.
Delegaci Zagraniczni — Aleksander Janta-Pończyński w Stanach Zj., Aleksander Grobicki w Kanadzie, prof. Z. Zaleski we Francji i Jerzy Woszczyznin w Argentynie (na Amerykę Połudn.).



KOMUNIKAT INSTYTUTU HISTORII

Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk zwraca się z prośbą do osób posiadających materiały archiwalne, druki ulotne, prasę, wspomnienia i materiały ikonograficzne dotyczące sytuacji ludności w czasie Powstania Warszawskiego o udostępnienie wspomnianych materiałów Instytutowi.

Materiały te Instytut Historii pragnie wykorzystać do przygotowywanej publikacji na temat udziału ludności cywilnej Warszawy w Powstaniu 1944 r.

Osoby zainteresowane proszone są o skontaktowanie się z Zakładem II Wojny Światowej Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk — Warszawa, Rynek Starego Miasta 29, tel. 31-02-61.

(Komunikat ten przedrukujemy z prasy krajowej. Redakcja)

Książki

„Lewa wolna”

NOWA POWIEŚĆ JÓZEFA MACKIEWICZA
OD STRONY PISARSKIEGO RZEMIOSŁA

I tak oto krzyżowały się wzajemnie drogi pułków, dywizji, piechoty i kawalerii, drogi dalekich i bliskich, znajomych i krewnych, byłych sąsiadów i rodzonych braci. Przeważnie w gęstym тумanie kurzu wzbitym kopytami koni.

Cytat z „Lewej wolnej”.

1.

Czy Mackiewiczowi uda się to, co nie udało się Tołstojowi w „Wojnie i pokoju” — oto pytanie, jakie zadawałem sobie, przystępując do czytania potężnego tomu „Lewej wolnej”. Wiedziałem już z relacji tych, co czytali tę powieść, że Mackiewicz przeplata w niej akcję powieściową rozdziałami historyczno-politycznymi, w których rozprawia się z Piłsudskim za przyłożenie ręki do zwycięstwa czerwonej Rosji nad białą — podobnie jak Tołstoj rozprawiał się w „Wojnie i pokoju” z kultem Napoleona i poglądami na kampanię 1812 r. Ale nawet genialny Tołstoj obciążył lot drugiej części swojej rosyjskiej epepeii takim wtargnięciem rezonerstwa do toku powieści. Jak poradził sobie z tą sprawą Mackiewicz?

Tendencja do łączenia czystej sztuki powieściowej z publicystyką nie jest u Mackiewicza zjawiskiem nowym ani niespodziewanym. W jego piarstwie można było od początku wyróżnić te dwa nurty: dziennikarsko-publicystyczny i twórczy. Mackiewicz zaczął od dziennikarstwa. Paweł z „Drogi donikąd”, trochę sobowtór autora, był dziennikarzem. I cała „Droga donikąd” jest w pewnym stopniu, nanizany na nić osobistych przeżyć bohatera szeregiem reportaży i wywiadów. Po najbardziej powieściowo-

wym „Karierowiczu” przychodzi „Kontra”, gdzie mamy już pierwszą, niewątpliwie ciekawą i wybitną, choć jeszcze zbyt szkicową próbę przeplatania historycznego reportażu scenami powieściowymi; potem wielki i raczej nieudany eksperyment zjednoczenia obu nurtów w „Sprawie pułkownika Miasojedowa”. Lecz dopiero w „Lewej wolnej” pierwiastek powieściowy doszedł do głosu w formie niemal całkiem czystej i pełnej, mimo tego że autor przeprowadził tutaj, wyraźniej jeszcze niż w poprzednich utworach, swoją koncepcję powieści dwutorowej: literacko-publicystycznej. Nie obyło się przy tym, rzecz oczywista, bez pewnych zgrzytów (o których będzie mowa później). Nie zmienia to faktu, że Mackiewicz dał nam w „Lewej wolnej” jedną z wielkich polskich powieści. Dodam jeszcze: pierwszą swoją wielką powieść w pełnym sensie tej nazwy.

Omawiając w swoim czasie „Karierowicza” i „Drogę donikąd”, wyraziłem zdanie, że Mackiewicz, mimo ambitnych i ciekawych prób powieściowych, pozostanie przede wszystkim mistrzem „małej formy” — krótkich, przejmujących opowieści o dramacie życia. Nawet najczyściej powieściowy „Karierowicz” wydawał mi się tylko przedłużeniem — i to niezbyt szczęśliwym — świetnego opowiadania o „przyjacielu Florze”, które stanowi początek i najlepszą część tamtej powieści. Po przeczytaniu „Lewej wolnej” chętnie przyznaję się do fałszywego prorokowania. Mackiewicz pokazał, że potrafi być *par excellence* powieściopisarzem, mistrzem nie tylko małych ale i bardzo wielkich całości.

Co złożyło się na ten tryumf pisarza i to w wieku raczej późnym w którym powieściopisarze zazwyczaj przestają tworzyć swoje najlepsze dzieła? Zaczniemy w odwrotnej kolejności: od elementów może nie najważniejszych lecz na pewno istotnych dla artystycznego sukcesu autora „Lewej wolnej”.

Sądzę, że dużą rolę odegrał sam wybór tematu. Tematem właściwej powieści (nie jej historyczno-publicystycznych dobudówek) są najogólniej określając przeżycia grupki młodych ułanów podczas polsko-bolszewickiej wojny w r. 1919-20, w której sam autor brał udział, jako bardzo młody człowiek. Powieść ma wyraźny posmak i ciepło osobistego, mocnego przeżycia. Wydaje mi się, że powrót wyobraźni pisarza właśnie do tamtego niezapomnianego czasu, że orzeźwiający smak młodości i wojny dał mu skrzydła, zmobilizował w starym mistrzu wszystkie siły. Przyznamy, że inny szczyt twórczości pisarza — partia o przyjacielu Florze z „Karierowicza” — rozgrywa się w tym samym wojennym czasie i ma także młodego szczeniaka w mundurze za bohatera.

Jest jeszcze inna przyczyna, dla której ta powieść o wojnie 1920 r. mogła szczególnie zapalić wyobraźnię i uczucie pisarza. Mackiewicz jest w całej swojej twórczości przede wszystkim namiętnym komentatorem i egzegetą sensu życia. I oto — jak wolno sądzić — właśnie w wojnie pisarz znalazł idealny, najbardziej podatny i wyrazisty materiał do ukazania obrazu życia, jakim on je widzi — z całą jego nieobliczalnością, bezładem, bez-

sensem, okrucieństwem i... nudą. Właśnie w obrazie wojny, zwłaszcza w tamtym dawnym, nie poddanym jeszcze rządowi maszyn czasie, przejawiały się owe „mackiewiczowskie” cechy życia najjaskrawiej, w skondensowaniu, jak w teatrze. I dlatego pisarz poczuł się tu w swoim żywiole, wśród żywiołu, który wyzwolił cały jego gniew, ironię i rozczarowanie życiem i w którego ramach mógł się najpełniej wypowiedzieć.

Przy tym Mackiewicza najwyraźniej fascynuje w wojnie nie tylko jej głębszy, symboliczny że tak określe, sens, lecz także i powierzchowna — zmienna i okrutna. Karty, poświęcone batalistycie należą do najświetniejszych w powieści. Nawet Sienkiewicz, choć niezrównany mistrz wojennego opisu, nie chwyta w ten sposób szalonego rytmu i istoty zjawisk wojennych. Sceny postojów, marszów i potyczek w „Lewej wolnej” posiadają ostrość rysów i błyskawiczne tempo taśmy filmowej. Mackiewicz zdaje się po prostu mieć wojnę w swej krwi, pamięta ją i czuje, jak nikt z naszych pisarzy.

Największą jednak zasługą tematyki wojennej dla „Lewej wolnej”, jako powieści, jest jeszcze co innego. Dramatyczne dzieje kampanii 1919-20 r. dały całości jej oś konstrukcyjną, niejako mocny kręgosłup. Jest to oczywiście tylko zasługa pośrednia, bierna; nie na wiele przydałaby się taka oś bez obleczenia jej w żywe ciało przez talent pisarza. Niemniej bez tej osi powieść Mackiewicza pozostałaby może tylko jeszcze jednym zbiorem świetnych, ale raczej luźno związanych epizodów. Dramatyczny łuk i rytm przebiegu polsko-bolszewickiej kampanii dostarczył pisarzowi właśnie tej niezbędnej więzi, jakiej nie dostawało jego dawniejszym utworom powieściowym, złączył mnogie wątki powieści w jednolitą i zwartą całość. Wszystkie one choć tak wielorakie i różne w tonacjach — od wojaczki i romansu młodego Krotowskiego do przemian ideowych komunisty Wintowta po przeciwnej stronie frontu — są nie tylko zamknięte w ramach toczącej się wojny, lecz poddane przez cały czas jej biegowi i niejako przezeń regulowane. Sam autor zresztą najlepiej ujął ten charakter swojej powieści w ustępie, który przytoczyłem u czoła mego artykułu.

Nie ulega wątpieniu, że Mackiewicz tym razem wybrał, czy został porwany swoim tematem, niezwykle szczęśliwie. W wywiadzie, udzielonym Januszowi Kowalewskiemu, pisarz oświadczył, że z pomysłem swojej powieści nosił się od dawna, jeszcze przed ostatnią wojną. „Lewa wolna” jest najwidoczniej — jak to się nieraz określa — książką jego życia.

Można by zapytać, dlaczego pisarz przystąpił tak późno — o włos a byłoby za późno (w niektórych, na szczęście nielicznych, ustępach spotyka się już znaki sztywnienia fantazji i języka) — do opracowania swego tak bliskiego sercu dzieła? Myślę po prostu dlatego, że dopiero teraz mógł je napisać.

I tutaj dochodzę do drugiej — obok szczęśliwego wyboru tematu — przyczyny, która pozwoliła rozwinąć się „Lewej wolnej” w najlepsze i najbardziej wielostronne z dzieł Mackiewicza. Twór-

czość tego pisarza miała zawsze głęboki podkład uczuciowy. To — mimo wyraźnych wysiłków opanowania się w wyrazie artystycznym — narzucało sztuce autora „Ballady o dobrym sterniku” pewne ograniczenia. Uczucie, jak wzrok krótkowidza koncentruje się przede wszystkim na przedmiocie, który je w danej chwili pochłania. Przy tym wysokie napięcia rozładują się szybko. Dlatego zapewne dawny Mackiewicz wypowiadał się najlepiej w utworach niewielkich, pisanych jakby jednym tchem, jednym nastrojem.

Dzisiejszy Mackiewicz, można rzec, zdalekowzroczył. Dokonała się w nim przemiana, którą u ludzi prędzej czy później przynosi upływanie czasu. Autor „Lewej wolnej” jak gdyby już obsechł, stwardniał, czy po prostu przekonał się o bezcelowości uczuciowego buntu. Namiętne zaangażowanie w dramacie istnienia ustąpiło w nim miejsca bardziej oderwanemu, umysłowemu widzeniu. Zresztą może uczucie tylko bardziej zakonspirowało się, zostało ujęte przez intelekt wreszcie w żelazne karby. Trudno powiedzieć. W każdym razie obraz życia, jaki pisarz teraz przedstawia, choć nadal ciemny i pozbawiony zda się celu i sensu, już nie dusi, nie przygnębia jak dawniej — raczej ciekawi i dziwi, a niekiedy nawet rozjaśnia się błyskiem wyrozumiałego humoru.

Mimowoli przypomina się pięćdziesięcioletni Conrad, który w swoich „Wspomnieniach” pisze, że „może celem życia jest po prostu być widowskim”. Czyż nie trochę podobnie brzmią słowa wuja Stefana w ostatnim rozdziale „Lewej wolnej”? „Sens życia? Tylko w życiu samym. Ono stworzone zostało bez żadnego innego celu”.

Zniknęły, tak typowe dla dawnych utworów Mackiewicza, namiętne odautorskie westchnienia, które przeplatały tok powieściowej akcji, jak np. w „Drodze donikąd” owo: „Po co pszczoła leci po łące? Po co motyl? Po co skowronek nad głową? Wszystko na świecie po co?” W „Lewej wolnej”, gdy młody Krotowski rozrąbał szablą głowę rywala autor wypowiada tylko rzeczową uwagę: „To rzadko się zdarza taki cios. Bo na skuteczny cios szabli składa się dużo: zaokrąglony zamach...”

Pisarz — jak wolno wnosić z jego dzieła — patrzy teraz z daleka i trochę z góry na drobiazg ludzki szamoczący się w obcęgach istnienia. Oderwał się od tego, wyzwolił — któż zresztą zgodnie jakim kosztem? Już tylko widzi i opisuje. Jeżeli oskarża, to ustawieniem faktów. Bezosobiście i bez komentarza.

I to jest w tej powieści nowe, różniące ją zasadniczo od poprzednich i najbardziej dla niej istotne: dystans pisarza w stosunku do opisywanego życia. Nie dawna powściągliwość tłumionego gniewu — prawdziwy dystans. Z tego wysokiego dystansu pisarz potrafi ogarnąć jednym spojrzeniem całą panoramę spraw, które zamierza przedstawić, potrafi dojrzeć każdy wątek w jego właściwych proporcjach i powiązać go przekonywująco i harmonijnie z innymi. Z tego dystansu obserwuje z jednaką i bezstronną uwagą rzeczy bliskie i dalekie, małe i wielkie, jasne i ciemne

— widzi szeroko i kompletnie. I to wszechogarniające, odgórne widzenie staje się mimowoli jeszcze jedną spójnią powieści, zbiera wszystkie jej sprawy we wspólną i współbrzmiającą całość — jak pod osłoną jednego nieba. W ten sposób dzieło zyskuje obok wspomnianej już osi konstrukcyjnej, tematu wojny — drugą i bodajże ważniejszą: jednolitą wizję życia. Można by określić: oś pionowa i pozioma.

Kładę szczególny nacisk na obecność tej drugiej osi. Dzięki niej „Lewa wolna” jest nie tylko dobrze skonstruowaną powieścią — jest czymś znacznie więcej. Wszyscy niemal recenzenci podkreślają zgodnie epicki charakter nowej powieści Mackiewicza. Zaskoczyła na to w pełni. Posiada rozpiętość, równowagę i spokój eposu. Od pierwszych rozdziałów, które nieśpiesznie, zwyczajnie, niemal sielsko podchodzą ku zbliżającej się dziejowej burzy, poprzez perypetie wojny, która przewaliła się przez Polskę, aż ku zakończeniu, kiedy pogłosy tragedii wojennych, niby ostatnie echa strzałów, roztapiają się w narastającej z powrotem powszedniości — powieść toczy się epicką rozlewną falą, jak wielka arteria wodna kraju, która w swym długim biegu przepływa przez cały jego obszar. Prawdziwie: Słowo o roku 1920.

Czy słowo to odpowiada historycznej prawdzie? Choć rzeczywistość bynajmniej nie była jasna, sądzę, że obraz wypadł zbyt już ciemny — czasem niesprawiedliwie ciemny. Jednego elementu Mackiewicz na pewno nie uchwycił i nie uwypuklił dostatecznie: narastającego, wśród sobkostwa i potworności odwrotu, poczucia narodowego zagrożenia, a z nim patriotycznej reakcji, jaka przeszła wtedy przez całą niemal Polskę i która, poza czynnikami strategicznymi, umożliwiła zwycięstwo. Kiedy w połowie sierpnia leżałem w płytkim okopie za Bugiem-Narwią, nie wiedząc jeszcze czy pójdziemy naprzód, czy też trzeba będzie znowu się cofać, nie zależało mi już naprawdę na tym, by przejść rzekę żywym w razie dalszego odwrotu — bo dokąd i po co?

Jest to uwaga na marginesie, nie zarzut artystyczny. Artysta nie jest obowiązany i nawet nie może oddać całej prawdy życia. Najgorętszy fanatyk tej prawdy, Zola powiedział kiedyś: „Sztuka to prawda życia, widziana przez pryzmat temperamentu pisarza”.

2.

A teraz nareszcie pytanie postawione na początku: czy Mackiewiczowi udało się rozwiązać dylemat Tołstoja? Czy potrafił połączyć ogień z wodą, rozprawić historyczno-polityczną z fikcją powieściową?

Chcę na pytanie to odpowiedzieć szerzej z dwu powodów. Idzie, jak już wskazałem, o koncepcję dla autora „Lewej wolnej” typową i nieraz już przez niego stosowaną — więc o szczególnie ważny w jego wypadku problem pisarski. Po wtóre, o ile polityczna strona pozapowieściowych części „Lewej wolnej” była dotąd omawiana szeroko i gorąco, o tyle ich artystyczna rola

w powieści została tym politycznym aspektem prawie zupełnie przesłonięta i mało poświęcano jej uwagi.

Tutaj spróbuję więc przede wszystkim rozważyć, czy i w jakim stopniu „Lewa wolna” zyskała jako dzieło sztuki dzięki obecności tych niepowieściowych wątków. Zagadnienie nie jest oczywiście nowe. Nie tylko ze względu na przykład Tołstoja. Ostatecznie powieść w swoim rozwoju zaczęła się od nieoczyszczonych produktów i jeszcze wielki Balzac przeplatał stale akcję swego cyklu „Komedii ludzkiej” kilometrowymi wywodami na dowolne tematy. Ale czytelnik współczesny, przyzwyczajony już do poflaubertowskiej czystości formy powieściowej, źle znosi widomą obecność autora w jego dziele i chce by powieściopisarz jedynie pokazywał — nie wykładał, przekonywał czy pouczał.

Przewodnikiem krytyka powinny być jednak zawsze wrażenia, nie najbardziej choćby uświęcone zasady. Czytając „Lewą wolną”, starałem się spojrzeć na te artystycznie sporne elementy książki, bez jakichkolwiek uprzedzeń — po prostu ciekaw trudnego eksperymentu.

Wrażenia były mieszane. Owa część niepowieściowa, która stanowi pewnego rodzaju historyczny komentarz i zaplecze zdarzeń powieści, rozpada się niejako na dwa poziomy czy plany: bliższy, który można nazwać strategicznym i dalszy — polityczny. Te dwa plany różnią się między sobą bardzo wyraźnie: stylem, celem, jakiemu służą i rodzajem powiązania z fabułą utworu. Różnią się też wrażeniem, jakie budzą.

Na planie pierwszym oglądamy, w przerwach pomiędzy akcją powieściową, zarys całokształtu kampanii, ruchy wojsk, zamierzania operacyjne wodzów. Relacja jest tu absolutnie obiektywna, oszczędna, jędrna — aż dźwięczna tą jędrnością. Składa się często z samych cyfr, dat, nazw. Wtórnie wojennym przeżyciom bohaterów jak daleki, suchy trzask karabinów maszynowych.

Ten element, choć tak odmienny treścią i formą od materii powieściowej, współgra z nią doskonale — może właśnie przez swoją kontrastowość; sztuka lubi kontrasty. Wiąże się on z całością powieści w sposób naturalny i potrzebny. Nie tylko nie jest balastem dla powieściowej akcji, lecz wzbogaceniem, dodaje perspektywy i głębi, pozwala lepiej rozumieć kręte drogi jednostek. To tak jak gdyby oglądało się je raz z bliska a raz z lotu ptaka. Aż żal, że autor nie dołączył mapy, która pozwoliłaby jeszcze konkretniej wszystko sobie wyobrazić (to sugestia do drugiego wydania książki).

Na tym odcinku Mackiewicz zrealizował koncepcję łączenia powieściowej fikcji z historią w sposób absolutnie przekonujący. Nie przekonywa natomiast na odcinku drugim, który nazwał politycznym — gdzie pisarz przeprowadza swoją znaną tezę o cichym porozumieniu Piłsudskiego z Leninem w sprawie niewspółdziałania wojsk polskich z armiami rosyjskiej kontrrewolucji, co doprowadziło do jej upadku. Już przy pierwszym czytaniu tej partii nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że natykam się na coś obcego i zbytecznego w powieści.

Dlaczego tak? Przecież wysoka polityka wodzów wojny stanowi również dalekie tło, a niekiedy nawet i poruszającą sprężynę zdarzeń powieściowych — podobnie jak zaplecze strategiczne, które tak znakomicie przylega do powieści. Jest jednak pewna granica oddalenia, poza którą wyobraźnia czytelnika nie chwytą już związku. Wysoka gra polityczna i los prostego żołnierza, to dla niej zbyt odległe bieguny. Rzecz miałaby się zapewne inaczej, gdyby autor przetkał także i fabułę „Lewej wolnej” wątkami politycznymi. Nie uczynił tego — może na szczęście — poza jedynym rozdziałem o „wuju Stefanie”, który sam wydaje się trochę intruzem w części powieściowej. Ale w „Lewej wolnej”, tak jak ją Mackiewicz napisał, wstawki polityczne pozostają kręgiem spraw oddzielnych, zamkniętych w sobie i o własnym celu. Są samoistną rozprawą autora z wojenną polityką Piłsudskiego, a jeśli miał to być równocześnie historyczny komentarz do zdarzeń powieści, przerósł on znacznie swoje zadanie. Mogłoby go zabraknąć, i nic nie zmieniłoby się w naszym rozumieniu i uczuciowym udziale w przeżyciach powieściowych postaci, rzucanych wojenną burzą. Stąd wspomniane wrażenie obcości i niepotrzebności.

Nie to jednak jeszcze jest główną przyczyną zupełnego wyobcowania nadbudówki politycznej z ciała powieści. Kiedy podkreślałem poprzednio dojrzały obiektywizm i uczuciowy dystans autora „Lewej wolnej” do swego tematu, odnosiło się to wyłącznie do Mackiewiczza powieściopisarza — nie publicysty. Mackiewicz jeśli pogodził się, to z dołą jednostek na tym świecie, nie mas. Polityczne czy społeczne idee i problemy pochłaniają go i rozjątrzają z tą samą co niegdyś, o ile nie większą, siłą. Oderwany epik „Lewej wolnej” niczego nie zapomniał i niczego nie chce przebaczyć, z chwilą, gdy dotyka zagadnień politycznych tamtej wojny.

Nie znaczy to, by pisarz nie usiłował i tutaj pokryć własnego zaangażowania maską obiektywizmu, udowodnić, może nawet samemu sobie, że nie obchodzi go nic poza prawdą faktów. Zestawia po dziennikarsku przede wszystkim suche relacje zdarzeń, wyjątki przemówień, cytaty dokumentów. Z samego jednak sposobu zestawiania czy wymykającego się tu i ówdzie zjadliwego słowa przegląda mimo woli niechęć, pretensja, żal — jak sprężyna z źle pokrytej kanapy. Jakże np. zdradza się Mackiewicz wprowadzając do swej politycznej historii zupełnie przygodny wywód o braku oryginalności planu bitwy nad Wisłą („Nie ma cudów”) — po cóż, jeśli nie po to, by tym ubocznym strzałem rozbić do reszty mit Piłsudskiego?

Tendencja jest odwiecznym wrogiem powieściowej sztuki; odsłania autora, poruszającego swoje figurki zza kulisów, rozprasza iluzję życia. Mimo całej swej odrębności, epizod polityczny „Lewej wolnej” pozostaje przecież dla czytelników jednym z elementów powieści, na który przenoszą oni mimo woli swoje powieściowe wymagania. W wypadku „Lewej wolnej” niechętną reakcją czytającego zaostrza jeszcze uderzający kontrast

między wspaniałym obiektywizmem całości, a skrywaną pasją części politycznej. I ten kontrast, ta dwojakość podejścia rozłamuje powieść może jeszcze bardziej na dwa odrębne i niezborne odcinki, aniżeli rozbieżność tematów.

Czy pisarz nie miał jednak na przekór wszystkiemu racji, włączając do powieści ową nadbudowę polityczną, po prostu dla jej własnych wartości, zalet słowa, obrazu czy myśli, które choć nie związane treściowo z resztą elementów utworu, wzbogacałyby go samą swoją obecnością — podobnie jak niektóre budowle zlepię z wielu stylów, mogą być architektonicznymi potworkami, niemniej zdarza się że uroczymi potworkami. Obawiam się jednak, że i ten ostatni argument odpada. Właśnie polityczna partia książki wydaje mi się wyjątkowo uboga i niesugestywna w swoim sztucznie bezstronnym, dziennikarskim, suchym wyrazie. Zapewne: ma to być przede wszystkim historia. Lecz historyczne dzieła Tacyta czy Gibbona czyta się niemal jak powieść. Czegoś tu niedostaje. Rzecz jest niedość przetworzona artystycznie, by przemówić do wyobraźni i niedość przekonująco historyczna, by porwać obrazem prawdy. Podejrzewam, że właśnie wysiłek obiektywizmu, przymus zadany sobie *contre cœur*, poraził tutaj pisarską werwę Mackiewicza. Wolałbym, by pisarz popuścił był wodzów swojej politycznej pasji. Gniew często bardziej przekonuje i jedna, właśnie gdy odstąpi przyłbice.

Jedynie dzieje ostatecznego pogromu armii Wrangla, zamykające część polityczną, kiedy pisarz nie skrępowany już kontrolerskim tematem ani chęcią udowodnienia czegokolwiek, dał się ponieść swoim sentymentom i wypowiedział jakby tren żałobny na zgon dawnej Rosji — mają w sobie szczerść i patos dzieł sztuki. Reszta szeleści papierem. Piłsudski, Lenin i inne osoby historycznego dramatu nachylają się bladymi i nieprzekonywającymi cieniami nad pełnokrwistym życiem „Lewej wolnej”.

Autor i recenzent mają co najmniej równe prawa w ocenie celowości i osiągnięć jakiegokolwiek części omawianego dzieła. Mogę mylić się w tym, co powiedziałem. W moim jednak wycuciu Mackiewicz nie osiągnął swoją rozprawą polityczną tego, co zamierzał, a obciążył nią niepotrzebnie całość świetnej powieści.

Tu, pod koniec, choć dotychczas, trzymając się mego tematu, nie dotykałem aspektu rzeczowego tezy politycznej Mackiewicza, która rozpętała wokół siebie tak namiętą dyskusję, oskarżenia, protesty, aż do ogłaszania gromadnych uchwał — wydaje mi się, że powinienem z punktu widzenia krytyki literackiej zrobić jedną uwagę.

Było i jest dobrym prawem powieściopisarza interpretować po swojemu postaci i zdarzenia historyczne. „Lewa wolna”, włącznie ze swoimi historyczno-politycznymi wstawkami, jest przede wszystkim powieścią. Ostatecznie większość osobistości o pewnym dziejowym znaczeniu — od biblijnego Józefa po Napoleona — ulegała modelowaniu w dziełach literackich, wedle wyobrażeń lub upodobań ich autorów. Dante wszystkich swoich przeciwników politycznych ulokował w piekle. Sienkiewicz nie wa-

hał się dla dramatycznego efektu poczernić Chmielnickiego a wybielić księcia Jaremgę. Wypiański nawet swoich przyjaciół wsadził żywcem do „Wesela”, bynajmniej ich nie oszczędzając, a kto mu to dzisiaj pamięta? Takie są przywileje literatury. Jeżeli pisarze liczyliby się z wszystkimi możliwymi pretensjami i wymaganiami, jakie mogą ich spotkać z tej lub innej strony, prawdopodobnie nie mielibyśmy w ogóle dobrej literatury, a za to mnóstwo „zamówień społecznych”. Są to prawdy banalne, lecz czasami warto je przypomnieć.

Myślę, że gdy odejdzie pokolenie, które ma jeszcze osobisty stosunek do zdarzeń i postaci „Lewej wolnej”, a powieść Mackiewicza będzie w dalszym ciągu czytana, jedyną obiekcją dla przyszłych jej czytelników będą stanowić już nie tezy polityczne powieści, lecz sposób ich podania i wcielenia w całość utworu. Tak więc dylemat artystyczny Tołstoja pozostanie nadal kwadraturą koła.

3.

Nienaganne prawie rzemiosło pisarskie twórcy „Lewej wolnej” posiada swoistą skazę: skłonność do rusycyzmów. Kończąc więc moją recenzję apelem do autora, który poprą chyba wszyscy, co czytali i polubili „Lewą wolną” — o usunięcie w drugim wydaniu książki tych licznych rusycyzmów, które zachwaszczają jej piękną polszczyznę. Nie idzie mi, oczywiście, o język dialogów, który musi być dostosowany do charakteru mówiących postaci, lecz o własny tekst autora.

Piszę to ufny, że Mackiewicz nie weźmie mi za złe troski o czystość mowy, którą obaj kochamy. Jeśliby napisał książkę mniej doskonałą i jeślibym nie żywił tak głębokiego podziwu dla jego twórczości, nie dopominałbym się o wygładzenie skaz. Ale *noblesse oblige*.

Wit TARNAWSKI

Duże znaczenie „Małej Historii”

Historiografia niemiecka obdarzyła nas nowym zarysem historii polskiej, którego odpowiednika daremno szukać w nowszych pracach własnych historyków¹. Zarys ten, jak zastrzega się autor

1. Gotthold Rhode: *Kleine Geschichte Polens* Wissenschaftliche Buchgesellschaft, Darmstadt, 1965, XVI-543 str.

w przedmowie, jest przeznaczony dla nauczycieli historii, studentów, oraz tych wszystkich, którzy interesują się historią Polski i chcą mieć przejrzystą wykładnię jej dziejów bez wchodzenia w zbytne szczegóły. Dla bardziej zainteresowanych autor odsyła do podręcznika historii polskiej przygotowywanej przez niego wspólnie z Herbertem Ludat².

Jest to historia polityczna z dużym uwzględnieniem zagadnień ustrojowych. Inne aspekty dziejów jak życie kulturalne, naukowe, gospodarcze, przemiany socjalne, nie będąc pominięte, nie są specjalnie rozwijane. I tak na przykład osoba Kopernika jest wymieniona jedynie jako siostrzeńca Łukasza Watzenrode. Wit Stwosz pominięty całkowicie. Zarys zatrzymuje się na dacie 1-go września 1939, „na początku katastrofy Polski, która jednocześnie miała być katastrofą Niemiec i Europy”. Epoka piastowska obejmuje 106 stron, jagiellońska 140, królów obieralnych 90, czasy porozbiorowe 120 w tym okres drugiej niepodległości za czasów Księstwa 6 stron, czasy republikańskie 40 stron.

Historia Polski, w przeciwieństwie do Niemiec, rozpoczyna się w X wieku od razu jako historia całości. Żadna część kraju, żaden szczepek, żadna ziemia, żaden klasztor nie mają własnych dziejów wyprzedzających historię narodową. Polacy nie znają tej odrębności poszczególnych plemion jaką wykazują Bawaria, Saksonia Dolna lub Szwabia.

W przedstawieniu pierwszych władców Polski autor podkreśla doniosłą rolę Mieszka jako pierwszego i właściwego twórcę państwa. Niesłusznie jest on usunięty w cień przez swego syna Bolesława. Legenda zwycięskiego wodza zastąpiła rzeczywistego i większego od siebie męża stanu. Mimo, iż imię Bolesława Chrobrego jest symbolem energicznej podstawy antyniemieckiej beznamiętny osąd historyka wskaże na liczne związki rodzinne z Niemcami, serdeczne i zażyłe stosunki z panami saskimi, licznych Niemców wśród duchowych Bolesława doradców. Głównym zresztą wrogiem Polski w XI wieku byli Czesi a nie jej sąsiedzi zachodni. Wiek XIII jest wiekiem przełomowym. Ze wschodu najeźdy tatarskie trzykrotnie palą i niszczą Polskę południową, na zachodzie odpada Śląsk i ziemia lubuska, Pomorze zachodnie odpadło już było wcześniej (w 1181 r.). Kolonizacja niemiecka jest w całej swej pełni. Odtąd aż do rozbiorów monarchia polska będzie państwem wielonarodowym. W większej liczbie, dzięki nieznanym na Zachodzie wolnościom, zaczęli napływać Żydzi.

Okres jagielloński przedstawiony jest w całej swej skomplikowanej postaci. Dość szczegółowo są opisane zmienne koleje unii polsko-litewskiej, rozwój parlamentaryzmu z zachwianą już równowagą na korzyść szlachty, podkreślona jest atrakcyjność polskiej wolności, która osadziła wnuków Jagiełły aż na czterech różnych tronach. Ale jednocześnie opór duchowieństwa i szlachty wielkopolskiej uniemożliwia ustanowienie stałej siły zbrojnej, któ-

2. Chodzi tu o wydawnictwo specyficznie niemieckie, tzw. „Handbuch”, którego ukazanie się będzie dużym wydarzeniem dla historyków Polski.

ra by skutecznie broniła państwa przed zakusami Moskwy, Zakonu, Habsburgów i Tatarów. Nie kryje nieporadności wszystkich Jagiellonów w prowadzeniu wojen czy w umiejętności zmobilizowania potrzebnej energii narodowej by do szczęśliwego końca doprowadzić ciągle się odnawiające napaści miłych sąsiadów. Epokę tę zamyka autor przejrzystym opisem struktury wewnętrznej państwa; roli i uprawnień dynastii, finansów, administracji wewnętrznej, parlamentaryzmu, stałego pogarszania się położenia włościan i mieszczan, stałego powiększania się mówiącej po niemiecku ludności żydowskiej (100 tysięcy w roku 1578), Kościoła katolickiego, prawosławnego i pozostałych osiem środowisk wyznaniowych.

222 lata trwająca historia królów obieralnych dzieli się na dwie zupełnie różne części. Punktem zwrotnym jest rok 1648, rok buntu kozaków, który zaczyna okres polskiego upadku. Klęska potopu była wyłączną winą szlachty, która zapatrzona w swoją pełnię doskonałości i dumna ze swojej złotej wolności zaniedbała całkowicie obronę państwa. Inną klęskę było wypowiedziane po raz pierwszy w sejmie polskim „liberum veto”. Po Sobieskim przyszyły czasy saskie i pierwszy rozbiór, do którego inicjatywę i zachętę dała Austria. Odrodzenie stanisławowskie uratowało może naród ale nie państwo. Konstytucja majowa dała pretekst do zupełnego zniszczenia polskiej monarchii. Rozpaczliwa próba powstania kościuszkowskiego nie mogła odwrócić ostatecznej klęski.

Zwycięstwa Napoleona przywracają niepodległość w ramach Księstwa Warszawskiego. Nie trwała ona długo i rok 1812 przynosi jej właściwy koniec. Następuje stuletnia nowa niewola. Dopiero pierwsza wojna światowa stwarza warunki umożliwiające odbudowanie polskiej państwowości. Wrogość Litwinów i Ukraińców nie dozwala jednak Piłsudskiemu na przeprowadzenie jego dalekosiężnych planów federacyjnych. Okres trzeciej niepodległości przedstawiony jest wiernie. A więc duży wysiłek organizacyjny w kierunku stabilizacji a następnie rozbudowy. Najważniejszymi wydarzeniami w tym zakresie to: sanacja finansowa i ustanowienie złotego, uchwalenie reformy rolnej, budowa portu gdyńskiego i linii kolejowej łączącej go ze Śląskiem. Nie przemilcza i mniej jasnych stron ówczesnej polskiej rzeczywistości: zabójstwo Narutowicza, zamach majowy, sprawę brzeską i obóz koncentracyjny w Berezie Kartuskiej. W tym ostatnim zarządzeniu autor widzi dowód, iż wpływy faszyzmu i narodowego-socjalizmu oddziaływały jakoś na Józefa Piłsudskiego³. Katastrofa drugiej wojny światowej zakończyła odcinek polskiej historii, w której Polacy mogli ponownie decydować o swych losach.

Na dacie tej Gotthold Rhode kończy swą „małą historię” z nadzieją, iż przyczyni się ona do lepszego poznania polskich dziejów „w całej ich bujnej barwności”.

3. Inny historyk niemiecki twierdzi, iż decyzja utworzenia obozu koncentracyjnego została powzięta w wyniku osobistej rady Goebbelsa. — H. Roos: *Geschichte der polnischen Nation*, str. 126.

Z ciekawszych spostrzeżeń i twierdzeń autora są do zanotowania: Polska i Węgry mogą słusznie się chlubić, iż w roku 1241 uchroniły Europę przed dalszym zniszczeniem mongolskim (str. 51). Zalicza Pomorzan i Słowińców do plemion zachodniosłowiańskich ale nie polskich (str. 4, 374). Umniejsza znaczenie rzezi gdańskiej z roku 1308, już wtedy Gdańsk miał mieć przewagę ludności niemieckiej i rzeź dotknęła zarówno niemieckich mieszkańców miasta jak i polską załogę twierdzy. Dależy dodać, iż nie bardzo rozporządzamy danymi statystycznymi z tego okresu ale nie wydaje się by Gdańsk już wtedy miał znaczniejszą ludność niemiecką. Jego zniemczenie datuje się raczej po rzezi, a zostało wzmocnione w czasie wojny trzydziestoletniej kiedy ludność niemiecka masowo uciekała do Polski, szukając w niej schronienia przed kataklizmem wojennym (str. 64). Prawnie, za Kazimierza Wielkiego, Żydzi mogli pożyczać pieniądze na procent w granicach zysku 54%-109% (str. 100). Żadne źródła współczesne nie mówią by bitwa grunwaldzka była uważana za zwycięstwo słowiańszczyzny nad niemczyzną. Po stronie polsko-litewskiej walczyły zaciężne wojska czeskie, lenne oddziały wołoskie, Tatarzy a nawet Niemcy. Dopiero po rozbiorach, po roku 1863 i zjednoczeniu Niemiec upokorzona duma narodowa Polaków przypomniawszy sobie Grunwald jako zwycięstwo nad Niemcami, przodkami ówczesnego cesarstwa niemieckiego. Obrazy Matejki i powieść Sienkiewicza są najbardziej znanymi przykładami tego nastawienia. Można by tu dodać, iż po stronie krzyżackiej walczyli także i książęta polscy jak np. Kazimierz szczeciński i książę piastowski Konrad Oleśnicki (str. 129). Osobiste zalety ostatnich Jagiellonów i konstytucyjnie zatwierdzona tolerancja religijna uczyniły z Polski na szereg dziesiątków lat kraj o największej wolności intelektualnej (str. 181). Siłą dynastii jagiellońskiej było to, że w ciągu 186 lat jej panowania aż trzech władców, Jagiełło, Kazimierz IV i Zygmunt I rządziło w sumie 135 lat (str. 223). W roku unii lubelskiej jedynie 12 miast miało ponad 10.000 mieszkańców, były to: Kraków, Poznań, Warszawa, Lublin, Lwów, Kijów, Gdańsk, Toruń, Elbląg, Wilno, Połock i Mohilew (str. 235). W walce między władzami cesarskich Niemiec a polską ludnością poznańską i Pomorza moralnie silniejszą pozycję mieli Polacy, gdyż mogli się powoływać na niedotrzymanie przyrzeczeń obiecanych traktatem wiedeńskim oraz na odezwę do nich króla pruskiego z 15 maja 1815 roku, na złamane, przez ustawę wywłaszczeniową z roku 1908, prawo równości wszystkich obywateli (str. 419). Zręczność polskich polityków w czasie wojny światowej potrafiła wykorzystać każdą sposobność by, bez utraty godności narodowej, doprowadzić w końcu do niepodległości (str. 436). Zwycięstwo roku 1920 jest zasługą Piłsudskiego, legendę o Weygandzie stworzyła niechętna mu narodowa-demokracja (str. 470-1). Wielka własność niemiecka wynosiła w poznańskim i na Pomorzu 38,6%, jej udział w przymusowej parcelacji był w roku 1926 92%, w 1929 93%, w 1930 75% (str. 481). Mimo, iż mniejszości narodowe liczyły oficjalnie 31% ludności, a według ich danych aż 40%, nigdy

nie-Polak nie objął urzędu ministra, wojewody czy starosty. Piłsudski umarł dokładnie w dniu wywołania walk bratobójczych, 12 maja (str. 490).

Należy się spodziewać, iż książka ta doczeka się szeregu wydań a nawet tłumaczenia na angielski jak to ma miejsce z wymienionym wyżej opracowaniem H. Roosa. Dlatego notujemy każdą zauważoną myłkę czy przepisanie się. Trudno zgodzić się, iż konflikt Bolesława Chrobrego z cesarstwem „był w swoim rodzaju najrozleglejszym konfliktem w średniowieczu. Historia wojny stuletniej czy też wypędzenie Arabów z Hiszpanii wskazywałyby na coś innego (str. 18). Na stronie 24 powinien być Bolesław II zamiast Bolesław I. Stolicą księcia kujawskiego Władysława Białego był Gniewków a nie Gniewkowo (str. 65). Mylnym jest twierdzenie, iż nie ma dowodów by książęta kujawscy podlegali Łokietkowi; dowodami takimi jest obdarzenie przez tegoż Łokietka księcia dobrzyńskiego Łęczycą a księcia inowrocławskiego Sieradzem. Nie czyniłby tego gdyby byli panami ziem zupełnie od niego niezależnych (str. 65). Nie jest błędem mówienie o Podolu dniestrzańskim jako o lennie Polski Kazimierza Wielkiego. Tamtejsi Koriatowicze dostali od Kazimierza jako lenno ziemię włodzimierską, występują w układzie z roku 1366 po jego stronie na równi z lennymi książętami mazowieckimi (str. 77). Jeżeli chodzi o zamiary odzyskania Śląska i Pomorza przez Kazimierza Wielkiego to mamy na to wystarczające źródła. Autor sam wspomina kilka stron przedtem o adoptacji Każka wołogoskiego; król ożenił Każka z Joanną córką Olgierda a po jej śmierci z Małgorzatą mazowiecką. A więc osadzanie Zakonu ze wszystkich stron. Temu samemu celowi służyło zbudowanie zamku w Rajgrodzie. Co do Śląska to najlepiej zamiary królewskie wykazał zjazd książąt śląskich, formalnych lenników czeskich, w Krakowie w roku 1369. Zanosilo się wtedy na wojnę z Karolem IV, który osobiście w tym momencie pilnował budowy strategicznego mostu przez Odrę na pograniczu Śląska i Brandenburgii. Starosta wieluński rozpoczął nawet pierwsze kroki zaczepne. Kazimierz bronił także energicznie przynależności biskupstwa wrocławskiego do Gniezna, postawił się nawet papieżowi Klemensowi VI, który przychylił się do zamiarów Karola IV przyłączenia Wrocławia do arcybiskupstwa praskiego (str. 86). Niestety jest pominięta inicjatywa litewska w dojsciu do inkorporacji krewskiej; to od niej a nie z Krakowa wyszła pierwsza myśl związku Jadwigi z Jagiełłą. Można się zgodzić z twierdzeniem, iż unia polsko-litewska nie miała ostrza antyniemieckiego bo, jak słusznie autor podtrzymuje w innym miejscu książki, szowinizmy naszego wieku nie znane były średniowieczu. Jednym zresztą z jej twórców był niemiecki burmistrz Wilna Hanulo. Miała ona jednak silne ostrze antyczeskie i antykrzyżackie i Jagiełło zobowiązał się w pierwszym akcie unijnym z 14 sierpnia 1385 do odzyskania wszystkich straconych niedawno ziem co oznaczało wtedy Śląsk i Pomorze gdańskie (str. 114-117).

Uwagę, iż źródła Zakonu są skąpe do bitwy grunwaldzkiej na-

leży uzupełnić, że są raczej nieznane i pilnie strzeżone, w 550 lat po wydarzeniu, przed okiem polskich historyków (str. 128). Do spostrzeżeń, iż ówczesni nie uważali Grunwaldu za zwycięstwo słowiańszczyzny nad niemczyzną historyk doda, iż w perspektywie wieków zwycięstwo to miało jednak taki charakter, przynajmniej jeżeli chodzi o polską jej gałąź. Wygrana bitwa przez Zakon byłaby prawdopodobnie równoznaczna z katastrofą państwa polskiego, a samotna Litwa uległaby przemocy moskiewskiej już w XV wieku a nie, jak to się stało, w wieku XVIII. Tragicznie zaważyła także polska nieudolność wyzyskania zwycięstwa. Jagiełło odrzucił zaraz po Grunwaldzie prośbę o pokój, gdyż liczył na zupełne zlikwidowanie Zakonu. Gdyby do tego doszło cała walka Jagiellonów z Moskwą przybrały niechybnie inny obrót Czechy i Węgry nie dostałyby się prawdopodobnie pod panowanie habsburskie, złamanie potęgi tureckiej przypadłoby znacznie wcześniej niż za Sobieskiego, obrona przed zagonami tatarskimi byłaby inaczej rozwiązana. Całe dzieje chrześcijaństwa potoczyłyby się inaczej. Rok 1410 zarówno w swym powodzeniu militarnym jak i w swej nieudolności politycznej zaważył trwale na dalszych losach całej słowiańszczyzny (str. 129). Litwa odzyskała Homel, zdobyty 16 lipca 1535, w pokoju z roku 1537, a nie w pokoju z roku 1508 (str. 184).

Czwarta wojna moskiewska z lat 1512-20 została spowodowana nie tyle przymierzem litewsko-krymskim co zachętą cesarza Maksymiliana, który montował wtedy wielką koalicję przeciwpolską, i w której chciał widzieć obok Zakonu, Moskwy i cesarstwa także Danię, Saksonię i Mołdawię. Wydał nawet rozkaz by wojska saskie, brandenburskie i pomorskie wspomagały czynnie Zakon. Zarwał wtedy nawet dożywotni sojusz zaczepny z Moskwą. Celem koalicji miał być rozbiór państwa jagiellońskiego. Dopiero zwycięstwo pod Orszą przekreśliło te miłe nadzieje dworu wiedeńskiego. Autor wspomina o tych planach ale w innym kontekście i nie łączy ich z zaczęciem wojny moskiewskiej i upadkiem Smoleńska (str. 185-6). Sprzyjający Litwie mieszkańcy Smoleńska nie zostali w roku 1514 wysiedleni ale, na rozkaz komendanta Wasyla Szujskiego, powywieszani na wałach, ustrojeni w szaty, jakimi obdarzył ich wielki książę moskiewski (str. 186). Nie słuszna jest uwaga o Bonie, iż wywierała ujemny wpływ na męża i syna. Historycy polscy raczej żałują, iż wpływ jej nie był większy, że nie zdołała przeprowadzić swych planów wzmocnienia władzy królewskiej, odzyskania Śląska, odepchnięcia Hohenzollernów od Prus, zwrócenia większej uwagi na Pomorze i sprawy bałtyckie (str. 190). Statut litewski nie był napisany w języku rosyjskim ale w starocerkiewnym przy dużym wpływie białoruskiego. Język rosyjski był na dworze litewskim w ogóle nieznanym (201). Omawiając stosunki narodowościowe miast pruskich, należy dodać, iż mniejsze miasta już w roku 1566 żądały stanowczo by w sądach był używany język polski (str. 239). Ziemie wendeńska, dorpacka i parnawska nie były zorganizowane w województwa ale prezydya (str. 254). Autor za słabo podkreślił znaczenie rokосу

Zebrzydowskiego i za mało poświęcił uwagi przesileniu wewnętrznemu za Zygmunta III (str. 268). Jest wspomniane niepowodzenie Sobieskiego pod Parkanami w dniu 7 października ale należałoby dodać, iż w dwa dni później pod tymiż Parkanami Sobieski zadał Osmanom większą klęskę niż pod Wiedniem (str. 290).

Niesłuszne jest twierdzenie, iż Prusy i Rosja, po dowiedzeniu się o zagarnięciu południowych ziem polskich przez Austrię, szybko zgodziły się dołączyć do zaczętego rozbioru. Jeszcze 27 stycznia 1771 Fryderyk II ostrzegał proroczco swego brata Henryka, iż „byłoby to niewybaczalnym błędem politycznym by pomoc Rosji w jej powiększaniu się, gdyż stałaby się wtedy budzącym grozę i przerażeniem sąsiadem całej Europy”. Upór Fryderyka II przeciwko rozbiorowi trwał jeszcze przez pewien czas i został przewyższony osobiście przez brata po powrocie z Petersburga (str. 313). Skąd autor wziął Rosjan na ziemiach zagarniętych przez Moskwę zostanie jego tajemnicą, ale należało podkreślić, iż były to ziemie niemal całkowicie o ludności katolickiej. Fryderyk II nie zgodziłby się nigdy, iż przypadłe mu ziemie były przeważnie niemieckie. Po objechaniu nowych zdobyczy stwierdzał dobitnie w liście z dnia 1 kwietnia 1772, iż Pomorze jest „principalement de nationalité polonaise”. Autor określa rozbiór jako bezprawie, które jednak zupełnie daje się wytłumaczyć zwyczajami XVIII wieku i jako przykłady rozporządzenia się terytoriami bez pytania o zgodę ludności przytacza los hiszpańskich Niderlandów czy Lotaryngii. Była jednak różnica. Tam odcinano dzielnice mechanicznie złączoną z panującą dynastią, tutaj wymazywano z mapy Europy naród o 800 letniej historii, rozczłonkowano organizm państwowy zrośnięty od stuleci w jedną całość. Tam zdecydowano o poddanych tutaj dławiono i niewolono wolnych obywateli. Charakterystyczne, iż autor ani słowem nie wspomina czy i co na zniszczeniu Polski zyskały Austria i Prusy i czy plemieniu niemieckiemu wyszło na zdrowie osiągnięcie wspólnej granicy z jego wielowiekowym, barbarzyńskim przyjacielem moskiewskim (str. 312-314).

Opisując drugi rozbiór, zresztą opierając się głównie na Konepczyńskim, nie poddaje żadnej analizie polityki pruskiej. A właśnie niedotrzymanie sojuszu z Polską a następnie zwrócenie się przeciwko niej ma wśród historyków niemieckich, i to od dawna, zdecydowanych krytyków (str. 321-323). Nie ma wzmianki o rabunku skarbcza koronnego przez Prusaków a następnie o zniszczeniu przez nich klejnotów królewskich. Pośpieszmy dodać, iż jest to jedyne tego rodzaju wstydlive przemilczenie w całej tej sympatycznej dla nas i z wielkim znanstwem przedmiotu napisanej książce. Dla czytelnika niemieckiego po opisie trzeciego rozbioru bardzo by się przydało podkreślenie jak wielkim cofnięciem się w każdej dziedzinie życia zbiorowego były rządy państw zaborczych (str. 327). Przyczyny powstania listopadowego nie są przedstawione jasno. Złożyły się na nie piętnastoletnie gwałty rosyjskie, niedotrzymanie przyrzeczenia o przyłączeniu prowincji li-

tewsko-ruskich, wreszcie ogłoszenie mobilizacji i pogotowia marszowego przeciwko Francji (str. 350). Status organiczny nigdy nie był wprowadzony w życie (str. 355). Niepotrzebnie autor dał w przypisku uwagę o poprawnym zachowaniu się władz pruskich wobec powstańców listopadowych. Były przecież wypadki mordu bezbronnym żołnierzom by wspomnieć tylko Fischau i Elbląg. Jedyną to zresztą wyjątkiem tego rodzaju nieścisłości w całej książce (str. 357). Liczba ofiar rabacji galicyjskiej wynosiła 728 osób zabitych i 474 dworów ograbionych lub spalonych (str. 371). W Królestwie w latach sześćdziesiątych nie chodziło o uwolnienie włościan bo byli wolni od czasów Księstwa Warszawskiego, ale o ich uwłaszczenie (str. 388). Komitet Centralny wywołał powstanie po brance, a nie przed nią (str. 390). Mówiąc o polsko-czeskiej wojnie ze stycznia 1919, autor nie wspomina kto był stroną napastniczą (str. 464). Pomija milczeniem gorliwą i skuteczną obronę interesów niemieckich w Wersalu przez Lloyd George'a. Linia Bugu nie była linią Kongresówki sprzed wojny światowej, została w roku 1912 przesunięta, w wyniku wydzielania chełmszczyzny, bardziej na zachód (str. 467). Pominięta jest wrogość Czechów i ich wykorzystanie sytuacji z lata 1920 by zagrabic Zaolzie, ich wstrzymanie pociągów z bronią i amunicją, ich przeszkodzenie Węgrom przyjsciu Polsce z pomocą (str. 474).

Wspomniane wyżej przepisania się nie obniżają w niczym tej wartościowej pracy. Są do zanotowania dwa poważniejsze ominięcia, które, wolno wyrazić nadzieję, będą dodane w następnych wydaniach. Pierwsze to nie poświęcenie ani jednej strony polskiej polityce Prus w latach 1772-1815. A przecież to był okres największego rozprzestrzenia się królestwa Hohenzollernów na ziemi polskie, obejmujące jednocześnie trzy dawne stolice: Gniezno, Poznań i Warszawę. Należy dodać, iż jest pominięta także na obszarach już wcielonych do imperium, polska polityka Rosji tych lat. Drugim pominięciem to nie wspomnienie o ofercie pruskiej z marca 1848 pod adresem Francji by wspólną wyprawą na Rosję odbudować monarchię polską jako przedmurze dzielące Europę od wschodniego barbarzyństwa (str. 382).

Autor notuje z uwagą każdą zmianę położenia protestantyzmu w Polsce, ale pomija milczeniem, iż grupa rządząca po roku 1926 składała się w swej znacznej części z protestantów, do których w pewnym okresie swego życia należał i sam Piłsudski.

Na końcu pracy podane są trzy tablice genealogiczne: a) Piastów z X i XI wieku, b) głównych linii piastowskich od wieku XII z datami ich wymarcia, wielkopolskiej w 1296, małopolsko-mazowieckiej w 1525, górnośląskiej w 1625, dolnośląskiej w 1675, c) powiązania rodzinne córek Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego.

Pisownia polskich nazw jest bezbłędna. Nazwy niemieckie są podane tylko wtedy gdy te zdobyły już od stuleci prawo obywatelstwa w swym języku jak: Warschau, Lemberg, Gnesen i tp. Natomiast nie wiadomo dlaczego użyta jest czeska pisownia do takich nazw jak Orsza, czy nazwisk jak Ostrogski.

Słuszne jest podkreślenie, iż nie należy historię średniowiecza a szczególnie Zakonu krzyżackiego czy Śląska osądzać naszymi wyobrażeniami współczesnego nacjonalizmu. Największymi oponentami Zakonu byli przecież na samym początku ich sprawozdania biskup Prus Christian i zakon braci dobrzyńskich, a więc ośrodki niemieckie. Na Śląsku najdłużej trwały przy Polsce i odmawiały hołdu koronie czeskiej księstwa najbardziej ziemczone i najbliżej granicy czeskiej: świdnickie, niskie, ziembickie, jaworskie, wrocławskie. Odwrotnie, jeszcze za Kazimierza Wielkiego w zatargach jego z Zakonem książęta mazowieccy stawali po stronie krzyżackiej.

Autor wykazuje zadziwiającą znajomość licznych, nawet mało ważnych, szczegółów historii Polski, szczególnie na odcinku stosunków polsko-niemieckich w okresie średniowiecza. Byłby on najbardziej w tej chwili powołany do dania nam, w oparciu o najnowsze badania historyków tak polskich jak niemieckich, bardziej obszernego dzieła o tych czasach i ludziach. Jest to jedna z najpilniejszych potrzeb na odcinku wzajemnego poznania się naszych obydwóch narodów. Za bardzo ciąży jeszcze, szczególnie w ujęciach publicystycznych i popularno-naukowych, tradycja Henryka Treitschke który, w jak najlepszej zresztą wierze, przerstoty nowoczesnego nacjonalizmu rzutował na sprawy przeszłości.

Czytanie historii Polski napisanej przez obcych historyków jest zawsze zajęciem pożytecznym i pobudzającym do myślenia gdyż daje inne spojrzenie na nasze własne dzieje, sądy i emocje, tak często różne od ogólnie przyjętych w polskim dziejopisarstwie. Wyróżnia się tymi cechami i praca Gottholda Rhode. Napisana jest z dużą wiedzą i kulturą, zgodnie zresztą z jak najlepszymi tradycjami historiografii niemieckiej, z dużą sympatią do Polaków i ich przeszłości.

Najbardziej trudnym momentem przy opracowaniu tej książki było, jak to autor oświadczył ustnie niniejszemu recenzentowi, skrócenie napisanej książki do wymaganych rozmiarów. Jakże opuścić szczegóły, czy dokonany wybór był słuszny? — pytania te przez dłuższy czas trapiły autora. Żałujemy, iż wybór taki był konieczny, niewątpliwie byłoby lepiej gdyby praca mogła się ukazać w swej pierwotnej, nie skróconej, postaci. Stwierdźmy, iż wszystkie zostawione fakty są potrzebne i w całości zlewają się z ogólnym tokiem narracji.

Praca jest poświęcona dwu ludziom. Historykowi niemieckiemu Wernerowi Markertowi, wydawcy znanego podręcznika „Polen” i spiritus rector polsko-niemieckich spotkań historyków z roku 1956 i 1964 oraz jednemu bratu autora, który w ostatnich dniach sierpnia 1939 opuścił progi rodzinne „by udać się na wojnę jako polski żołnierz. Do domu nie wrócił. Miejsce, okoliczności i czas jego śmierci w polskim mundurze pozostają nieznane”.

Stanisław BÓBR-TYLINGO

Drugi tom „Diariusza”

Przed dwoma laty ukazał się pierwszy tom publikacji, zamierzonej na dużą skalę i mającej objąć całość *Diariusza* wiceministra Spraw Zagranicznych R.P. Jana Szembeka, pisanego w latach 1935-1945. Tom ten, który omówiłem w *Zeszytach Historycznych* (numer szósty, 1964, s. 216-222), zawierał zapiski za rok 1935. Tom drugi, wydany przed paru miesiącami, obejmuje rok 1936. Sądząc z rozmiarów wydawnictwa, można przypuszczać, że redaktor *Diariusza*, profesor Tytus Komarnicki, zamierza zamknąć całość w ramach wielu jeszcze tomów. Tak więc należy oczekiwać publikacji dalszych części, które doprowadzą dziennik do zakończenia drugiej wojny światowej. Z chwilą ukazania się ich, francuska wersja — Comte Jean Szembek, *Journal 1933-1939* — straci wszelką wartość dla historyka. Pozostanie ona jedynie jako smutne świadectwo dyktanckiego traktowania dokumentów i kurtyzowania materiałów w sposób nie odpowiadający wymogom naukowym.

Już po ukazaniu się tomu pierwszego, widać było, że minister Komarnicki postanowił nie ograniczyć się do wydania samego tekstu dziennika, lecz zdecydował się uzupełnić go bogatą dokumentacją pochodzącą tak z polskich zbiorów w Londynie jak i ze swego własnego archiwum. W braku wydanych drukami polskich dokumentów dyplomatycznych tego okresu — polska biała księga, opublikowana podczas wojny przez M.S.Z., stanowiła drobny i niekompletny fragment — decyzja ta wydaje się słuszna. W tych warunkach *Diariusz i Teki* to nie tylko dziennik, lecz także bardzo poważny zbiór dokumentów, pozwalających czytelnikowi zorientować się w kontekście zapisków wiceministra Spraw Zagranicznych i w całokształcie polityki zagranicznej tego okresu.

Drugi tom składa się z 356 stron dziennika (francuska wersja liczy 76 stron) i 211 stron dokumentacji. Do tego dochodzą jeszcze 14 stronicowe uzupełnienia do tomu pierwszego, skorowidz rzeczowy i indeks nazwisk. Z punktu widzenia technicznego, obecny tom, podobnie jak i poprzedni zawiera pewne drobne usterki, ale zwracając na nie uwagę nie można nie uwzględnić wielkich trudności wydawniczych, które profesor Komarnicki musiał przezwyciężyć, aby doprowadzić do ukazania się tego monumentalnego wydawnictwa. W odróżnieniu od pierwszego tomu, czytelnik dysponuje skorowidzem, który niezmiernie ułatwia posługiwanie się *Diariuszem*. Jak słusznie zauważa redaktor w przedmowie,

* *Diariusz i Teki Jana Szembeka 1935-1945*, opracował Tytus Komarnicki, tom II, Polski Ośrodek Naukowy w Londynie, 1965. Str. VII, 588.

ani dokumenty niemieckie ani angielskie takich skorowidzów nie posiadają. Pod tym względem o wiele wyżej stoją *The Foreign Relations of the United States*, mogące służyć za wzór starannego opracowania, lub w mniejszym już stopniu *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, wydawane w Warszawie i Moskwie. W skorowidzu nazwisk, sporządzonym przez prof. Komarnickiego, odczuwa się brak imion szeregu osób a także zaznaczenia ich funkcji czy pozycji w 1936 roku. Oczywiście w wielu wypadkach czytelnik może zajrzeć do listy biograficznej w pierwszym tomie, ale niezawsze znajdzie tam odpowiedź na swoje pytanie. Nawet zawodowy historyk, interesujący się tym okresem może mieć pewne kłopoty, chcąc dajmy na to zidentyfikować p. Hiott, którego nazwisko figuruje w zapiskach na s. 38. Takich przykładów można zacytować więcej.

Jest rzeczą zrozumiałą, że prof. Komarnicki nie mógł dać wyczerpujących wyjaśnień dotyczących wszystkich zagadnień poruszanych przez Szembeka. W niektórych jednak wypadkach — jak na przykład w sprawie biskupa Łozińskiego — prosiłoby się o krótki odsyłacz, tłumaczący wagę czy istotę tego incydentu. Skrót D.D.F. na s. 401 i 405 odnosi się z pewnością do francuskich dokumentów dyplomatycznych (*Documents diplomatiques français*), ale D.D.F. nie figuruje na stronie wyjaśniającej znaczenie skrótów. Mało zorientowany czytelnik może więc mieć pewne trudności w zrozumieniu o co tu chodzi.

Dokumentacja zebrana przez min. Komarnickiego jest imponująca; szczególnie ważne są pozycje pochodzące z jego własnego archiwum. Zachodzi jednak pytanie czy jest celowe przytaczanie ustępów z niektórych źródeł publikowanych i stosunkowo łatwo dostępnych, jak na przykład z *Deklaracji i wywiadów* Becka, lub ze sprawozdań z posiedzeń Ligi Narodów. Zapewne redaktorowi chodziło o możliwie wyczerpujące naświetlenie zapisków Szembeka i bezprzecznie cel ten osiągnął. Dzięki 105 załącznikom, z których składa się dokumentacja, *Diariusz* stał się o wiele bardziej zrozumiałym i czytelny, ale odbyło się to kosztem przeładowania tomu dodatkowym materiałem.

Omawiając sprawę opracowania materiału do pierwszego tomu *Diariusza*, zwróciłem uwagę na potrzebę wyjaśnienia trzech kwestii: Primo, czy istnieją luki w zapiskach Szembeka? Secundo, czy zapisek umieszczony pod daną datą jest zapiskiem pełnym? Tertio, czy przy opuszczaniu mniej istotnych części, nie byłoby właściwe zaznaczać, co i dlaczego zostało opuszczone?

Tom drugi nie rozprasza tych wątpliwości. W całym szeregu miejsc pojawia się kropkowanie, które normalnie oznacza, że ustęp, zdanie, lub słowo zostało opuszczone. A więc mamy kropki na s. 27, linia 6 od dołu (rozmowa z Moltke'm), na s. 28 linia 8 rozmowy z Papée; s. 80, ostatnia linia rozmowy z Lipskim; s. 121, linia 13 od dołu (rozmowa z Noëlem); s. 177 ostatnia linia (rozmowa z Kobylańskim). Nie jest jasne czy opuszczono jakieś zdanie czy też brak go w oryginale zapisku. Przy tak starannym,

rzec można pedantycznym, opracowaniu *Diariusza*, usunięcie tych drobnych wątpliwości byłoby rzeczą łatwą i chyba celową.

Lektura zapisków Szembeka za rok 1936 nasuwa różne refleksje. Rok ten, jak słusznie podkreśla prof. Komarnicki, był przełomowym rokiem w historii stosunków międzynarodowych okresu dwudziestolecia. Zajęcie Nadrenii, wybuch wojny domowej w Hiszpanii, wkroczenie wojsk włoskich do Addis Ababy, powstanie osi Berlin-Rzym, konferencja w Montreux, układ niemiecko-austriacki przygotowujący drogę do *Anschlussu* — oto najważniejsze wydarzenia brzemienne w skutkach. Patrząc na ten rok z dzisiejszej perspektywy widać wyraźnie słabość mocarstw zachodnich, narastanie potęgi hitlerowskich Niemiec i faszystowskich Włoch i zarysowujący się podział Europy na dwa ideologicznie wrogie obozy. Wydarzenie takie jak zajęcie Nadrenii stanowiło z polskiego punktu widzenia moment kulminacyjny długiego procesu, podczas którego wciąż malały możliwości francuskiej ingerencji w sprawę Europy środkowo-wschodniej. Od momentu odrzucenia przez mocarstwa anglosaskie planów francuskiej granicy na Renie, poprzez fiasko okupacji zagłębia Ruhry, przez układy lokarneńskie, Paryż tracił coraz wyraźniej inicjatywę polityczną a przede wszystkim wojskową. Praktyczna możliwość wypełnienia zobowiązań sojuszniczych wobec krajów położonych na wschód od Niemiec stawała pod znakiem zapytania. Rysowało się widmo wojny defensywnej na froncie zachodnim umożliwiającej *Blitzkrieg* na wschodzie. Sytuacja Polski stawała się wręcz katastrofalna.

Odczytując obecnie zapiski Szembeka nie odczuwa się uświadomienia sobie grozy narastającego niebezpieczeństwa. Wydarzenia dnia codziennego przesłaniają perspektywy rozwojowe. Jest to częściowo zrozumiałe w *Diariuszu*, w którym Szembek notował rozmowy nie wyrażając na ogół swych opinii i nie komentując wydarzeń. Z nielicznych ustępów, zawierających ogólniejsze uwagi i refleksje, przebija wiara w możliwość stabilizacji stosunków z Niemcami (na przykład s. 127-128). Ale są też i inne akcenty. Szczególnie interesująca jest urywana rozmowa Szembeka z Rydzem-Śmigłym 30 września 1936. Wiceminister stwierdzał w niej, że obecne tezy „nie wiązania się z żadną stroną” nie da się na długo utrzymać. Przychodzi do następującej wymiany zdań:

Szembek: — „Jeżeli zaś będziemy się musieli za którąś ze stron opowiedzieć, to wydaje mi się...”

General: — „Na pewno nie za bolszewicką” (s. 293, kropkowania w tekście).

Co oznacza to nie dopowiedziane zdanie Szembeka? Co miał na myśli Rydz-Śmigły, który jak z tekstu zapisków jasno wynika uważał wojnę z Niemcami za nieuniknioną. Czy wyrażał tu jedynie obawę co do sojuszu Polski z Sowietami, który jego zdaniem byłby katastrofalny dla kraju? Czy miał on na uwadze jakieś względy ideologiczne? Trudno znaleźć na to odpowiedzi.

Ale przytaczanie urywków dziennika nie prowadzi do niczego, może natomiast dać fałszywy obraz całości. Bardziej istotny jest

ogólny ton zapisków, oddających poglądy i nastroje kół kierowniczych MSZ. Jeżeli na podstawie *Diariusza* można by się pokusić o ich charakterystykę, to wydaje się, że trzy elementy zasługują na podkreślenie. Są to: wspomniana już wiara w stabilizację stosunków polsko-niemieckich; przecenianie znaczenia i roli Polski w układzie międzynarodowym; oraz teza, że wzmocnienie kraju poprzez rządy silnej ręki ułatwi dyplomacji polskiej jej działalność zagraniczną.

Z dzisiejszej perspektywy łatwo jest krytykować pewną naiwność i krótkowzroczność przedwojennego MSZ. Lektura wspomnień, listów czy pamiętników dyplomatów zachodnioeuropejskich — szczególnie angielskich — wskazuje na to, że oni również, a może nawet w większym jeszcze stopniu, nie widzieli tragizmu przeżywanej epoki. Krótkowzroczność, zaślepienie, troska o drobne sprawy bieżące, zaślaniały szersze horyzonty. Chamberlain, Halifax, częściowo Eden, Bonnet, Daladier, Delbos nie stali wyżej od swych polskich kolegów.

Kluczowym zagadnieniem drugiego tomu *Diariusza* jest oczywiście sprawa zajęcia Nadrenii przez Niemcy. Zarówno zapiski Szembeka, jak i liczne dokumenty cytowane przez prof. Komarnickiego, dają nam pełny obraz ówczesnej sytuacji. Nowe materiały potwierdzają opinie historyka o prawidłowości posunięć politycznych Becka. Dochodzą też nowe szczegóły jak na przykład fakt osobistego podyktowania przez Becka słynnego komunikatu „Iskry”. O ile jednak *Diariusz*, wraz z całą nagromadzoną dokumentacją, dostatecznie wyjaśnia motywy ówczesnej polityki polskiej, same zapiski nie stwarzają wrażenia, że zdawano sobie w pełni sprawę z niebezpieczeństwa płynącego dla Polski z okupacji a następnie remilitaryzacji Nadrenii. A przecież był to śmiertelny cios wymierzony w cały system wojskowego sojuszu polsko-francuskiego. To nie honor żołnierski ani remiscencje szwoleżerów napoleońskich — jak pisze p. Michał Łubieński w urywku cytowanym przez Komarnickiego na s. 404 — ale najbardziej żywotny interes Polski powinien być dyktować Beckowi jak najostrzejsze stanowisko w sprawie Nadrenii. Zapewne, w istniejącym układzie i przy defetyzmie Francji, nie mógł on wiele zrobić. Ale jeśli reakcja MSZ była właściwa o tyle nie wydaje się, by rozumiano w pełni grozę sytuacji. Zapiski w *Diariuszu* brzmią rzeczowo i chłodno: wyczuwa się nawet pewną *Schadenfreude* wobec Francji.

Sprawa stosunku Becka do Francji jest niewątpliwie zagadnieniem złożonym, którego nie należy upraszczać. *Diariusz*, a raczej jeden z załączników przynosi interesującą wypowiedź Becka, podaną w formie żartobliwej, która jednak dość dużo tłumaczy. Beck porównuje stosunki polsko-francuskie do stosunku siostrzeńca, który jest już dorosły — jest nawet oficerem rezerwy — do ciotki, która przyzwyczaiła się traktować go jak smarkacza. Oczywiście wywołuje to „konflikty rodzinne”, ale siostrzeniec nie traci nadziei, że ciotka go wreszcie doceni i że znów będzie mógł z nią trzymać dobre stosunki, traktowany już ja-

ko dojrzały człowiek. „Pan Minister nie traci nadziei, że jeszcze będzie mógł pojechać na szklanę wina do ciotki na imieniny” (s. 369). Niewątpliwie odpowiedzialność za niezadawalający stan stosunków polsko-francuskich była obustronna. Kompleks „siostrzeńca” zabarwił jednakże politykę Becka, nie przynosząc wyraznych korzyści Polsce. Nie chodzi tu tyle o istotę tej polityki, ale *c'est le ton qui fait la chanson*, a ton polskiego ministra Spraw Zagranicznych, jak *Diariusz* to raz jeszcze potwierdza, niezawsze wskazywał na to, że „siostrzeniec” stał się już człowiekiem w pełni dojrzałym.

Ale, wróćmy do samego *Diariusza* i jego miejsca wśród publikacji naukowych. Na przestrzeni ostatnich lat pojawiło się szereg wydawnictw, które w mniejszym lub większym stopniu umożliwiają pracę badawczą historyka doby najnowszej. W dziedzinie stosunków międzynarodowych źródła amerykańskie, niemieckie, angielskie, włoskie wzbogaciły się ostatnio przez pierwsze tomy dokumentów francuskich. Rosja rozpoczęła w 1959 roku wydawanie wielotomowych dokumentów polityki zagranicznej; Moskwa i Warszawa wydają materiały dotyczące wzajemnych stosunków od 1917 roku: tom czwarty doprowadza je do maja 1926 roku. W Polsce wydano pierwszy tom zbioru: *Sprawy polskie na konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 r.* Na Węgrzech ukazały się ostatnio dwa tomy dokumentów dyplomatycznych, dotyczących lat międzywojennych.

Publikacje źródeł do historii najnowszej w krajach „bloku socjalistycznego”, noszą, w większym stopniu niż inne wydawnictwa, piętno wymogów ideologicznych. Losy wydawnictwa *Materiały archiwalne do historii stosunków polsko-radzieckich*, które po ukazaniu się pierwszego tomu, zastąpiono publikacją wydawaną wspólnie przez Moskwę i Warszawę, obrazują istniejące trudności. Archiwum MSZ w Warszawie, choć bardzo zdekompletowane przez wojnę i zwrócone Polsce przez ZSSR dopiero w okresie popaździernikowym, zawiera poważne zespoły akt. Dotąd jednak nie podjęto próby systematycznego ogłaszania polskich dokumentów dyplomatycznych. Na Zachodzie istnieje kilka ośrodków polskich materiałów archiwalnych — w Londynie, N. Jorku, Montrealu, Stanfordzie — ale tu także nie można było przystąpić do wydawania dokumentów na skalę publikacji zachodnich. Trudności finansowe, techniczne i personalne stoją niejednokrotnie na przeszkodzie. Instytut Gen. Sikorskiego opracował pokaźny tom poświęcony stosunkom polsko-sowieckim w okresie drugiej wojny światowej, co stanowiło poważne osiągnięcie, ale dalsze tomy jak dotąd się nie ukazały. Inicjatywa prof. Komarnickiego opublikowania pełnego *Diariusza Szembeka* — tej kluczowej pozycji wśród źródeł do polskiej polityki zagranicznej trzydziestych lat — zasługuje na szczególne uznanie. W miarę ukazywania się poszczególnych tomów, *Diariusz* wraz z towarzyszącymi mu dokumentami, staje się niezastąpioną kopalnią wiadomości.

Piotr WANDYCZ

Nadesłane nowości wydawnicze

- Pamiętnik Kijowski*. Tom III. Str. 271. Z mapą i skorowidzem nazwisk. (Nakładem Koła Kijowian, Londyn, 1966. Cena 37/6 plus 2/6 za przesyłkę).
- LESZCZYŃSKI (Wacław). *Ostatnia przystuga latarni*. Wspomnienia. Str. 232 i 27 ilustracji nlb. (Nakładem Autora, Toronto, Canada, 1966).
- RYDEL (W.). *Historia małego człowieka*. Str. 384. (W tym dodatek w jęz. angielskim, tłum. Adam Truscoe). (Nakładem Autora, Melbourne, 1966).
- MARCINKIEWICZ (Jan). *Pod znakiem Marsa*. Str. 181. (Powieść). (Wyd. Autor na prawach rękopisu, High-Wycombe, Buckinghamshire, 1965).
- SIWEK (Paweł ks. TJ). *Katolicy filozofowie i psychologowie polscy za granicą 1939-1964*. Str. 82. (Odbitka z tomu XI „Sacrum Poloniae Millennium, Rzym, 1965).
- URBAN (Wincenty bp). *Ostatni etap dziejów Kościoła w Polsce przed nowym tysiącleciem (1815-1965)*. Str. 555. (Wyd. Edizioni Hosianum, Rzym, 1966).
- MILIK (J. T.). *Święty Świerad*. Saint Andrew Zoeradius. Str. 191 i 5 nlb. Index nomina sanctorum. (Wyd. Edizioni Hosianum, Roma, 1966).
- MIREWICZ (Jerzy, Ks. TJ). *Czytając Ewangelię*. Str. 248. (Nakładem Ojców Jezuitów, Londyn, 1966).
- Vocationum Liber Autobiographicus*. Poloniae Provinciae Proprius (1574-1580). Str. 418 z 37 ilustracjami i ich wykazem oraz Indexem osób, miejscowości i rzeczy. (Opracował i wydał P. Josephus Warszawski, S. I., Rzym, 1966).
- JANTA (Aleksander). *Godzina dziejowej kaczki*. Mała antologia poezji japońskiej. Str. 52 i 2 nlb. Stowo wstępne dr J. Miś. Przedmowa tłumacza A. Janty. Projekt okładki i wyklejek, linoryt i prace graficzne — St. Gliwy. (Nakładem Oficyny Stanisława Gliwy Londyn, 1966).
- Madonna poetów*. Antologia współczesnej polskiej poezji maryjnej. Str. 76 i 4 nlb. Opracował ks. dr Zdzisław J. PESZKOWSKI. Siedem drzeworytów Stefana Mroźewskiego. (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1966).
- LUBOML (Konstanty A.). *Stawiska*. Wiersze. Str. 112. (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1966).
- CHABROWSKI (o. Wacław T.). *Lato w Pensylwanii*. Wiersze. Okładka i rysunki Jana Głowackiego. Str. 61 i 3 nlb. (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1966).
- CIOŁKOSZ (Adam). *Kilka słów wyjaśnienia*. W sprawie scalenia Obozu Niepodległościowego. Str. 24. (Nakł. Egzekutywy Zjedn. Nar., Londyn, 1966, cena 1 sh.).
- GAMARNIKOW (Michał). *Polska, Wspólny Rynek i Zjednoczona Europa*. Próba perspektywicznej analizy. Przedmowa J. Starzewskiego. Str. 44. (Nakł. Egzekutywy Zjedn. Nar. i Polskiego Komitetu Ruchu Europejskiego, Londyn, 1966, cena 3 sh.).
- O polskiej muzyce*. (Polish Music). Str. 48. (Nakł. Hufca Harcerek „Podhale” w Nowym Jorku. Związek Harcerstwa Polskiego, New York, 1966).
- MANN (Mendel). *Les plaines de Mazovie Roman*. Str. 303. Traduit du yiddish par E. Fridman. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1966, cena F. 16,00).
- KOŁODZIEJ (Léon). *Adam Mickiewicz. Au carrefour des romantismes européens*. Essai sur la pensée du Poète. Str. 572 i 2 nlb. Bibliographie. Index des nom de personnes. (Ed. Ophrys, Publication des Annales de la Faculté des Lettres, Aix-en-Provence, 1966).

Listy do Redakcji

Whitestone, N.Y., 20 czerwca 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

W majowym numerze „Kultury” przeczytałem z przejęciem i przerażeniem list mego dawnego kolegi oddziałowego Z. Siemaszki dotyczący Dr. Retingera.

Sposób i okoliczności w jakich Dr Retinger miał być zgładzony są rewelacją budzącą niesmak i poczucie wstydu.

Jako dawny żołnierz Oddziału 6 uważam za swój moralny obowiązek żądać od ludzi dziś jeszcze żyjących a zamieszanych w tę sprawę pewnych wyjaśnień.

„Szóstka” była oddziałem dyspozycyjnym Sztabu Naczelnego Wodza przeznaczonym do walki z okupantem w kraju. Element który zgłaszał się do tej służby był wysoce ideaowy i bez przesady można go zaliczyć do kwiatu Armii Polskiej. Jest rzeczą wysoce bolesną dowiedzieć się dzisiaj, że nasz oddział był używany do likwidacji osób „niepożądanych” także między Polakami.

Uważam kol. Siemaszkę za człowieka poważnego i patriotę, określenie „wierny syn Kresów” jest w jego przypadku najbardziej właściwe. Pewien też jestem, że to co napisał nie jest powtarzaniem plotki, ani że jest zmyślone. Kol. Siemaszko broni swego zdania o Dr. Retingerze argumentem, że miał on być zlikwidowany na rozkaz jako osoba szkodliwa sprawie polskiej. Pytam więc, gdzie są dowody, jakie one są i czym agentem był naprawdę Dr Retinger? Na czym miała polegać jego zbrodnia, czy może zdrada? Czy możliwe jest, że Pułkownik Dehmel sam wydał decyzję uśmiercenia człowieka o znanym nie tylko między Polakami nazwisku, tając ten fakt przed Naczelnym Wodzem że może on nie zatwierdzić tego rodzaju postępowania, albo sprzeciwił się skrytobójczym metodom likwidowania przy pomocy wojska — czy nie przypadkiem po prostu przeciwników politycznych?

„Kultura” jest jedynym czasopismem polskim na świecie, które nie będąc organem żadnej organizacji, ugrupowania, czy partii, służyć może jako otwarte forum dla każdego Polaka.

Przyszłe pokolenia będą często sięgały do jej zeszytów aby szukać prawdy o swoim Narodzie z okresu drugiej wojny światowej, czy też o emigracji jaka w jej wyniku żyje i rozwija się poza krajem. Jakże ta prawda będzie straszna. My, którzy zostaliśmy na zachodzie dla Zasady, z ustami pełnymi frazesów o wolności, sprawiedliwości i demokracji, w rzeczywistości sami rządzyliśmy się prawem dżungli. Jak to wytłumaczyć naszym dzieciom?

Wydaje mi się, że pozostaje nam dzisiaj jedynie jeszcze droga otwartej dyskusji na łamach „Kultury”. Niech ludzie, którzy w owym czasie piastowali wysokie urzędy państwowe, Naczelny Wódz, Premier, Dowódca AK, Dowódca 2-go Korpusu wypowiedzą się, a opinia publiczna niech sędzi ich wypowiedzi.

Od dziecka sposobem się do zawodu wojskowego. Wpajano we mnie zasadę, że główną cechą oficera jest umiejętność brania na siebie odpowiedzialności. Chciałbym wiedzieć, kim byli ludzie wydający zaoczne wyroki na osoby, które ich zdaniem mogły być szkodliwe w danym momencie i jakim prawem powoływali do ich wykonania „kwiat Armii”. Chciałbym wiedzieć o co i z kim toczyła się wojna, w której brałem udział z wiarą, że walczyliśmy o sprawiedliwość, wolność i uczciwość polskiego życia, ale w służbie i interesie całej ludzkości.

Łączę wyrazy szacunku,

Eugene WITT

Londyn, 7 lipca 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę uprzejmie o umieszczenie mej odpowiedzi na list p. Z. S. Siemaszki ogłoszony w majowym numerze „Kultury” b.r.

W rozmowie, na którą p. Siemaszko się powołuje, przedstawiłem mu fakty w ich prawdziwym świetle, jak następuje:

Po otrzymaniu wiadomości, że Retinger wysyłany jest do kraju bez wiedzy Prezydenta RP i Rządu RP, a więc w jakiejś tajemniczej misji, najwidoczniej nie wynikającej z interesów polskich — postanowiłem na własną rękę uprzedzić o tym władze podziemne w kraju, wysyłając depeszę do płk. K. Iranek-Osmeckiego.

W depeszy ostrzegłem, że do wysłanego w takich okolicznościach emisariusza nie można mieć zaufania i wobec tego trzeba zbadać z czym przybywa do kraju, jak się tam zachowa i jaki stamtąd „bagaż” zabierze.

W rozmowie z p. Siemaszko stwierdziłem, że depeszę wysłałem na własną odpowiedzialność i że wszystkie inne pogłoski na temat tej depeszy, w szczególności zamieszczone w publicystyce krajowej, są wymysłem.

Jest pożądania godne, że dla podbudowania postawionej tezy, autor listu przypisuje mi wypowiedzi, których ode mnie nie usłyszał, a na dobitkę podaje je w cudzysłowie.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

F. DEMEL, płk.

Londyn, 28 lipca 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Dziękuję za nadesłanie kopii listu płk. Demela z 7 lipca 1966 r. w związku z którym pragnę stwierdzić co następuje.

Płk. Demel podaje nowe elementy tej rozmowy na którą powołałem się w swoim liście na temat dr. Retingera opublikowanym w majowej „Kulturze”. Niektóre z tych elementów nie są ścisłe. Po pierwsze, nie było mowy o zbadaniu „bagażu” dr. Retingera. Po drugie płk. Demel nie zaprzeczył, a wręcz przeciwnie potwierdził, wiadomość podaną przez Aleksandra Skarzyńskiego (w książce pt. „Polityczne przyczyny powstania warszawskiego”, P.W.N., W-wa 1964), iż telegram nakazujący sprzątnięcie dr. Retingera został wysłany do kraju przez płk. Demela.

Rozmowa z płk. Demelem odbyła się w obecności świadka, który gotów jest potwierdzić przebieg rozmowy podany przeze mnie. Nazwisko i adres świadka rozmowy przesyłam na ręce Pana Redaktora.

Rozmowa na którą się powołałem nie była przypadkowa. Odbyła się ona w czasie z góry zaaranżowanego spotkania z płk. Demelem, którego celem było zbieranie materiałów do spraw krajowych z okresu drugiej wojny światowej. Płk. Demel nie zastrzegł, iż to co mówił na temat wystania telegramu w sprawie dr. Retingera ma charakter poufny.

Pozostaje z szacunkiem,

Z. S. SIEMASZKO

Paryż, dnia 18 lipca 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Kulturze” lipiec-sierpień 1966, w dziale który nosi tytuł moim zda-

niem angażujący, bo „ARCHIWUM POLITYCZNE”, na stronach 102-103, „Paryżanin” pisze o Millenium i Pielgrzymce Tysiąclecia.

Pomijając negatywny charakter tych notatek, z przykrością zauważam, że zawierają one cały szereg nie tylko tendencyjnych i nieściśłych ale wręcz fałszywych informacji.

Tak się złożyło, że byłem bezpośrednim świadkiem tak przygotowań jak i przebiegu manifestacji millenijnych zarówno w Paryżu jak i w Rzymie. Poczuję się więc do obowiązku sformułowania niniejszego sprostowania.

1. Prawdą jest, że w katedrze w Notre Dame na uroczystościach Tysiąclecia najpoważniejszą grupę stanowiły delegacje, szczególnie z Północnej Francji. Ale nieściśle jest zdanie, że: „Gdyby nie oni, Katedra Notre Dame świeciłaby pustkami”. — Według obliczeń w katedrze było około a może nawet przeszło 7000 wiernych. Delegacje przyjechały 45 autobusami, czyli że przybyło spoza Paryża i okolic tylko około 2500 osób.

2. Prawdą jest, że pod naciskiem tłumy pękły pierwsze bariery głównej nawy, czego zresztą „Paryżanin” nie zauważył i istotnie z tego powodu nastąpiło pewne zamieszanie. Nie wiem jakie osobistości nie dostały się do miejsc, które im zarezerwowano. Wiem jednak, że osobistości, oficjalne i wysoko postawione, a o takie chodzi „Paryżaninowi”, które zgłaszały telefonicznie lub pisemnie swój udział, siedziały na swoich miejscach. Kanadyjski sprawozdawca „Wiadomości Polskich” dosłownie pisze: „Jak z reguły, nasz charakter Polaków z Kanady otwiera nam gościnnie podwoje i wkrótce znajdujemy się w głównej nawie, starannie podzielonej na sekcje, gdzie czekają nas nieliczne już w tej chwili wolne miejsca”. (maj-czerwiec 1966, str. 16.).

3. O każdej manifestacji na miarę tej jaka miała miejsce w sali Pleyel jest zawiadamiana policja. Dyrekcja sali zamiast 2500 pozwoliła wejść na akademię 3500 uczestnikom. Nie zgodziła się jednak na wpuszczenie około 500 pozostałych osób z tej prostej przyczyny, że na więcej nie pozwalała jej ubezpieczenie. Stąd interwencja policji. — Każdy współczuł tej poważnej grupie zawiedzionych ale i wśród nich była tylko mała część górników z Północy, a reszta to dość duża grupa naszych rodaków z Paryża w czym kilkudziesięć Sióstr zakonnych z klasztorów paryskich.

4. Ksiądz Biskup Władysław Rubin nie czynił żadnych starań o to, aby Ojciec św. przyjął na audiencji 38 osób, które „Paryżanin” nazywa „niezłomnymi”. Nikt też w tej grupie nie był upoważniony, aby reprezentować Polskę czy pielgrzymkę francuską. Dlatego krzywdzący jest wniosek „Paryżanina” że wyzyskano „nie najlepszą znajomość stosunków emigracyjnych ze strony młodego opiekuna duchowego Emigracji”. Innego zdania jest sprawozdawca Kanadyjski, który à propos spotkania i rozmowy grupy kanadyjskiej z Księdzem Biskupem Władysławem Rubinem w Rzymie pisze: „... następuje w swobodnym i miłym nastroju wyczerpująca rozmowa i bardzo dla nas pouczająca na tematy polskie i kanadyjskie, która dowodzi jak gruntownie przygotowany jest do swej roli nasz dostojny Gospodarz”. („Wiadomości Polskie”, str. 8).

Fałszywy jest i dalszy wniosek „Paryżanina” jakoby wywołało to rozgoryczenie w kołach kierowniczych Kongresu Polonii Francuskiej i kleru z Francji. Fałszywy dlatego, bo „Paryżanin” nie wie o tym, że to właśnie Ksiądz Biskup Władysław Rubin, po uroczystej Mszy św. w Bazylice św. Piotra, przedstawił Ojcu św. zarówno Prezesa Kongresu Polonii Francuskiej jak i delegację górników z Francji — delegację, którą sam Prezes Kongresu wybrał. A przecież delegacji tej Ojciec św. poświęcił kilka chwil serdecznej rozmowy i to na oczach wszystkich uczestników. Reprezentacja duchowieństwa z Francji, jaką przedstawił przy tej samej okazji Ojcu św. również Ksiądz Biskup Władysław Rubin była najliczniejszą reprezentacją ze wszystkich Misji. Wreszcie na wniosek Księdza Biskupa Rubina kilku delega-

tów i delegatek z Francji przyjęło z rąk Ojca św. Komunię św., w tym Prezeska Bractw Różańcowych i Prezeska Związku Polek we Francji.

O klucz i proporcje nie było łatwo. Każdy bowiem kraj, który zdobył się na małą nawet grupę pielgrzymów, słusznie pretendował do honoru, aby i jego delegacja była przedstawiona Ojcu św. Mimo to Francja nie była pokrzywdzona. Dlatego nie wiem kto upoważnił „Paryżanina” do wykrzyknika: „Kongresowi Polonii Francuskiej należy się satysfakcja”.

Ubolewać należy, że po dwudziestu latach doświadczeń, właśnie wtedy, gdy emigracja pokusi się o zorganizowanie czegoś na wielką skalę znajdzie się ktoś, kto zza płotu, bo pod pseudonimem „Paryżanin”, rzuca pseudofaktami i w dodatku w ramach „ARCHIWUM POLITYCZNEGO”. Wyrozumiałszą dla usterek była prasa nie-polska. Po prostu je przemilczała. Bo jeśli nawet były jakieś usterek, to były one niepomiarne małe w stosunku do całości przedsięwzięcia i to na taką skalę na jaką emigracja w okresie dwudziestolecia jeszcze nigdy się nie zdobyła.

Z poważaniem,

Ks. Zbigniew BERNACKI

Paryż, 19 lipca 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z notatką „Paryżanina” w Kronice francuskiej („Kultura”, nr 7-8 1966) o uroczystości Millenium w Paryżu, jako jeden z wiceprezów Komitetu organizacji tej uroczystości pragnąłbym sprostować pewne nieściśłości.

„Paryżanin” pisze: „Gdyby nie oni (tzn. górnicy z rodzinami z Francji Północnej), katedra Notre Dame świeciłaby pustką”. Tak by nie było. Przed katedrą znajdował się komisarz z Prefektury Policji z kilku współpracownikami i byłem przy nim, gdy dwaj z nich przynieśli mu wykaz autobusów przybyłych z prowincji, z numerami departamentów i ilością miejsc w każdym autobusie (policja zaparkowała te autobusy w jednym miejscu). Było ich 37, przeciętnie po 50 miejsc, co daje prawie 2.000 osób. Kilka autobusów zatrzymało się dalej od katedry i ogółem według obliczeń naszego Komitetu do Paryża przybyło 45 autobusów spoza rejonu Paryża (razem ok. 2.300 osób).

Ten sam komisarz wysłał następnie dwóch inspektorów do katedry dla podania mu oceny, ile ludzi znajduje się wewnątrz. Obliczyli na ponad 6.000 osób. Ludzie napływali jednak niemal do końca nabożeństwa, bo wielu automobilistów z przedmieść Paryża opóźniła odbywającą się w tym samym czasie uroczystość pod Łukiem Triumfalnym z udziałem gen. de Gaulla. Z jej powodu wiele ulic w okolicy Etoile i Champs-Élysées było zamkniętych dla ruchu. Ostatecznie oceniliśmy, że na nabożeństwo przybyło ok. 7.000 osób, choć jeden z obcych dziennikarzy podał nawet cyfrę 8.000. Jest to wiele i jeżeli wierzyć jednemu z kanoników katedry, to na żadnej z powojennych wielkich uroczystości francuskich takiego tłumy w Notre Dame nie było. Czyli pustka w żadnym wypadku nie groziła. Polscy Paryżanie (mieszkańcy, a nie kronikarze) zdali egzamin.

Rzeczywiście rodacy za wszelką cenę starali się dostać do środkowej nawy i na skutek tego zapanował w niej wielki tłok. Ale mimo tego wszystkie osobistości, które zapowiedziały swój udział, znalazły się na swoich miejscach. Deputowanym J.-P. Palewskim zająłem się osobiście i wszedł on do katedry, wraz z kilku innymi gośćmi, bezpośrednio za pocztami sztandarowymi, co zresztą było przewidziane i co jest normalne w tego rodzaju uroczystościach. Inne osobistości, widząc ten wielki tłum, weszły do katedry bocznymi

wejściem, gdzie też byli członkowie Komitetu. Wyjaśniam „Paryżaninowi”, że Gaston Palewski do katedry się nie dostał — z tego prostego powodu, że do niej nie przybył. Na kilka dni przed uroczystością zawiadomił Komitet, że ze względu na rocznicę zwycięstwa pod Łukiem Triumfalnym w naszym Millenium nie może wziąć udziału.

Wśród osób, które nie dostały się do sali Pleyela, większość stanowili mieszkańcy Paryża i przedmieść, którzy — jak zwykle — spóźniają się na akademie. Przybyłszy z Północy już na godzinę przed rozpoczęciem programu wypełnili salę. Policji nie wzywano, jedynie dyrektor sali, tłumacząc ludziom którzy pozostali na zewnątrz, dlaczego ich nie może wpuścić, powoływał się na policję i jej przepisy. Kilku obecnych od początku policjantów to potwierdziło. Tenże dyrektor powiedział ludziom, którzy nie mogli wejść: „Jesteście ofiarą wielkiego sukcesu tej manifestacji”.

Nie byłem z pielgrzymką Tysiąclecia w Rzymie. Ale muszę „Paryżaninowi” (który też tam widać nie był) wyjaśnić, że w tej pielgrzymce wzięło udział ponad 3.000 osób niemal ze wszystkich krajów zachodnich, gdzie są skupiska polskie, a nie tylko Kongres Polonii Francuskiej. Z W. Brytanii było przypuszczalnie tyle samo osób, co z Francji. Jak mnie informowali członkowie naszego Komitetu obecni w Rzymie, pielgrzymka z Francji wcale nie była tam traktowana po macoszemu, a odwrotnie, Ojciec Święty specjalnie przyjął jej delegację z prezesem Kongresu na czele. Pielgrzymka z Francji była w Rzymie wyróżniona. Natomiast jeżeli chodzi o audiencję „38 osób”, o której pisze „Paryżanin”, to wzięli w niej udział przedstawiciele wszystkich pielgrzymek i wszystkich organizacji, które wysłały swe delegacje do Rzymu i o ile mi wiadomo, były trudności, by nikogo nie pominąć i zmieścić wszystkich w ustalonej cyfrze.

Na czym „Paryżanin” opiera swe twierdzenie, o rzekomym rozgoryczeniu kleru i należnej Kongresowi satysfakcji — nie wiem. Sądzę, że gdyby w Rzymie postąpiono nieodpowiednio wobec pielgrzymki z Francji, to pierwszy byłby o tym poinformowany prezes naszego Komitetu Millenium Ks. Infułat Kwaśny, bo m.in. Kongres z ramienia Komitetu organizował pielgrzymkę. A wsadzenie nawet tu „niezłomnych” wchodzi już chyba w dziedzinę osobistej i tajemniczej mitologii autora notatki.

Łączę wyrazy poważania i serdeczny uścisk dłoni, szczerze oddany

Marian CZARNECKI

Villemoble, 28 lipca 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pogratulować pragnę Paryżaninowi za jego artykuł w lipcowym numerze „Kultury”. Stykając się codziennie prawie z działaczami naszej emigracji we Francji mogę Pana zapewnić, że podanie wiadomości o pielgrzymce Polaków z Francji do Rzymu stanowi pożądany wyłom. Utałał się bowiem jak gdyby zwyczaj systematycznego przemilczania pracy tych wszystkich organizacji emigracyjnych i ich działaczy, którzy nie mają dostępu czy możliwości pisania do swojego rodzaju zmonopolizowanej prasy polskiej. Dlatego, szara, trudna i codzienna praca tych ludzi, szerszemu ogółowi nie jest znana. A szkoda! Artykuł Paryżanina budzi więc nadzieję, że i w dalszym ciągu można będzie liczyć na zainteresowanie „Kultury” życiem i pracą emigracji.

Tak się bowiem składa, że często pewne osoby czy ośrodki we Francji usiłują występować w roli przywódców emigracji mając, nawiasem mówiąc, luźny z nią kontakt bez żadnych większych możliwości wpływu. Ten stan rzeczywisty nie dociera do wiadomości ogółu i przede wszystkim do świadomości

mości czynników polskich w Londynie, którym każde osiągnięcie organizacji emigracyjnych jest przedstawiane jako osiągnięcie tych osób czy ośrodków.

Wśród działaczy emigracyjnych z północnej i wschodniej Francji jak również w niektórych z Kongresu Polonii Francuskiej, który tę pielgrzymkę organizował stwierdzić mogłem dużą satysfakcję po artykule Paryżanina. Z całą bowiem pewnością, Papież Paweł VI przemawiając po polsku do kilkuset pielgrzymów, miał na myśli szerokie rzesze uchodźcze a nie tylko małą grupę, która uzyskała prywatną audiencję u Ojca Świętego. Przedstawianie więc tak licznej pielgrzymki jako osiągnięcie jakiejś małej grupy jest niestusne i z tych przyczyn podważone przez Paryżanina, za co na pewno spotkają go liczne zarzuty. Tymczasem, jak wynika z licznych wypowiedzi ze strony prawdziwych działaczy, Paryżanin dał im satysfakcję wobec ich pominięcia na audiencji prywatnej u Papieża.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

W. GROCHOWSKI

Warszawa, w sierpniu 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

Właśnie skończyłem Flemminga. Należą się Panu poważne gratulacje: po pierwsze, gdyż w niespełna parę miesięcy po likwidacji Gastona de C. (zresztą uzupełnionej przez władze wyższe, niż polskie Politbiuro), natychmiast pojawia się jego kontynuator, następca, ten, który podnosi leżący na ziemi sztandar; na miejsce jednego bojownika wyrasta od razu nowy, dośzlusowujący, i td.; to duża rzecz w warunkach danych przez historię; po drugie — gdyż jest to bardzo dobra książka, słuszną, precyzyjną, prawidłową w założeniach, w dowodzeniu i we wnioskach, a co najważniejsze: napisana po polsku — co oznacza nie tylko język, ale ogromny całokształt współczesnej sfery skojarzeń myślowych i językowych, niedostępny Emigracji, a także obcy pisarzom i publicystom starszego pokolenia jakim był właśnie śp. pan Gaston.

Niemniej są w tej książce dwa momenty, które zanegowałbym dość gwałtownie. Dałbym wiele, ażeby wiedzieć kto to jest p. Flemming, przypuszczam jednak, że pozostanie to na pewien czas tajemnicą, a okaże się nim (jak to zawsze bywa), ktoś kogo bym nigdy o to nie podejrzewał. Jedno, co zdołałem wywnioskować z tekstu jest, że pan ten nastawiony jest bardzo przychylnie do PAXu, potraktował tę instytucję ulgowo, a nawet z wyraźną sympatią, wykrzywiając wręcz pewne dane. Otóż, *ad meritum*, twierdzenie jakoby PAX i jego publikacje były schronieniem dla nonkonformistycznych pisarzy, którzy nie czują się dość katolicy aby współpracować z „Tygodnikiem Powszechnym”, jest wręcz śmieszne i odwraca po prostu fakty. To właśnie „Tygodnik” był przez całe lata schronieniem liberałów, socjaldemokratów, obojętnych wierze racjonalistów, poetów-agnostyków, neutralnych uczonych (Kleiner, Czekanowski, Pigoń i inni), niezależnych humanistów (Parandowski, Elzenberg). To właśnie w PAXie obowiązuje surowy rytuał katolicki na codzień i na pokaz (znane są zbiorowe wycieczki do spowiedzi top-echelonu PAXowskich liderów, zaraz nazajutrz z rana po dość orgiastycznych nocach w luksusowych willach prywatnych) to w PAXie nie może nikt pisać ani działać, kto nie deklaruje i nie demonstruje przywiązania do katolickich tradycji, a jeśli je choć trochę negluzuje, to wyłącznie na rzecz marksistowskich objawień i olśnień (Zukrowski). Nie ma w tym

zresztą nie dziwnego, organizacje kryptonimowe (katolicyzm jest dla PAXu oczywistym kryptonimem politycznym) muszą zawsze stosować podejrzane, chwilami zabawne, zawsze nader rygorystyczne ostentacje.

Moment dwa: p. Flemming nie szczędząc wnikliwego spojrzenia różnym środowiskom w Polsce nagle dziwnie traci ostrość dostrzegania jeśli chodzi o dziennikarzy. Jest zaś powszechnie wiadome, że dziennikarze w Polsce (najprawdopodobniej w ogóle w komunizmie) stanowią środowisko *excusez le mot* — najparszywsze. Wraz z „nastaniem” stalinizmu stało się powszechnie wiadomo, że ten kto pozostał w dziennikarstwie (z bardzo nielicznymi wyjątkami) jest zwykłą kanalią. Flemming przypisuje im atrybut wiecznie niezaspokojonych plotkarzy, dzięki którym społeczeństwo wiedziało, co się dzieje, widzi w nich rodzaj cynicznego fermentu, który z przyrzużeniem oka robił dwie rzeczy naraz. To nieprawda. Są granice cynizmu i mimo całego mego szacunku dla pragmatyzmu politycznego aż po wszelki wallenrodizm, talleyrandyzm i makiawelizm, zawsze wydawało mi się nader wstrętne, gdy ktoś opowiadał mi w kawiarni, że Bierut jest sodomistą, a Radkiewicz obcina palce przesłuchiwanym, zaś nazajutrz oglądałem nazwisko opowiadającego w gazecie pod słowami wielbiącymi Bieruta jako mądrego nauczyciela, a Radkiewicza jako jego heroicznego towarzysza broni. Tym bardziej, że facet pisał za pieniądze, dla pozycji, lub ze strachu — wszystkie trzy przyczyny czynią go w moich oczach szują. Otóż ogromna większość dzisiejszej prasy polskiej to ci sami faceci, to Korotyńscy, Osmańczykowie, Rakowscy, Wójcicy, Jaszuńscy i ogromna masa ich coraz to mniejszych lenników i wasali. Taka jest polska prasa przez całe niemal dwudziestolecie z niewielkimi wyjątkami, jej oblicze jest zdeterminowane przez masę łobuzów, a nie poszczególne wypadki niezależności psychicznej i moralnej niezawisłości. Kto chciał być uczciwy musiał wsiąść z mety, zaraz przy samym starcie. Powoływanie się na „Po Prostu” jest zniekształceniem rzeczywistości: ludzie „Po Prostu” nie byli dziennikarzami w zasadzie, byli działaczami młodzieżowymi, lub społecznymi, studiowali różne dyscypliny i tylko moment historyczno-polityczny włożył im tygodnik jako broń do ręki: mało kto z nich miał, czy ma, coś wspólnego z dziennikarstwem jako zawodem. Ponadto — tylko bez legend o zarobkach. Dziennikarz-serwilista zawsze zarobi pięknie (i dziś) na kawałek wódki i kieliszek chleba: wśród młodzieży idącej na studia panuje dziwna pewność, że dostanie się na dziennikarstwo jest równoznaczne z robieniem hopów na każdą możliwą paletę i też na dziennikarstwo wybierają się głównie ci, którzy od razu winszują sobie twardo zarobić parę złotych.

Zaś w innych swych partiach książka jest kopalnią rzadko wydobywanego na wierzch autentyzmu.

Z poważaniem,

Anatol WALCZAK

Warszawa, 28. 8. 1963.

Szanowny Panie Redaktorze,

Niech Pana nie dziwi tak późna reakcja, ale „Kultura” trafia do Kraju (na złość strażnikom ceł jakby powiedział Mickiewicz) bardzo nieregularnie i krąży tu z rąk do rąk.

Otóż niedawno trafił do mnie nr 141-142, a w nim artykuł „Ze wspomnień kowieńskich 1938-39”, pióra płk. Leona Mitkiewicza, ówczesnego polskiego attaché wojskowego w Republice Litewskiej.

W opisie Muzeum Wojska w Kownie znajduje się taki ustęp:

Lotnictwo litewskie posiada także własną salę. Tutaj, między in-

nymi, zwracają uwagę szczątki samolotu i pamiątki osobiste po braciach Adamowiciuszach, którzy zginęli nad Prusami Wschodnimi, pod Królewcem, w katastrofie lotniczej, lecąc przez kilka laty ze Stanów Zjednoczonych Ameryki do rodzinnej Litwy.

W rzeczywistości nazwiska Litwinów amerykańskich, którzy dokonali przelotu przez Atlantyk i w dniu 17 lipca 1933 r. padli z niewyjaśnionych przyczyn ofiarą tajemniczej katastrofy samolotu w pobliżu miejscowości Soldin w Prusach Wschodnich, brzmią: Darius i Girenas!

Bracia zaś Adamowiczowie, Bolesław (Ben) i Józef (Joe), — to pochodzący z Wileńszczyzny Polacy amerykańscy, którzy w rok później przelecieli również nad Atlantykem i w dniu 30 czerwca, z powodu wyczerpania się benzyny byli zmuszeni wylądować we Francji, w miejscowości St. André de Messey, skąd następnie przylecieli pomyślnie do Polski, witani owacyjnie na Polu Mokotowskim w Warszawie.

Naturalnie, dziś, w epoce regularnej komunikacji lotniczej pomiędzy Europą i Ameryką oraz w obliczu zapoczątkowanych już lotów kosmicznych, tamte wyczyny straciły na aktualności i przeszły do historii.

Skoro się jednak mówi o nich w aspekcie wspominkowym, to obowiązują ścisłość. Gdyż tak rażące, jak przytoczone powyżej, przeinaczenia, będą mimo woli wątpliwość co do prawdziwości innych, ciekawych zresztą i nieznanymi szerszemu ogółowi faktów, dotyczących stosunków polsko-litewskich w międzywojennym dwudziestolecu i działalności pierwszej polskiej placówki dyplomatycznej w Kownie, jakie ujawnia w swej pracy płk. L. Żółtek-Mitkiewicz.

Z. NADNIEMEŃSKI

Parkville, Missouri, 11 lipca 1966.

Wielcy Szanowny Panie Redaktorze!

Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytałem w majowym numerze „Kultury” notatkę inż. Kozłowskiego o drugim spotkaniu w Lindenfels. Jako jeden z organizatorów obu spotkań chciałem wyrazić swe podziękowanie za obiektywną ocenę na łamach „Kultury”.

Niestety do notatki inż. Kozłowskiego wkrađa się mała pomyłka faktyczna. Nie jestem z pochodzenia Ślązakiem ale Łodzianinem. O równoległości wyznania ewangelickiego z polskością wspominałem w związku z dyskusją Śląska Cieszyńskiego. Wątpię, czy można kojarzyć trzy wspomniane zjawiska (wyznanie ewangelickie, niemieckie nazwisko i polskość) w którejkolwiek części Polski, gdyż połączenie tych zjawisk było i chyba nadal jest jedynie związane z decyzją indywidualną.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania,

Jerzy HAUPTMANN

Andes, N.Y., 30 lipca 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Juliusz Mieroszewski jest utalentowanym i bardzo płodnym publicystą, o poglądach z, którymi wolno się nie zgadzać. Chodzi mi o jego stosunek do Rosji. Ostatnio („Tysiąc lat i co dalej?” — *Kultura*, Nr 7/225-8/226). p. Mieroszewski napisał: „nasza tradycyjna polityka w stosunku

do Rosji wymaga gruntownego przemyślenia". — W zasadzie — zgoda na to. Ale o czyją politykę chodzi? czy emigracji polskiej? czy też Warszawy? — to ogromna różnica. Nie sądzi przecież p. Mieroszewski, aby te dwie kroczyły zgodnie jednymi drogami? „Misja wschodnia” i kulturalne wpływy Polski w Rosji? Obawiam się, że p. Mieroszewski nie zna dobrze Rosji i Rosjan, ani dawnych, ani obecnych, i planuje swoje zamysły na podstawach niepewnych. Rosja ma swoją własną kulturę. Poboczne wpływy kultury polskiej mogą najwyżej osiągnąć tylko pewnych intelektualistów, wybranych w większych ośrodkach, a przede wszystkim w Moskwie, ale na szerokie wpływy kultury polskiej w Rosji nie należy liczyć.

Nie podzielam poglądu p. Mieroszewskiego o 1000-leciu bilansu politycznego i wojskowego Polski. Nie mogę się zgodzić, że był on całkowicie ujemny w rachunku okresami. Epoki Jagiellońskiej, panowania Stefana Batorego i panowania Wazów — a więc okresu do lat dwudziestych XVII wieku, nie należy zaliczać do czasów, które: „nie dają powodów do radości”.

A okres Piłsudskiego? a fakt odzyskania własnymi siłami — przy korzystnych i sprzyjających warunkach — Państwa Polskiego w latach 1918-1920? To jedno w nowszej historii Polski może skłaniać Polaków do słusznej dumy.

Bynajmniej nie neguję sumarycznych wyników politycznych naszego tysiąclecia — istotnie: powróciliśmy do stanu wyjściowego Państwa Polskiego, do Polski Piasta.

Tym niemniej możemy być prawdziwie dumni z licznych fragmentów naszej historii w okresie 1000 lat.

A w końcu: wbrew p. Mieroszewskiemu nie uważam, by „ideę Jagiellońską”, której odnowicielem i wskrzesicielem był ostatnio Piłsudski, należało już uważać za anachronizm i wrzucić do kosza zapomnienia. Polityka od wieków nie jest wiedzą ścisłą, a stanowi raczej sztukę, podlega ona fluktuacjom, zależnie od okoliczności i warunków. Postawa milcząca, czy może bierna, nie oznacza i nie dowodzi kapitulacji, tak długo dopóki żyje duch narodu.

Choć nie powiodło się Piłsudskiemu połączyć cztery narody w federację w latach 1918-1920, to nie świadczy to, aby myśl „idei Jagiellońskiej” wygasła na zawsze.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Leon MITKIEWICZ

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CH1swick 1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”. Waclaw IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3^e Trimestre 1966.



PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznia	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-Bibliothek, godz. 19-21)		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél.: 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. 153311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiakzowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407. S. L. Lemanski, 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallsörsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107 Ch. M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr. Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa. 19125; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R.J. Sas-Babczynski, 311 West Wilson St., Apt. 3, Costa Mesa, Cal. 92627; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

TOM CXXX

Seria « Archiwum Rewolucji »

MIHAJLO MIHAJLOV

TEMATY ROSYJSKIE

Przekład z serbo-chorwackiego

CZEGO CHCEMY I DLACZEGO MILCZYMY — LATO MOSKIEWSKIE 1964 — DOSTOJEWSKI DZIŚ — *LITERATURA ROSYJSKA*: NA ROZDROŻU — KILKA SKOJARZEŃ HISTORYCZNYCH NA CZASIE — WNIOSKI Z PEWNEJ POLEMIKI — MARTWY DOM SOŁŻENICYNA I DOSTOJEWSKIEGO — ZNACZENIE POWIEŚCI „CISZA” — JEWGIENIJ ZAMIATIN — CHAGALL LITERATURY — SYNTEZA ZARATUSTRY I OSTAPA BENDERA.

Str. 224.

Cena 15 F. (dol. 3,25; 22/6)

TOM CXXXI

GEORGE J. FLEMMING

POLSKA MAŁO ZNANA

Str. 164.

Cena 10 F. (dol. 2,25; 15/-)

TOM CXXXII

Seria « Dokumenty »

JACEK KUROŃ I KAROL MODZELEWSKI

LIST OTWARTY

Do Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR
przy Uniwersytecie Warszawskim

List zawiera streszczenie Memoriału, który stał się powodem aresztowania i skazania autorów i ich zwolenników na ciężkie kary więzienia. Jest to pierwsza próba sformułowania z pozycji marksistowskich programu alternatywnego nie tylko dla Polski Ludowej, ale dla całego bloku komunistycznego. Jest to program narastającej nowej rewolucji.

Str. 96.

Cena 7 F (dol. 1,50; 11/-)